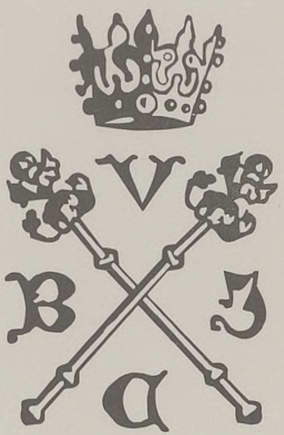

V
B
J
D

BEAUMARCHAIS

WESELE FIGARA

PRZEŁOŻYŁ

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

WARSZAWA
ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ
BIBLJOTEKA BOYA

BIBLJOTEKA BOYA
ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ

Przełożył i wstępem opatrzył
Tadeusz Żeleński (Boy)

BIBLJOTEKA BOYA, WARSZAWA SMOLNA 11

BEAUMARCHAIS

WESELE FIGARA

BIBLJOTEKA BOYA, WARSZAWA SMOLNA 11

Wydanie nowe

Drukarnia
Zakładów
Wydawniczych
M. Arct S. A.
w Warszawie

OD TŁUMACZA

Któryś z łaskawych na mnie bibljofilów przesłał mi starą książkę: słynne *Memorjały* Beaumarchais'go. Wydanie z r. 1780, już w zbiorowej edycji *Dzieł*, ale niemal współczesne sprawie, która toczyła się w latach 1773—1775. Pachną skórą i zleżałą aktualnością. Zacząłem je przeglądać, wciągnęły mnie; ubawiony, porwany, odczytałem prawie całe na nowo. Jedyny w swoim rodzaju dokument literacki! Rzuca on ciekawe światło na mechanizm twórczości; potwierdza pogląd Goethego, że najlepszą drogą dla pisarza jest tworzyć rzeczy — okolicznościowe. Interesujące jest, że Goethe, jako przykład tej recepty, podawał samego siebie.

Cóż może być bardziej *okolicznościowego*, niż własna obrona człowieka, któremu grożą naraz ruina majątkowa, hańba i kryminał! A oto właśnie okoliczności, w jakich znalazł się przyszły twórca *Wesela Figara*. Przypomnijmy, — och, bardzo zwięźle! — czem był Beaumarchais [1]) w dobie owej sprawy i na czem ona polegała. Czem był? Raczej czem nie był! Był wszystkim potrosze, a najmniej pisarzem. Był i zegarmistrzem, i wynalazcą, i zawiedzionym wdowcem po dwóch bogatych żonach, i dworakiem, i nauczycielem gry na harfie córek królewskich, i przyjacielem kobiet, i totumfackim wielkiego finansisty, i negocjatorem drażliwych spraw polityczno-romansowych...

---

[1]) Bliżej patrz: Przedmowa tłumacza do *Cyrulika sewilskiego* (Bibl. Boya).

Dopiero na marginesie tych rozlicznych zajęć był Beaumarchais autorem dwóch sztuk, — *Dwaj przyjaciele*, *Eugenja*, — które dość zasłużenie padły, oraz *Cyrulika sewilskiego*, poczętego zrazu jako libretto do opery i odrzuconego przez aktorów, potem przerobionego na komedję i przyjętego do grania.

Sztuka była w próbach, kiedy zaszedł nieoczekiwany incydent. Autor... pobił się za kulisami z księciem de Chaulnes o względy aktorki Menard. Obu rywalów zamknięto do ciupy, sztukę cofnięto.

Toby jeszcze był drobiazg. Groźne było to, że, w chwili gdy go pozbawiono wolności, Beaumarchais miał ważny proces z hrabią de la Blache, spadkobiercą jego przyjaciela i dobrodzieja, zmarłego finansisty Duvernay. Hrabia, który nienawidził komedjopisarza, obwinił go — bez żadnych podstaw — o fałszerstwo rachunków. W pierwszej instancji hrabia przegrywa; ale z kolei sprawa ma być sądzona w apelacji; hrabia, człowiek bogaty i wpływowy, forsuje ją całą siłą i ma szanse wygranej. Beaumarchais, unieruchomiony w więzieniu, nie może nawet widzieć się z sędzią Goëzmanem, referentem tej zawiłej sprawy, aby mu ją ze swej strony przedstawić i objaśnić. Nareszcie uzyskuje tyle, że pod strażą wypuszczają go z więzienia na kilka godzin, aby mógł pochodzić za swoim procesem. Sędzia, widocznie już pozyskany przez możnego przeciwnika, jest dla Beaumarchais'go stale nieobecny. Strapiony klient dowiaduje się zboku, że podobno pani sędzina nie gardzi kubanem; ryzykuje tedy sto ludwików wzamian za sprokurowanie mu audjencji. Druga audjencja kosztuje go zegarek z brylantami; pani żąda jeszcze piętnastu ludwików, rzekomo dla sekretarza. Nazajutrz, Beaumarchais przegrywa proces; sędzina — taki był snać obyczaj — odsyła pieniądze i podarek; ale pieniądze dla sekretarza przepadły a sekretarz ich nie otrzymał. Beaumarchais, wściekły o przegraną, domaga się zwrotu piętnastu ludwików; sędzina nie umie nic mądrzejszego wymyślić niż poskarżyć się mężowi; a ten koronny cymbał wytacza Beaumarchais'mu skargę o usiłowane przekupstwo i obrazę sędziego.

Ładna sytuacja: tam fałszerz i przywłaszczyciel, tu oszczerca i przekupnik, ma przeciw sobie tam hrabiego i jego adherentów, tu sędziego i cały stan sędziowski, obrażony w osobie swego kolegi. Pani Goëzman wprawia w ruch języki dewotek. Wszystko, co może potwarz wytoczyć przeciw nieszczęsnemu pisarzowi, obiega miasto: truciciel dwóch żon, to najlżejsze z oskarżeń... W dodatku, hrabia, zbrojny swoim wyrokiem, fantuje Beaumarchais'mu cały majątek, pozbawiając go nerwu wszelkiej obrony — pieniędzy. Organizuje się cała klika aby go wręcz zgubić; wysuwają fałszywych świadków. Beaumarchais, autor dwóch wygwizdanych sztuk, ma za całą obronę tylko swoje pióro; wątpliwa obrona! ale chwyta za to pióro i wnet pokazuje, kim jest i co potrafi. Już pierwszym „memorjałem" — mimo iż skierowanym do sądu — sprawia, że cały Paryż interesuje się jego sprawą; po drugim, nikt o niczem innem nie mówi; państwo Goëzman, zegarek z brylantami i słynne piętnaście ludwików są przedmiotem uciechy kawiarń i salonów, ba, samego dworu. *Memorjały* rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy: dają autorowi fundusz na drukowanie dalszych. Sposób obrony ironicznie prosty: nie miał zamiaru przekupić sędziego, w którego nieprzedajność wierzy; a jeżeli kupował *audjencję*, do której jako „strona" ma prawo, czyż to jego wina, że mu ją kazano kupować? Scena konfrontacji z sędziną udramatyzowana jest w tych *Memorjałach* tak komicznie, że grają ją jako teatr w salonie pani du Barry. Ale w miarę jak sprawa się wikła, i memorjały obejmują coraz szersze kręgi. Beaumarchais, w którym objawił się z dnia na dzień lwi pazur pisarza, umie budzić nietylko śmiech; ma wszystkie tony: patos, oburzenie, sarkazm. Umie przekonywać, bawić, szydzić, gromić i wzruszać. Umie swoją sprawę uczynić sprawą ogółu; poprzez to błahe, bądź co bądź, wydarzenie, umie rzucić snop światła na cały *system*, na handel sprawiedliwością, na słabizny procedury sądowej, na wszechwładztwo klik i koteryj, na zuchwalstwo i przemoc zadufanych w sobie panków. Jesteśmy wszak ledwie na piętnaście lat przed rewolucją; epoka nabrzmiała

jest krytyką i żądzą reform. *Memorjały* rzucają rękawicę dwum potężnym stanom: herbowi szlacheckiemu i biretowi sędziego. Oświetlając błyskawicą oburzenia system, w którym prawo i słuszność liczą się za nic, a przywilej, wpływy i pieniądze są wszystkiem, znajdują zarazem ton wysoki i szlachetny, aby wskazać nowoczesne pojęcie praw i obowiązków sędziowskich; aby bronić zdeptanej godności obywatela. Posłuchajmy, to już język „praw człowieka".

„To sprawa członka Wysokiego Sądu; znieważyłbym moją epokę, gdybym przypuszczał, że może być jej obojętne coś, co dotyczy sędziów. Naród nie zasiada wprawdzie na ławach tych którzy wydają wyroki; ale jego majestatyczne oko ogarnia całość. O ile nigdy nie jest sędzią postronnych osób, zawsze jest sędzią sędziów..."

„Biorę *naród* za świadka zniewagi, jaką mi wyrządzono w jego obliczu..."

„Przybieram z równą słusznością jak przyjemnością miano *obywatela*, wszędzie gdzie mówię o sobie w tej sprawie..."

Paryż — Francja — z rozkoszą słuchają tego języka: takie słowa jak *naród*, *obywatel*, to nowe, niezużyte jeszcze struny, na których ten podsądny umiał zagrać jak artysta. I jak umie w tej sprawie, która zrodziła się z przemocy magnata, wygrać swoje plebejskie pochodzenie; ile wydobywa humoru i sentymentu, jaką broń uczyni z tego co jest jego niższością!

„Rozpoczyna pani — mówi do pani Goëzman — dzieło oskarżenia tem, że mi wymawiasz rzemiosło moich przodków. Niestety, pani, aż nazbyt prawdą jest, że ostatni z nich osiągnął — obok innych gałęzi przemysłu — dość znaczny rozgłos w kunszcie zegarmistrza. Zmuszony poddać się na tym punkcie, wyznaję z boleścią, iż nic nie zdoła mnie obmyć ze słusznego zarzutu, że jestem synem swego ojca... Ale urywam na tem; czuję, jak za mojemi plecami on patrzy na to co piszę i śmieje się, ściskając mnie... O wy, którzy wyrzucacie mi mego ojca, nie macie pojęcia o jego szlachetnem sercu. Doprawdy, poza jego zegarmistrzostwem, nie widzę ojca, na którego chciałbym go zamienić..."

Ale prawda: Beaumarchais jest przecież szlachcicem! Kupił sobie szlachectwo, wraz z miejscem sekretarza królewskiego, płacąc za

tę godność 56.000 franków gotowizną. Jak wesoło igra sobie z kwestją swego parwenjuszostwa:

„...nim powezmę ostateczną decyzję co do tego przedmiotu, zostawiam sobie czas do namysłu, czy nie powinienbym się obrazić za to szperanie w moich archiwach rodzinnych i przypominanie mi mego dawnego pochodzenia, o którem już prawie zapomniano. Czy pani wie, pani sędzino, że ja liczę sobie blisko dwadzieścia lat szlachectwa; że to szlachectwo jest *bardzo moje*, na dobrym pergaminie, przypieczętowane wielką żółtą woskową pieczęcią; że nie jest ono — jak u wielu ludzi — niepewne i *na słowo;* nikt nie może mi go zaprzeczyć, bo... mam na nie pokwitowanie...“

Ale oto ton się zmienia: głos jego drga niepowściąganem już oburzeniem, gdy mówi o perfidji i bezwzględności, z jaką nadużywa się najdostojniejszych, najbardziej czcigodnych przywilejów, gdy chodzi o to aby zgubić niewinnego ale niewygodnego człowieka. I w istocie dreszcz przechodzi, gdy się pomyśli, jak zginąłby w tej sytuacji ktoś, ktoby miał mniej energji i mniej talentu od naszego „Figara“, i ilu słabeuszów musiało codzień ginąć, miażdżonych trybami ówczesnego systemu.

W sumie, te *Memorjały* Beaumarchais'go są czemś zadziwiająco śmiałem i zręcznem. Wtajemniczać publiczność w najzawilsze drobiazgi sprawy czysto osobistej i nie znudzić jej; zdobyć dla siebie wrogą zrazu i najgorzej uprzedzoną opinję; zadawać straszliwe ciosy trybunałom, zapewniając wciąż o swoim dla nich szacunku; igrać z władzą, wciąż niby korząc się przed nią; z oskarżonego o niezbyt smaczną sprawę stać się oskarżycielem, mścicielem, heroldem idei, — to arcydzieło talentu.

Wszystko to — mimo całej słuszności — nie osiągnęłoby zapewne skutku, gdyby nie było wciąż podlewane owym wyśmienitym humorem, którego Beaumarchais w swej desperackiej grze nie tracił ani na chwilę. Nieoceniona sędzina Goëzman opędzi przedewszystkiem jego koszta. Ach, ta sędzina Goëzman; póki będzie trwała mowa francuska, nie zapomną o niej z pewnością. Jak ona żyje w tych *Memorjałach*, owa sędzina, która paple publicznie, że „mu-

szą sobie dorabiać podarkami, bo z tego co daje sędziostwo nie mogliby przyzwoicie wyżyć"; która, nakłaniając świadka — poczciwego i naiwnego le Jay — do fałszywych zeznań i do krzywoprzysięstwa, powiada mu: „Znalazłam lekarstwo na pańskie skrupuły: zaprzeczymy wszystkiemu, nazajutrz damy na mszę do św. Ducha, i wszystko się wyrówna"... Broni się ta sędzina klasycznie: po pierwsze, żadnych pieniędzy ani zegarka nie widziała na oczy; powtóre, oddała wszystko co do grosza... Przyparta do muru i przekonana o sprzeczności, oświadcza, że poprzednie jej zeznania nie mają znaczenia, bo właśnie wtedy była w dniu krytycznym... (Ach, jak tym „dniem krytycznym" będzie bawił Baumarchais cały Paryż! jak się będzie pastwił nad nią!). Kiedy oskarżony przygważdża jej sprzeczności i kłamstwa, impetyczna sędzina chce go bić po twarzy; ale za chwilę uśmiecha się doń lubo, kiedy jej powiada dwornie, że nie wygląda na lat trzydzieści, ale najwyżej na osiemnaście... O, cóż za cudowna gęś!

— Jeśli prawdą jest, że pan powierzył list komuś z mojej służby, któremu z moich ludzi go pan oddał? — Młodemu lokajowi blondynowi, który powiadał że jest w służbie pani. — Aha, sprzeczność! Proszę zapisać, że pan oddał list blondynowi; mój lokaj nie jest blondyn, ale jasny szatyn. A jeżeli to był mój lokaj, jaka jest moja liberja? — Wyznaję, że nie wiedziałem, że pani ma specjalną liberję. — Proszę zapisać, że pan, który rozmawiał z moim lokajem, nie wie, że ja mam osobistą liberję; ja która mam dwie: jedną letnią, a drugą zimową...

Taka jest żoną sędziego Goëzman, owego sędziego, którego znowuż oskarżony przekona o tem, że urabiał świadka, że mu dyktował zeznanie w swojej własnej sprawie i — co więcej — zeznanie to sfałszował... Jak sąd sądem, jeszcze tak sędziego nie wzięto w obroty.

Beaumarchais umie wyzyskać wszystko. W trakcie procesu, pojawia się pamflet, oskarżający go o mętne sprawki w czasie pobytu w Hiszpanji przed dziesięciu laty. W lot odpowiada na ten pamflet; opowiada dzieje swojej podróży do Hiszpanji, celem obro-

ny honoru uwiedzionej siostry. Opowiada tak dramatycznie, tak wymownie, tak szlachetnie, że młody Goethe niewiele będzie potrzebował dodać, aby z tego opowiadania stworzyć swego *Claviga*, zachowując nawet autentyczne imię smutnego bohatera. A co najlepsze, podejrzewają Beaumarchais'go, że to on sam napisał ów pamflet na samego siebie, aby mieć sposobność godnie nań odpowiedzieć: jedno i drugie na kolanie, z błyskawiczną szybkością. Pomysłowość, zwinność, brak skrupułów — czyż to nie Figaro?

Beaumarchais wygrał sprawę... tak jak ją mógł wygrać przeciw takiemu przeciwnikowi... Wygrał i przegrał zarazem. Sędzina Goëzman otrzymała naganę, której musiała wysłuchać na kolanach. Sędziemu Goëzmanowi polecono podać się do dymisji. Ale i Beaumarchais otrzymał *naganę*, co, wedle ówczesnej procedury, równało się śmierci cywilnej. *Memorjały* jego — jako oszczercze! — skazano *na szarpanie szczypcami i spalenie* w dziedzińcu sądowym. Nad tym salomonowym wyrokiem pełny sąd radził od 5-ej rano do 9-ej wieczór.

Jakiemi sposobami Beaumarchais zdobył na tyle kredytu, aby uzyskać odwet, to już inny rozdział jego historji, nie najmniej fantastyczny w tym zdumiewającym życiorysie. Ale uzyskał odwet w całej pełni: najpierw rehabilitację z wyroku z Goëzmanami, potem rewizję procesu z hrabią de la Blache i wygraną tegoż procesu. Jaką popularność zdołał osiągnąć, świadczy, że w dniu wygranej, miasto Aix, gdzie toczył się proces, iluminowano. *Naród* — jak mu to z całym talentem podsunął — uznał jego sprawę za swoją.

I teraz dopiero, po wygaśnięciu sprawy, zrodzony w jej trakcie — i z niej — wielki pisarz oblecze ją w nieśmiertelne kształty. Z *Memorjałów* i ich przedmiotu — przekształconego twórczo, przetransponowanego na intrygę miłosną, — powstanie *Wesele Figara*. Figaro, w *Cyruliku sewilskim* jeszcze usłużny sługus z komedji, zmieni się tu w utalentowanego i uczciwego plebejusza, nabrzmiałego — mimo że ton całej sztuki jest rozkosznie wesoły — buntem i szyderstwem. „O, panie hrabio, cóżeś uczynił dla zyskania

tylu przywilejów? Zadałeś sobie ten trud, aby się urodzić, nic więcej. Pozatem, człowiek dosyć pospolity, podczas gdy ja!...“ te słowa wielkiego monologu Figara, wyrzucone gniewnie przez zaciśnięte zęby, padną ze sceny na widownię, na której będą się tłoczyli zachwyceni i oklaskujący arystokratyczni słuchacze. „Figaro, to rewolucja już w czynie“ — mówił Napoleon. „Figaro zabił szlachtę“ — wołał Danton. Otóż, konflikt Figara z hrabią urodził się niewątpliwie z procesu z hrabią de la Blache, tak jak owa centralna sprawa sądu, z nieśmiertelnym sędzią Brid'oison (don Guzman), urodziła się ze sprawy z Goëzmanem. Cała skala tonów, jakie Beaumarchais genjalnie zinstrumentuje w *Weselu Figara*, znajduje się już w *Memorjałach*. Rzadko kiedy można śledzić z taką precyzją i na tak interesującym materjale — narodziny wielkiego pisarza. I mimowoli, odłożywszy książkę, popada człowiek w zadumę i sili się odgadnąć, jakby wyglądał dziś świat, jak literatura, gdyby sędzina Goëzman nie była zatrzymała owych szczęśliwych piętnastu ludwików? Świat jak świat; licho go tam wie; ale to pewna że teatr wyglądałby inaczej. *Wesele Figara* pokazało mu nowe drogi.

Warszawa, kwiecień 1932.

SZALONY DZIEŃ

CZYLI

WESELE FIGARA

KOMEDJA W PIĘCIU AKTACH PROZĄ,

PRZEDSTAWIONA
PO RAZ PIERWSZY, PRZEZ AKTORÓW NADWORNYCH J. K. MOŚCI,
WE WTOREK, 27 LUTEGO, 1784.

Przez wzgląd na miłe androny,
Darujcie rozsądku zgrzyt.

Wodewil z 5 aktu sztuki.

SZALONY DZIEŃ

czyli

WESELE FIGARA

KOMEDJA W PIĘCIU AKTACH PROZĄ,

PRZEDSTAWIONA

PO RAZ PIERWSZY, PRZEZ AKTORÓW NADWORNYCH J. K. MOŚCI,
WE WTOREK, 27 LATEGO, 1784.

Przez wzgląd na miłe androny,
Darujcie rozsądku szczyp.

Wodewil z 5 aktu sceny.

PRZEDMOWA

Kiedym pisał tę przedmowę, celem moim nie było jałowe dociekanie, czy wystawiłem złą czy dobrą sztukę; — nie czas już nato; — ale rachunek sumienia (a to godzi się zawsze) czy popełniłem czyn naganny.

Nikt nie jest obowiązany pisać komedyj zupełnie podobnych do innych; jeśli tedy, z przyczyn które zdawały mi się dostatecznie ważkie, oddaliłem się od drogi zbyt utartej, czyż przystoi, jak to uczynili pewni panowie, sądzić mnie wedle prawideł, których nie miałem zamiaru przestrzegać? ogłaszać lekkomyślnie, że cofam sztukę do jej dziecięctwa, ponieważ zamierzyłem wyżłobić nową ścieżkę tejże sztuce, której pierwszem a może jedynem prawidłem jest uczyć bawiąc?

Ale nie o to chodzi.

Często bardzo daleko jest od zarzutów jakie ktoś stawia dziełu, do tych które ma w istocie na myśli. Grot, który go ugodził, słówko które go uraziło, tkwią na dnie serca, gdy usta mszczą się, potępiając niemal wszystko inne. Można uważać za pewnik w sprawach teatru, iż, czyniąc zarzuty autorowi, krytycy jego najmniej mówią o tem co ich dotknęło najżywiej.

Może nie bez pożytku byłoby odsłonić wszystkim owo podwójne oblicze komedyj; moja sztuka dopięłaby, zaiste, nielada celu, gdybym, roztrząsając ją, zdołał ustalić ten oto problem: Co to jest *obyczajność sceniczna?*

Im bardziej chcemy się okazać subtelni, wykwintni, wytrawni,

i uprawiać — jak rzekłem gdzieindziej — hipokryzję obyczajności przy rozluźnieniu obyczajów, zmieniamy się w istoty nijakie, niezdolne bawić się i sądzić o tem co im przypada do smaku: trzebaż powiedzieć otwarcie? w zgrymaszonych świętoszkach, którzy nie wiedzą już ani czego chcą, ani co mają potępić lub chwalić. Już te słowa tak wyświechtane: *dobry ton, dobre towarzystwo*, zawsze dociągane do poziomu bezmyślnej koterji, słowa tak elastyczne że nie wiadomo gdzie się zaczynają a gdzie kończą, zniweczyły szczerą i prawdziwą wesołość, jaką wyróżniała się sztuka komiczna naszego narodu.

Dodajcie pedantyzm w nadużywaniu innych wielkich słów, jak *przystojność* i *dobre obyczaje*, które przydają tyle powagi, tyle wyższości, iż nasi teatralni sędziowie byliby w rozpaczy, gdyby nie mogli ich wygłaszać z okazji wszystkich wręcz sztuk; a zrozumiecie w przybliżeniu co pęta talent, onieśmiela autorów i zadaje cios rozmachowi akcji, bez której może istnieć jedynie mizdrzenie się dowcipu, znikome komedyjki o kilkudniowym żywocie.

Wreszcie, ostatnia klęska! Wszystkie stany zdołały się uchylić od cenzury scenicznej: nie możnaby dziś wystawić *Pieniaczy* Racine'a, iżby wszystkie *Jendory* i *Gąski* [1]), nawet z najoświeceńszych, nie podniosły krzyku, że niema już obyczajów, ani szacunku dla urzędu.

Nie możnaby napisać *Turcareta* [2]), nie ściągając sobie na kark dzierżawców, poddzierżawców, administratorów, celników, generalnych poborców, całej armji fiskalnej Króla Jegomości. Prawda, że dzisiaj dla Turcareta nie znalazłoby się wzorów. Ale gdyby go nawet przedstawić pod innemi rysami, zapora zostałaby ta sama.

Nie możnaby wyśmiać natrętów, markizów, pożyczkowiczów Moliera, aby nie obrazić równocześnie wysokiej, średniej, starożytnej i nowoczesnej szlachty. Jego *Uczone Białogłowy* podrażniłyby

---

[1]) Nazwiska sędziów z *Pantagruela* Rabelego.

[2]) Sztuka Lesage'a, będąca krwawą satyrą na finansistów XVIII w.

nasze żeńskie centrale dowcipu; ale jaki rachmistrz zdoła obliczyć siłę i długość dźwigni, jakiejby trzeba, aby, za naszych dni, wznieść aż do teatru wspaniałe dzieło p. t. *Świętoszek?* Tak więc, autor, który szuka porozumienia z publicznością *aby ją zabawić lub pouczyć,* miast snuć intrygę wedle swego wyboru, musi kręcić się w steku nieprawdopodobieństw, kpinkować zamiast się śmiać, i szukać wzorów poza społeczeństwem, aby sobie nie ściągać na kark tysiąca wrogów, z których nie znał żadnego układając swą nieszczęsną sztukę.

Doszedłem tedy do przekonania, że, o ile jakiś zuch nie strząśnie tego pyłu, niebawem nuda sztuk francuskich zawiedzie naród do płochej opery komicznej i jeszcze dalej, na bulwary, ku ohydnemu śmietnikowi scenek wniesionych na naszą hańbę, gdzie przystojna swoboda, wygnana z francuskiego teatru, zmienia się w rozpasanie; gdzie młodzież karmi się grubemi niedorzecznościami i traci, wraz z obyczajnością, poczucie smaku i cześć dla arcydzieł. Pokusiłem się zostać tym zuchem; a jeśli nie włożyłem w me dzieła tyle talentu ileby trzeba, intencja moja objawiła się jasno.

Myślałem, myślę jeszcze, że nie da się osiągnąć w teatrze ani patosu, ani morału, ani tęgiego i prawdziwego komizmu, bez mocnych sytuacyj, które, w jakimbądź przedmiocie, zawsze się rodzą z zatargów społecznych. Autor tragiczny, śmiały w środkach, ma odwagę wziąć za temat okrutną zbrodnię: spiski, uzurpację, mord, otrucie, kazirodztwo w *Edypie* i w *Fedrze*, bratobójstwo w *Vendôme*, ojcobójstwo w *Mahomecie*, królobójstwo w *Makbecie*, etc. Komedja, mniej odważna, nie posuwa się tak daleko, gdyż wzory czerpie z naszych obyczajów, tematy ze społeczeństwa. Ale jak godzić w skąpstwo, o ile się nie przedstawi brudnego skąpca? jak zdzierać maskę z obłudy, nie pokazując palcem, jak Orgon w *Świętoszku*, szpetnego obłudnika, który *zaślubia córkę, a pożąda żony?* jak napiętnować rozpustnika, nie wprowadzając go w krąg łatwych kobiet? opętanego gracza, nie otaczając go hultajami, o ile sam już do nich nie należy?

Wszyscy ci ludzie dalecy są od cnoty; autor nie podaje ich za lepszych niż są; nie broni żadnego z nich; jest malarzem ich przywar. Dlatego że lew jest okrutny, wilk żarłoczny i chciwy krwi, lis chytry i podstępny, czyż bajka jest niemoralna? Kiedy autor zwraca ją przeciw głupcowi którego pochlebstwo upaja, upuszcza z dzioba kruka ser w paszczękę lisa; morał osiągnięty; gdyby ją chciał zwrócić przeciw nikczemnemu pochlebcy, skończyłby swoją parabolę tak: *Lis chwyta kąsek, pożera: ale ser był zatruty.* Bajka jest lekką komedją, a wszelka komedja jest tylko rozprowadzoną bajką: różnica między niemi ta, że w bajce bydlęta mają rozum, zaś w naszej komedji ludzie są często bydlętami i, co gorsza, złemi bydlętami.

Tak więc, kiedy Molier (a ileż jemu głupcy dali się we znaki!) daje *Skąpcowi* syna rozrzutnego i zepsutego, który mu kradnie szkatułkę i łży go w twarz, czy z cnót czy z przywar wyciąga swój morał? Cóż mu znaczą jego marjonetki? Was-to chce poprawić! Prawda że afiszerzy i zamiatacze literaccy z jego czasów nie omieszkali wyłożyć poczciwej publiczności, jak to jest niegodziwe! Również dowiedzione jest, iż zazdrośnicy bardzo możni, albo też możni bardzo zazdrośni rozpętali się przeciwko niemu. Patrzcie, jak surowy Boileau, w *Liście* do wielkiego Racine'a, mści, już po śmierci, swego przyjaciela, przypominając fakty :

> Nieuctwo i przesądy, w cnót mniemanych skórze,
> W strojach modnych markizów i hrabin fryzurze,
> Biegły zohydzać pilnie arcy-sztukę nową,
> I w najwspanialszem miejscu potrząsały głową.
> Komandor żądał więcej dyskrecji i taktu;
> Wicehrabia, znudzony, wychodził w pół aktu:
> Ten, żarliwy obrońca dotkniętych bigotów,
> Autora, wraz z utworem, na stos rzucić gotów;
> Drugi, ognisty markiz, w gorączce honoru,
> Chce mścić się za rzekome przytyki do dworu...

Widzimy zgoła w *Prośbie* Moliera do Ludwika XIV, który okazał się tak wielki jako protektor sztuk i bez którego oświeco-

nego smaku teatr nasz nie miałby ani jednego arcydzieła Moliera; widzimy tego filozofa-autora, jak gorzko skarży się przed królem, iż, za to że zdemaskował obłudników, ci miotają nań wszędzie drukowane potwarze, mieniąc go *libertynem, bezbożnikiem, ateuszem, wcielonym djabłem przebranym za człowieka;* i to wszystko drukowano z *aprobatą i przywilejem* tego króla który go popierał: nic, od tego czasu, nie zmieniło się na gorsze.

Ale, dlatego że figury jakiejś sztuki jawią obraz skażonych obyczajów, czyż trzeba je wygnać ze sceny? Cóż tedy będziemy ścigać w teatrze? wady i śmiesznostki? Warto w takim razie pisać! toć one są jak mody: nie poprawiamy się z nich, zmieniamy je tylko.

Występki, nadużycia, oto co się nie zmienia, ale przedzierżga się w tysiące form pod maską obyczajów: zedrzeć tę maskę, ukazać je w całej nagości, oto szlachetne zadanie człowieka, który poświęcił się scenie. Czy moralizuje śmiejąc się, czy płacze mówiąc morały, czy idzie śladem Demokryta czy Heraklita, oto jego prawdziwy obowiązek. Biada mu, jeśli się odeń uchyli! Poprawiać ludzi można jedynie ukazując ich takimi jak są. Komedja użyteczna i prawdomówna, to nie kłamliwy panegiryk, nie pusta akademicka *Pochwała.*

Ale strzeżmy się mięszać tę ogólną krytykę, jeden z najszlachetniejszych celów sztuki, ze wstrętną i osobistą satyrą: przywilejem pierwszej jest to, iż poprawia nie raniąc. Powiedzcie w teatrze, ustami zacnego człowieka, podrażnionego najstraszliwszym wyzyskiem dobrodziejstw, że *wszyscy ludzie są niewdzięczni:* mimo iż każdy podziela to zdanie, nikt się nie obrazi. Ponieważ niema niewdzięcznika bez dobroczyńcy, sam ten zarzut ustala równowagę między dobremi a złemi sercami; słuchacz czuje to i czerpie w tem pociechę. Gdy humorysta powie, że *jeden dobroczyńca rodzi stu niewdzięczników,* można odpowiedzieć słusznie, iż *niema może niewdzięcznika, któryby nie był nieraz dobroczyńcą:* to również pociesza. W ten oto sposób, drogą uogólnienia, najbardziej gorzka krytyka wydaje owoc nie raniąc; gdy satyra osobista,

równie jałowa jak zdrożna, zawsze rani, a nigdy nie przynosi korzyści. Tej szczególnie nienawidzę i uważam ją za tak karygodne nadużycie, że nieraz z urzędu wzywałem czujność władz, iżby teatr nie zmienił się w arenę gladjatorów, gdzie możny mniema się w prawie zaspokajać swoją chęć zemsty za pomocą przedajnych piór, niestety zbyt pospolitych, wystawiających na licytację własną nikczemność.

Czyż nie wystarczy owym potentatom, że mają do rozporządzenia tysiąc i jednego gryzipiórków, gazeciarzy, afiszerów, aby przesiać między najpodlejszymi, wybrać co najnędzniejszego i czernić każdego kto im nie po myśli? Można tolerować drobne zło, bo jest bez następstw: to robactwo o krótkim żywocie, swędzi przez chwilę i ginie; ale teatr, to olbrzym, który śmiertelnie rani tego kogo ugodzi. Trzeba zachować jego potężne ciosy na nadużycia i zło publiczne.

Nie występek zatem i jego następstwa stanowią o nieobyczajności teatru; ale brak nauki i morału. Jeśli autor, zbyt słaby albo zbyt bojaźliwy, nie śmie ich dobyć ze swego tematu, oto co czyni jego sztukę dwuznaczną i zdrożną.

Kiedy wystawiłem *Eugenję* (trzebaż mi cytować siebie, skoro mnie ciągle atakują!), kiedy wystawiłem *Eugenję*, wszystkie nasze przysięgłe krzykały moralności aż parskały ogniem w kurytarzach, że ośmieliłem się pokazać magnata-libertyna, przebierającego lokajów za księży i udającego że zaślubia młodą osobę, która ukazuje się na scenie brzemienna, mimo iż nie zamężna.

Naprzekór ich krzykom, sztukę uznano, jeśli nie za najlepszy, to przynajmniej za najmoralniejszy z dramatów i przełożono ją na wszystkie języki. Rozsądni ludzie uznali, iż morał jej, ciekawość jaką budzi, rodzą się wyłącznie z obrazu nadużyć, jakie człowiek potężny i rozwiązły czerpie ze swego nazwiska i wpływu, aby się znęcać nad słabą dziewczyną bez oparcia, zwiedzioną, cnotliwą i opuszczoną. Tak więc, wszystko co w dziele jest użytecznego i do-

brego, płynie z odwagi, z jaką autor odważył się podnieść krzywdę społeczną, wznosząc się do granic najwyższej swobody sądu.

Od tego czasu, napisałem *Dwóch Przyjaciół*, sztukę, w której ojciec wyznaje mniemanej synowicy, że jest jego nieprawą córką. Dramat ten również jest bardzo moralny, gdyż, poprzez ofiary najdoskonalszej przyjaźni, autor wykazuje obowiązki, jakie natura nakłada wobec owocu dawnej miłości, zostawionego zbyt często bez obrony przez bezwzględność i srogość form społecznych, lub raczej przez ich nadużycie.

Wśród innych krytyk, usłyszałem, w jednej z sąsiednich lóż, młodego furfanta, jak mówił wesoło do pań: „Autor musi być subjektem w handlu starzyzną i nie widuje nikogo prócz gryzipiórków i kupczyków; za ladą szuka szlachetnych przyjaciół, których przedstawia na scenie. — Niestety, drogi panie, rzekłem zbliżając się, musiał ich szukać tam, gdzie spodziewał się ich znaleźć. Bardziej jeszcze śmiałby się pan z autora, gdyby wziął swoją parę przyjaciół z antykamery królewskiej lub z poduszek złocistej karocy. Trzeba nieco prawdopodobieństwa, nawet w cnocie".

Idąc za mą wesołą naturą, pokusiłem się później, w *Cyruliku Sewilskim*, wskrzesić dawną i szczerą wesołość, łącząc ją z lekkością współczesnego humoru; ponieważ to samo stanowiło poniekąd nowość, sztuka spotkała się z namiętnym sprzeciwem. Zdawało się, że wstrząsnąłem Państwem; ostrożności jakie przedsięwzięto, krzyki jakie podniesiono przeciw mnie, ujawniły popłoch, jaki zapanował w kołach rozpustników, zaniepokojonych iż grozi im zdemaskowanie. Sztukę poddano czterokrotnej cenzurze, zdarto trzy razy z afisza, oskarżono zgoła przed sądem; ja zaś, wśród tego tumultu, domagałem się wytrwale, aby zostawiono publiczności sąd o tem co jest pisane dla zabawy publiczności.

Uzyskałem to po trzech latach. Po krzykach, pochwały; każdy szeptał mi z cicha: „Dawajże nam więcej takich sztuk, skoro ty jeden masz odwagę śmiać się w żywe oczy".

Autor, przywiedziony do rozpaczy przez intrygi i wrzaski, ale orzeźwiony powodzeniem, odzyskuje energję; co i mnie się zdarzyło. Nieboszczyk książę Conti, zacnej i patrjotycznej pamięci (wymawiając głośno jego imię, słyszy się dźwięk starego słowa: *ojczyzna)*, rzucił mi publiczne wyzwanie, abym wystawił na scenie mą przedmowę do *Cyrulika*, zabawniejszą, powiadał, od samej sztuki, i abym pokazał w niej rodzinę Figara, wspomnianą w tej przedmowie. „Wasza Dostojność, odparłem, gdybym wprowadził jeszcze raz Figara, musiałbym go pokazać starszym i, co za tem idzie, wytrawniejszym: dopierożby się zaczęły hałasy; kto wie, czy ujrzałby wogóle światło dzienne?“ Mimo to, przez szacunek, przyjąłem wyzwanie; napisałem ten *Szalony Dzień*, dziś przedmiot tumultu. Książę pierwszy raczył zobaczyć sztukę. Był to człowiek wielkiego charakteru, pan w każdym calu, umysł wyniosły i szlachetny: otóż, mamż wyznać? rad był ze mnie.

Ale jakąż pułapkę, niestety! zastawiłem naszym krytykom, chrzcząc komedję czczem mianem *Szalonego Dnia!* Było wprawdzie moim zamiarem odjąć jej nieco wagi; ale nie wiedziałem jeszcze, do jakiego stopnia zmiana godła może sprowadzić na manowce. Gdybym zostawił właściwy tytuł, brzmiałby: *Mąż-uwodziciel.* Dałem im nowy trop: pościg gonił mnie innym śladem. Ale ta nazwa: *Szalony dzień* oddaliła ich o sto mil; ujrzeli w dziele już tylko to, czego w niem nigdy nie będzie. Ta przyostra uwaga o łatwości zmylenia tropu donioślejsza jest niżby kto mniemał. Gdyby, zamiast *Grzegorz Dandin*, Molier nazwał swój dramat *Niedorzeczne parantele*, byłby nim przyniósł o wiele więcej korzyści; gdyby Regnard swego *Spadkobiercę* nazwał *Karą bezżenników*, sztuka byłaby nas przyprawiła o drżenie. To, co on zrobił bez myśli, ja uczyniłem z intencją. Ale jakiż piękny rozdział możnaby napisać o sądach ludzkich i o moralności teatralnej! rozdział, któryby można zatytułować: *O znaczeniu afisza.*

Jakbądź się rzeczy miały, *Szalony Dzień* został pięć lat w tece; aktorzy wiedzieli o nim, wydarli mi go wreszcie. Czy uczynili do-

brze czy źle, można się było przekonać. Czy że trudność odtworzenia tej sztuki pobudziła ich współzawodnictwo, czy że uczuli, wraz z publicznością, iż, aby trafić jej do smaku, trzeba nowych wysiłków, nigdy równie trudnej sztuki nie odegrano tak świetnie. Jeżeli autor (jak osądzono) został poniżej siebie, niema zato ani jednego aktora, któregoby reputacji dzieło to nie ustaliło, nie wzmogło lub nie potwierdziło. Ale wróćmy do jego czytania, do przyjęcia przez aktorów.

Naskutek przesadnych pochwał po lekturze, wszyscy zapragnęli poznać sztukę. Trzebaby mi było narażać się codziennie na sprzeczki i urazy, lub też ustępować naleganiom. Od tej chwili również, możni wrogowie autora nie omieszkali ogłosić na dworze, iż w dziele tem, które zresztą jest *stekiem głupstw*, autor obraża religję, rząd, społeczeństwo, obyczaje; że cnota jest w niej pohańbiona a zło tryumfuje: *jak można się było domyślać*, dodawali. Jeśli poważni panowie, którzy tylekroć to powtarzali, zrobią mi ten zaszczyt aby przeczytać niniejszą przedmowę, ujrzą bodaj, że cytuję wiernie i ściśle; mieszczańska zaś uczciwość moich cytatów tem bardziej uwydatni dostojną nieścisłość ich własnych.

Tak więc, w *Cyruliku* wstrząsnąłem jedynie Państwem; w tej nowej próbie, bezecniejszej i bardziej buntowniczej, burzę je rzekomo od fundamentów do stropu. Niema już nic świętego (mówili), o ile to dzieło ma wejść na scenę. Uprzedzano władze zapomocą najpodstępniejszych donosów; szczuto wpływowe korporacje; straszono lękliwe damy; tworzono mi wrogów po zakrystjach: ja zaś, stosownie do ludzi i do okoliczności, odpierałem niską intrygę bezgraniczną cierpliwością, niewzruszonym szacunkiem, uporczywą powolnością; argumentami wreszcie, rozsądkiem, o ile chciano im dać ucha.

Walka trwała cztery lata. Dodajcie je do pięciu lat, które sztuka spoczywa w tece: cóż zostaje z aluzji, jakich siłą się dopatrywać w mem dziele. Niestety! kiedy je pisałem, wszystko co dziś rozkwita, ani kiełkowało jeszcze: to był zgoła inny świat!

Przez te cztery lata walki, żądałem tylko jednego cenzora;

dano mi ich pięciu czy sześciu. Cóż ujrzeli w tej sztuce, przedmiocie takiej nagonki? Najniewinniejszą intryżkę pod słońcem. Magnata hiszpańskiego, zakochanego w dziewczynie, którą chce uwieść; wysiłki, jakie młoda oblubienica, narzeczony jej i żona magnata jednoczą, aby unicestwić zamiary absolutnego pana, któremu stanowisko, majątek i hojność dają w ręce wszystkie środki. Oto wszystko, nic więcej. Macie całą sztukę, jak na dłoni.

Skąd te przeraźliwe krzyki? Stąd, iż, miast ścigać jedną tylko przywarę, jak gracza, pyszałka, skąpca lub obłudnika, coby mu ściągnęło na kark jedną tylko kastę wrogów, autor skorzystał z lekkiej kompozycji, lub raczej pokierował swój plan tak, aby wprowadzić weń krytykę mnóstwa nadużyć toczących społeczeństwo. Ale, ponieważ, w oczach oświeconego cenzora, nie stanowi to jeszcze skazy dzieła, wszyscy, aprobując je, domagali się prawa sceny. Trzebaż więc było je ścierpieć; i wówczas możni tego świata ujrzeli ze zgorszeniem.

Sztukę, w której, z zuchwalstwem iście niesłychanem,
Bronić własnej małżonki sługa śmie przed panem!

(M. Gudin).

Och! jak żałuję, iż, z tego nawskroś moralnego tematu, nie ułożyłem krwawej tragedji. Wkładając sztylet w rękę obrażonego małżonka (którego nie byłbym z pewnością ochrzcił *Figarem!)*, kazałbym mu w zazdrosnym szale dostojnie zasztyletować możnego rozpustnika. Ponieważ pomściłby swój honor w potoczystych aleksandrynach i ponieważ mój zazdrośnik, conajmniej wódz armji, byłby rywalem jakiegoś bardzo okropnego tyrana władającego haniebnie nad nieszczęsnym ludem, wszystko to, bardzo odległe od naszych obyczajów, nie byłoby, sądzę, zraniło nikogo; krzyknięto by: *brawo! bardzo moralne dzieło!* Bylibyśmy ocaleni, ja i mój nieokrzesany Figaro.

Ale ja miałem zamiar zabawić poprostu mych ziomków, a nie wyciskać strumienie łez ich połowicom. Występnego kochanka zrobiłem dzisiejszym paniczem, hojnym, dość rozwiązłym, nawet nieco

hulaką, ot, jak inni panowie dzisiejsi. Ale co można powiedzieć w teatrze o wielkim panu, bez obrażenia wszystkich, jeśli nie skarcić lekko zbytek jego płochości? Czyż to jest wada, której się sami zapierają? Widzę już jak wielu z nich rumieni się skromnie (o, szlachetny wysiłek!), przyznając że mam słuszność.

Chcąc tedy osądzić mego panka, okazałem wszelako ten wielkoduszny szacunek, że nie użyczyłem mu żadnej z przywar gminu. Powiecie, że nie mogłem był tego uczynić, i że byłoby to pogwałceniem wszelkiego prawdopodobieństwa? Zatem, skoro nie uczyniłem, zapiszcie to na dobro mej sztuki.

Wada nawet o którą go obwiniam nie wywołałaby komicznego starcia, gdybym, w przystępie dobrego humoru, nie przeciwstawił mu arcy-wygi, prawdziwego Figara, który, broniąc Zuzanny jako swej prawej własności, równocześnie drwi sobie z zamiarów pana i oburza się bardzo ucieszenie, iż ten ośmiela się walczyć na spryt z nim, Figarem, mistrzem w tego rodzaju szermierce.

Tak więc, z dość żywej walki między nadużyciem i potęgą, zdeptaniem zasad, hojnością, sposobnością, wszystkiem co pokusa ma najwymowniejszego, i tem co, z drugiej strony, temperament, spryt, zdeptana ambicja mogą przeciwstawić temu atakowi, rodzi się w mojej sztuce zabawna gra. Mąż-uwodziciel, nękany, skłopotany, raz po raz wytropiony i wystrychnięty na dudka, musi trzy razy w ciągu dnia paść do nóg żony, która, dobra, pobłażliwa i czuła, przebacza w końcu; jak w życiu! Cóż w tym morale tak nagannego, panowie?

Czy wydaje się on wam nieco lekki, jak na powagę, z którą tu przemawiam? Więc oto macie nieco surowszy, który rani wasze oczy w mem dziele, mimo żeście go nie szukali: a to, iż wielki pan, dość rozpustny aby chcieć poddać swym kaprysom wszystko co odeń zawisłe, aby igrać na swoich terytorjach z wstydem młodych poddanek, musi, jak mój hrabia, stać się w końcu pośmiewiskiem własnej służby. I to autor wyraził bardzo silnie, skoro, w piątym akcie, Almawiwa, wściekły, sądząc iż pognębi niewierną żonę, wska-

zuje ogrodnikowi altanę, wołając: *Wejdź, Antonio; przyprowadź przed jej sędziego bezwstydną, która mnie zniesławiła;* ten zaś odpowiada: *Do paralusza, jest tedy Opatrzność na świecie! tyleś pan się tego napraktykował w okolicy, trzebaż było aby przyszła pańska kolej...*

Ten głęboki morał bije z całego dzieła; gdyby przystało autorowi wykazywać przeciwnikom, że, poprzez swą silną lekcję, posunął szacunek dla godności winnego dalej niż można się było spodziewać po energji jego pendzla, zwróciłbym ich uwagę, że hrabia Almawiwa, raz po raz paraliżowany w swoich zamysłach, jest w oczach widzów wciąż upokorzony, nigdy zbezczeszczony.

W istocie, gdyby hrabina uciekła się do podstępu, aby oślepić jego zazdrość w zamiarze zdradzenia męża; wówczas, stawszy się winną sama, nie mogłaby zgiąć do swych stóp małżonka, nie poniżając go w naszych oczach. Gdyby zbrodnicze intencje żony stargały czcigodny węzeł, możnaby zarzucić autorowi, iż kreśli skażone obyczaje; w przedmiocie bowiem obyczajów sąd wasz tyczy się zawsze kobiet; nie cenicie mężczyzn natyle, aby, w tej delikatnej sprawie, wymagać od nich równie wiele. Ale hrabina jest nader odległa od tego szpetnego zamiaru; niezłomnym faktem jest, że nikt nie chce oszukać hrabiego; jedynie przeszkodzić aby on nie oszukiwał wszystkich. *Czystość pobudek* ratuje tutaj *środki;* przez to samo że hrabina chce jeno odzyskać męża, wszystkie jego konfuzje są niewątpliwie bardzo moralne, a żadna nie jest hańbiąca.

Iżby ta prawda wyraźniej biła w oczy, autor przeciwstawia temu niezbyt skrupulatnemu mężowi najcnotliwszą z żon, i z natury i z zasad.

Kobietę tę, opuszczoną przez nazbyt kochanego męża, w jakiejż chwili pokazuje waszym oczom? W chwili krytycznej, gdy życzliwość dla miłego dzieciaka, jej chrzestnego syna, może się stać niebezpieczna, o ile ona sama dopuści, aby słuszna uraza zyskała nad nią zbyt wiele władzy. Jeśli autor stawia ją na chwilę w walce z rodzącą się skłonnością, groźną dla obowiązku, to aby tem lepiej uwy-

datnić jej szczerą miłość tego obowiązku. Och, jakąż broń ukuto z tej lekkiej intryżki, aby nas obwinić o nieskromność! Uznajecie w tragedji, że wszystkie królowe, księżniczki żywią płomienne namiętności i zwalczają je, mniej lub więcej skutecznie; ale nie znosicie, aby w komedji pospolita kobieta walczyła przeciw najlżejszej słabości! O, przemożny *wpływie afisza!* pewny i odpowiedzialny sądzie! skoro odmieniono rodzaj, ganicie tutaj to samo, czemuście tam przyklaskiwali. A przecie w obu wypadkach zasada jest ta sama: niema cnoty bez ofiary.

Ośmielam się apelować do was, młode nieszczęśnice, które zły los przykuł do *Almawiwów?* Czy zawsze odróżniłybyście waszą cnotę od waszych udręczeń, gdyby jakaś niewczesna sympatja, zbyt skwapliwie kusząc się je rozprószyć, nie ostrzegła was, iż pora do walki w obronie tej cnoty? Ból jej że straciła serce męża, nie to nas wzrusza; żal tak osobisty nie może być jeszcze cnotą. Co nam się podoba w hrabinie, to że widzimy ją w otwartej walce, tak przeciw rodzącej się skłonności, jak przeciw słusznej urazie. Wysiłki, jakich dokłada aby odzyskać niewiernego męża, oświetlają najkorzystniej podwójną ofiarę, jaką czyni ze swej skłonności i ze swego gniewu; nie trzeba się zastanawiać ani chwili aby przyklasnąć jej tryumfowi; jest ona wzorem cnoty, chwałą swej płci a rozkoszą naszej.

Jeśli ta filozofja uczciwości scenicznej, jeśli ta tryumfalna zasada obyczajności teatralnej, nie uderzyła naszych sędziów na przedstawieniu, próżno siliłbym się tutaj rozwijać jej konsekwencje. Stronniczy trybunał nie słucha obwinionego którego zgóry chce zgubić; mojej zaś hrabiny nie postawiono przed sąd całego narodu: sądzi ją jedynie komisja.

Lekki zarys jej miłego charakteru można było oglądać w uroczej sztuce *Na szczęście.* Rodząca się skłonność młodej kobiety do kuzynka swego, oficera, nie wydaje się naganna nikomu, mimo że przebieg pozwalał się domyślać, iż wieczór skończyłby się może inaczej, gdyby mąż nie był wrócił, jak powiada autor, *na szczę-*

ście. Na szczęście także, nie było zamiaru spotwarzenia tego autora: każdy poddał się swobodnie miłemu zainteresowaniu, jakie budzi uczciwa i tkliwa młoda kobieta, która powściąga pierwsze niepokoje serca: a zważcie, że w tej sztuce mąż jest tylko niezdarą; w mojej jest niewierny: hrabina ma większą zasługę.

To też, w dziele którego bronię, główne światło skupia się na hrabinie; reszta jest w tym samym duchu.

Czemu Zuzanna, sprytna pokojóweczka, zręczna i roześmiana, ma również prawo do sympatji? Bo, nagabywana przez potężnego uwodziciela, z większą wymową pokus niż trzeba zazwyczaj aby pokonać prostą dziewczynę, nie waha się zwierzyć zamysłów hrabiego dwóm osobom, najbardziej mającym powód czuwać nad jej postępkami: swej pani i swemu narzeczonemu. W całej roli, bodaj najdłuższej z całej sztuki, niema ani jednego zdania, słowa, któreby nie oddychało rozsądkiem i miłością obowiązku: jedyny podstęp, na jaki sobie pozwala, to na rzecz swej pani, która umie cenić jej przywiązanie i która sama żywi jeno uczciwe zamysły.

Czemu, w zuchwalstwach swoich wobec hrabiego, Figaro bawi mnie, miast oburzać? Bo, w przeciwieństwie do zwykłych ról lokajów, nie jest (i wiecie o tem) szpetnym charakterem komedji. Widząc go, jak, w walce z silniejszym, musi odpierać zniewagę zręcznością, przebaczamy mu wszystko, skoro wiemy, że walczy ze swym panem na chytrość jedynie poto, aby chronić przedmiot swej miłości i ocalić swą własność.

Zatem, prócz hrabiego i jego zauszników, każdy czyni tam mniejwięcej to co powinien. Jeśli wyciągacie ujemne wnioski o moich bohaterach stąd że jedni mówią źle o drugich, to wielki błąd. Patrzcież na nasze najwytworniejsze towarzystwo: toć życie całe spędza na tem zajęciu! Do tego stopnia zgoła przyjęte jest szarpać nieobecnych, że ja, który bronię ich zawsze, słyszę często pomruki: „Czart nie człowiek: jaki on nieznośny! mówi dobrze o wszystkich!“

Może wreszcie gorszy was mój pazik? czyżby niemoralność,

którą zarzucają treści, miała istnieć w szczegółach? O, wybredni cenzorzy, niestrudzone pięknoduchy, inkwizytorzy moralności, którzy potępiacie, w jednem mgnieniu oka, owoc refleksyj lat pięciu, bądźcież raz sprawiedliwi, to nie zobowiąże was jeszcze do niczego! Trzynastoletnie dziecko, pod wpływem pierwszych uderzeń serca wyciągające rękę po wszystko a nic nie zdolne wyróżnić; ubóstwiające, jak się ubóstwia w tym szczęsnym wieku, przedmiot dlań niebiański a który traf uczynił jego chrzestną matką, czyż może być zgorszeniem? Kochany przez wszystkich, żywy, psotny i postrzelony jak wszystkie dzieci bystre, raz po raz swoją ruchliwością mięsza niechcący występne zamiary hrabiego. To dziecię natury; wszystko co widzi, wyraża się w drgnieniach jego serca; może nie jest już dzieckiem, ale nie jest jeszcze mężczyzną; oto moment jaki wybrałem aby pozyskać dlań sympatje, nie zmuszając nikogo do rumieńca. Niewinne uczucia, jakie go nurtują, udzielają się wszystkim dokoła. Powiecie, że to co budzi, to miłość? To złe słowo, panowie cenzorzy. Jesteście zbyt światli, aby nie wiedzieć, że miłość, bodaj najczystsza, dąży do czegoś: nie kocha się tedy Cherubina; czuje się że kiedyś będzie się go kochało. Tę właśnie myśl, w wesołej formie, włożył autor w usta Zuzanny, kiedy mówi miłemu dzieciakowi: *Och! za parę lat, przepowiadam, wyrośnie z ciebie największe małe ladaco pod słońcem...*

Aby uwydatnić jeszcze ten charakter dziecięctwa, zaznaczyliśmy umyślnie, że Figaro go *tyka*. Czy przypuszczacie, iż, w dwa lata później, sługa pałacowy ośmieliłby się na to? Patrzcież pod koniec sztuki na naszego pazika; ledwie wdział mundur oficera, już sięga do szpady za pierwszym żarcikiem hrabiego z powodu *quiproquo* z policzkiem. Będzie chwat z naszego urwisa! ale dziś, to tylko dziecko, nic więcej. Czyż nie widziałem, jak nasze panie, w łożach, rozpływały się nad nim? Czegóż spodziewały się po tym dzieciaku? Niestety! niczego: była to niewątpliwie sympatja, ale, jak u hrabiny, czysta i niewinna... skłonność... bez określonych widoków.

Ale czy to osoba pazia, czy też własne sumienie zadaje magna-

towi udrękę, za każdym razem kiedy autor każe się im spotkać? Zwróćcie uwagę na to spostrzeżenie: może was skierować na dobry ślad; lub raczej poznajcie z niego, iż dziecię to wprowadzono na scenę, aby podkreślić jeszcze morał, pokazując że największego tyrana domowego, z chwilą gdy nosi się z występnemi zamiarami, może doprowadzić do rozpaczy istota najmniej ważna, ten który najbardziej obawia się znaleźć na jego drodze.

Kiedy mój pazik będzie miał lat ośmnaście, przy wrzącym charakterze jaki mu dałem, zawiniłbym, to pewna, gdybym go pokazał. Ale, w trzynastym roku, cóż on budzi? Coś tkliwego i słodkiego, coś co nie jest ani przyjaźnią ani miłością, a ma równocześnie coś z obu.

Trudnoby mi było kazać uwierzyć w niewinność tych wrażeń, gdybyśmy żyli w wieku mniej moralnym, w jednej z owych epok trawionych rachubą, gdzie, chcąc mieć wszystko przedwcześnie, jak owoce swoich cieplarni, magnaci żenili dzieci w dwunastym roku, naginając naturę, obyczajność i smak do najbrudniejszych obliczeń, spiesząc się zwłaszcza wycisnąć, z tych niedokształtowanych istot, dzieci jeszcze mniej dojrzałe, o których szczęście nie troszczył się nikt i które były jedynie pretekstem politycznego handlu, nie mającego żadnego związku z nimi, ale z ich nazwiskiem. Szczęściem, jesteśmy od tego daleko; i charakter mego pazia, bez znaczenia dla niego samego, posiada, w stosunku do hrabiego, znaczenie, które moralista spostrzega, ale które nie uderzyło jeszcze naszych opinjodawców.

Tak więc, w tem dziele, każda ważna rola ma jakiś cel moralny. Jedyna, która zdaje mu się chybiać, to rola Marceliny.

Winna dawnego zbłąkania, którego Figaro jest owocem, powinnaby, mówią, czuć się ukarana bodaj hańbą występku, w chwili gdy poznaje syna. Autor mógł wydobyć morał głębszy: wedle obyczajów które chce poprawić, błąd uwiedzionej dziewczyny jest winą mężczyzn, nie jej. Czemuż tego nie zrobił?

Zrobił to, roztropni cenzorzy! Zważcie następującą scenę, któ-

ra stanowiła oś trzeciego aktu, a którą autor usunął, na prośby aktorów, lękających się aby ustęp tak poważny nie przyćmił wesołości.

Kiedy Molier dość upokorzył kokietkę czy ladacznicę z *Mizantropa* publicznem odczytaniem jej listów do wszystkich kochanków, zostawia ją splugawioną pod ciosami jakie jej zadał; ma słuszność; i cóżby z nią począł? Jest występna z własnego wyboru i chęci: doskonale pocieszona wdowa, modnisia dworska, nie mająca nic na usprawiedliwienie swych błędów, plaga zacnego człowieka; autor wydaje ją naszej wzgardzie i taki jest jego morał. Co do mnie, przedstawiając szczere wyznanie Marceliny w chwili niespodzianego poznania, ukazałem tę kobietę upokorzoną, w obliczu Bartola który ją odtrąca, i Figara, ich wspólnego syna, ściągającego uwagę publiczną na prawdziwych winowajców nierządu, w jaki wciąga się bez litości wszystkie dziewczyny z ludu, obdarzone ładną buzią.

Oto przebieg tej sceny:

GĄSKA, *mówiąc o Figarze, który poznał w Marcelinie swą matkę.* To ja-asne: nie o-żeni się z nią.

BARTOLO. Ani ja.

MARCELINA. Ani ty! A twój syn? Przysiągłeś mi...

BARTOLO. Byłem szalony. Gdyby podobne wspomnienia obowiązywały, trzebaby się żenić z całym światem.

GĄSKA. A gdy-yby wglą-ądać tak ściśle, nikt nie że-eniłby się z nikim.

BARTOLO. Błędy tak pospolite! opłakana młodość!

MARCELINA, *rozgrzewając się stopniowo.* Tak, opłakana, więcej niżby kto mniemał! Nie myślę zapierać się swych błędów; ten dzień dostarczył aż nazbyt jawnego ich dowodu. Ale jak ciężko pokutować za nie po trzydziestu latach przykładnego życia! Urodziłam się aby być cnotliwą i byłam nią odkąd mi dane mi było osiągnąć pełnię rozumu. Ale, w wieku złudzeń, niedoświadczenia i potrzeb. gdy uwodziciele oblegają nas a nędza nas zjada, co może przeciwstawić biedna dziewczyna tylu zjednoczonym wrogom? Niejeden z tych, co nas surowo sądzą, sam, w swojem życiu, zgubił może dziesięć nieszczęśliwych!

FIGARO. Najwinniejsi są najmniej wspaniałomyślni; oto reguła.

MARCELINA, *z uniesieniem.* Ludzie więcej niż niewdzięczni, którzy ka-

łacie wzgardą igraszki swoich namiętności, swoje ofiary, was to trzebaby karać za błędy naszej młodości: was, i waszych sędziów tak dumnych z prawa sądzenia nas a zarazem, przez swą zbrodniczą niedbałość, odejmujących nam wszelki uczciwy sposób egzystencji! Czy jest choć jedno rzemiosło dla nieszczęśliwych dziewcząt? Miały naturalne prawo do wszystkiego co jest strojem kobiecym; dziś, współzawodniczą z niemi tysiące mężczyzn robotników.

FIGARO. Każą haftować nawet żołnierzom!

MARCELINA, *podniecona.* Nawet w najwyższych klasach, kobiety uzyskują od was jedynie parodje szacunku. Mamione pozorną czołobitnością, tkwią w istotnej niewoli; traktowane jak małoletnie gdy chodzi o ich majątek, karane jak pełnoletnie gdy chodzi o ich błędy; ha! z każdego punktu widzenia, postępowanie wasze budzi we mnie wstręt lub litość.

FIGARO. Ma słuszność.

HRABIA, *na stronie.* Straszliwą słuszność.

GĄSKA. Mój Bo-oże, ma słuszność.

MARCELINA. Ale co nam znaczy, synu, odmowa niegodziwego człowieka? Nie patrz skąd przychodzisz, ale dokąd idziesz; to jedno ma wagę dla świata. Za kilka miesięcy, narzeczona twoja zależeć będzie tylko od siebie: przyjmie cię, ręczę: żyj między żoną a tkliwą matką, które będą cię kochały na wyprzódki. Bądź pobłażliwy dla nich, szczęśliwy dla siebie, wesół, dobry i miły dla całego świata, a matka twoja nie będzie pragnąć więcej.

FIGARO. Złote słowa, mamusiu, jestem twojego zdania. Jacyż ludzie są głupi, w istocie! na te tysiące lat, które świat się toczy, w tym oceanie istnienia, gdzie przypadkowo wyłowiłem jakieś tam liche trzydzieści lat, które nie wrócą już nigdy, miałbym się dręczyć tem, komu je jestem winien! Pal sześć tych, którzy się tem kłopocą. Spędzić tak życie na szamotaniu się, to znaczy ciągle czuć swoje chomonto, jak te nieszczęśliwe konie, holujące galary pod wodę, które nie spoczywają nigdy, nawet kiedy stoją w miejscu, i wciąż ciągną, mimo iż przestają iść. Zaczekamy.

Żal mi było tego ustępu; i teraz, kiedy sztuka jest znana, gdyby aktorzy mieli odwagę przywrócić go na mą prośbę, sądzę że publiczność byłaby im tylko wdzięczna. Nie potrzebowaliby nawet odpowiadać, jak ja byłem do tego zmuszony, wobec pewnych cenzorów wielkiego świata, którzy zarzucali mi w czytaniu, że staram się wyłudzić ich zainteresowanie dla kobiety złych obyczajów. — Nie, panowie, nie mówię tego aby usprawiedliwić jej obyczaje, ale aby

przyprawić was o rumieńce za wasze, w przedmiocie najbardziej wrogim uczciwości, t. j. *skażenia młodych dziewcząt.* Miałem słuszność, mówiąc że moja sztuka zdaje się wam za wesoła, dlatego że jest niekiedy zbyt poważna. Chodzi tylko o rozumienie.

— Ale pański Figaro, to istny młynek ognisty, który, kręcąc się, osmala mankiety całemu światu. — *Całemu światu,* to przesada. Niechże uznają to bodaj, że nie parzy palców i tym, którzy chcą się w nim poznawać: w dzisiejszym czasie, byłoby to w teatrze wdzięczne zadanie. Czy wolno mi tylko tak pisać, jak pisze młody autor, świeżo wypuszczony z kolegjum? Wciąż pobudzać śmiech dzieci, nie mając nic do powiedzenia dorosłym? I czy nie powinniście mi darować trochę morału przez wzgląd na mą wesołość, tak jak świat odpuszcza Francuzom nieco szaleństwa przez wzgląd na ich rozsądek?

Jeśli wylałem na nasze głupstwa jedynie nieco żartobliwej krytyki, to nie znaczy abym się nie umiał zdobyć na surowszą; kto zawarł w swem dziele wszystko co wie, włożył w nie więcej niż ja w moje. Ale mnóstwo myśli, które mnie oblegają, zachowuję na jeden z najbardziej moralnych tematów, który mam obecnie na warsztacie: *Występna matka.* Jeśli obrzydzenie, jakiem mnie poją, pozwoli mi go skończyć, wobec tego że zamiarem moim jest wycisnąć łzy wszystkim tkliwym kobietom, podniosę ton do wysokości sytuacyj; rozrzucę rysy najsurowszej moralności i będę grzmiał przeciw błędom, które nazbyt oszczędzałem. Gotujcież się tedy, panowie, dręczyć mnie na nowo; z piersi mojej wydarł się już pomruk; zaczerniłem już dużo papieru do usług waszej irytacji.

A wy, obojętni poczciwcy, którzy bawicie się wszystkiem, nie przechylając się na żadną stronę; wy, skromne i nieśmiałe kobietki, którym podoba się mój *Szalony Dzień* (jeśli podejmuję jego obronę, to jedynie aby usprawiedliwić wasz smak), skoro usłyszycie gdzie jednego z owych mądralów, jak krytykuje ogólnikowo sztukę, jak wszystko gani nie wskazując niczego palcem, jak krzyczy zwła-

szcza na nieobyczajność, przyjrzyjcie się mu dobrze, wywiedzcie się o jego pozycję, stan, charakter, a zgadniecie natychmiast, jakie słówko uraziło go w mem dziele.

Każdy czuje chyba, że nie mówię o szumowinie literackiej, która sprzedaje swoje biuletyny lub artykuły, od sztuki. Tacy, jak wielebny Bazylio, mogą spotwarzać; *gdyby nawet tylko obmawiali, niktby im nie uwierzył.*

Jeszcze mniej mam na myśli owych bezecnych gryzipiórków, którzy nie znaleźli innego sposobu nasycenia swej wściekłości (wobec tego iż skrytobójstwo jest zbyt niebezpieczne), jak tylko rzucać z pod pułapu bezecne wiersze przeciw autorowi, gdy na scenie grają jego sztukę. Wiedzą, że ich znam; gdybym miał zamiar ich nazwać, uczyniłbym to głośno w ministerstwie publicznem; dość im kary że musieli się tego obawiać; to starczy dla mej zemsty. Ale nikt sobie nie wyobrazi, jak wysoko oni zdołali skierować podejrzenia publiczności z przyczyny tak podłego epigramu! Podobni są w tem nędznym szarlatanom jarmarcznym, którzy, aby dodać powagi swym miksturom, obwieszają orderami i wstęgami obraz który im służy za godło.

Nie; cytuję tutaj naszych wścibskich, którzy, draśnięci, nie wiadomo dlaczego, krytykami rozsianemi w dziele, silą się mówić o niem źle, nie przestając się cisnąć na moje *Wesele.*

Jestto dość ucieszna rzecz widzieć ich w teatrze, w bardzo zabawnym kłopocie, kiedy nie mogą okazać zadowolenia ani gniewu; wysuwają się na przód loży, gotowi drwić z autora, i cofają się natychmiast, aby ukryć cień uśmiechu; porwani werwą wiejącą ze sceny i natychmiast zachmurzeni pędzlem moralisty. Za najlżejszym rysem wesołości udają smutno-zdziwionych, robią niezręczne podrygi udając wstydliwość, i spoglądają kobietom prosto w oczy, z wyrzutem iż cierpią takie zgorszenie; następnie, podczas gromkich oklasków, rzucają na publiczność wzgardliwe spojrzenia któremi ją miażdżą; wciąż gotowi wołać do parteru, jak ów molierowski laluś, który, oburzony powodzeniem *Szkoły żon,* wołał z bal-

konu: *Śmiejcież się, chamy, śmiejcież się!* Zaiste, przednia to zabawa, i kosztowałem jej niejeden raz.

To mi przypomina co innego. Podczas pierwszego spektaklu *Szalonego Dnia,* oburzano się w kurytarzach na to, co nazywano dowcipnie *mojem zuchwalstwem.* Jakiś impetyczny staruszek, zniecierpliwiony temi krzykami, uderzył laską o podłogę i rzekł odchodząc: *Francuzi są jak dzieci: drą się, kiedy ich myją.* Miał olej w głowie, ten staruszek! Można było zapewne lepiej się wyrazić, ale lepiej myśleć, wątpię.

Wobec tej intencji ganienia wszystkiego, można pojąć że najtrafniejsze rysy tłumaczono opacznie. Czyż nie słyszałem sto razy, jak szmerek biegł po lożach po tej odpowiedzi Figara:

HRABIA. Reputacja opłakana!

FIGARO. A jeślim więcej wart od niej? Czy dużo wielkich panów mogłoby to samo powiedzieć o sobie?

Otóż, ja twierdzę, że niema ich, nie może ich być, chyba rzadkim wyjątkiem. Człowiek mało znany może być więcej wart niż jego reputacja, która jest tylko *cudzem mniemaniem.* Ale, jak głupiec na wysokiem stanowisku wydaje się dwa razy głupszy, bo nie może nic utaić, tak samo wielki pan, obsypany godnościami, którego majątek i ród pomieściły na świeczniku, i który, wchodząc w świat, ma za sobą wszystko, wart jest prawie zawsze mniej niż jego reputacja, o ile zdoła ją zepsuć. Czyż twierdzenie tak proste i tak dalekie od sarkazmu powinno było wywołać szmer? Jeśli aluzja wydaje się dotkliwa magnatom nie dbałym o swą sławę, jak może zranić tych, którzy zasługują na szacunek? jakaż maksyma padająca ze sceny snadniej może posłużyć za hamulec możnym tego świata i zastąpić naukę tym, którzy nie raczą przyjmować nauk od nikogo?

Nie iżby trzeba było zapominać (powiedział pewien poważny pisarz, i tem chętniej go cytuję, ile że jestem jego zdania), „nie iżby trzeba było zapominać, mówi, co się należy wysokiemu stanowi-

sku; słuszna jest, przeciwnie, aby przywilej urodzenia najmniej ze wszystkich podawano w wątpliwość. To darmo otrzymane dobrodziejstwo, owoc czynów, cnót i zasługi przodków, nie może ranić miłości własnej tych którym go los odmówił. Gdyby w monarchji usunąć pośrednie stopnie, za daleko byłoby od monarchy do poddanych; niebawem ujrzałoby się jedynie despotę i niewolników. Utrzymanie drabinki od prostego rolnika aż do potentata, leży jednako w interesie wszystkich stanów i jest może najsilniejszą podporą monarchicznego ustroju".

Ale któż-to przemawiał w ten sposób? kto składał to *credo* szlachectwa, od którego sądzą mnie tak dalekim? Piotr Augustyn Caron de Beaumarchais, broniąc na piśmie, przed parlamentem w Aix, w r. 1778, doniosłej i poważnej kwestji, która miała niebawem rozstrzygnąć o honorze pewnego szlachcica i jego własnym. Dzieło, którego bronię, nie zaczepia stanów, ale *nadużycia każdego stanu:* jedynie ludzie, którzy się ich dopuszczają, mają powód się oburzać. Oto i przyczyna hałasów. Jakżeto? czyżby nadużycia stały się tak święte, że nie można żadnego zaczepić, aby nie spotkać dwudziestu obrońców?

Sławny adwokat, czcigodny sędzia, czy posuną się aż tak daleko, aby się utożsamiać z obroną Bartola lub wyrokiem Don Guzmana Gąski? Słowa Figara o niegodnem nadużywaniu obrony za naszych czasów („to znaczy poniżać najszlachetniejszą instytucję") wskazały, jak wysoko stawiam szlachetne rzemiosło adwokata; a szacunku mego dla sądownictwa nikt nie zechce podejrzewać, skoro będzie wiadomo, skąd czerpałem swą naukę i skoro przeczytacie następujący ustęp, również zaczerpnięty z pewnego moralisty, który, mówiąc o sędziach, wyraża się tak:

„Któryż zamożny człowiek, chciałby, za nader skromne honorarjum, wykonywać to straszliwe rzemiosło? wstawać o czwartej rano, aby codziennie udawać się do trybunału i zajmować się tam, wedle przepisanej formy, sprawami nie dotyczącemi go osobiście? znosić bezustanku nudę natrętów, przykrość nalegań, gadulstwo

obrońców, monotonję posiedzeń, znużenie i napięcie uwagi konieczne do wydania wyroku? Któż zgodziłby się na to, gdyby nie uważał, że to pracowite i uciążliwe życie dostatecznie opłacone jest czcią i szacunkiem publicznym? A ten szacunek, czyż to jest co innego, niż sąd ogółu, który, jeśli tak wysoko stawia dobrych sędziów, w tym samym stosunku odnosi się z najwyższą surowością do złych". Któryż-to pisarz dawał mi takie nauki? Pomyślicie, że to znowuż Piotr Augustyn; odgadliście: to on, w r. 1773, w czwartym *Memorjale*, broniąc do upadłego swej smutnej egzystencji, zaczepionej przez rzekomego sędziego. Szanuję tedy jawnie to co każdy winien poważać, a potępiam co może być szkodliwe.

— Ale, w tym *Szalonym Dniu*, miast podkopywać nadużycia, pozwala pan sobie na swobody bardzo naganne; twój monolog zwłaszcza zawiera, na temat ludzi pokrzywdzonych losem, uwagi przechodzące granice swywoli. — Ech! czyż mniemacie, panowie, że ja miałem jakiś talizman, aby zwieść, omamić, spętać cenzurę i władze, kiedy im przedkładałem swoje dzieło? że nie musiałem usprawiedliwić tego, com ośmielił się napisać? Cóż mówi Figaro, gdy przemawia do człowieka wypadłego z łaski? *Że głupstwa drukowane mają znaczenie jedynie tam, gdzie się krępuje ich obieg.* Czyż to jest tak niebezpieczna prawda? Czemuż nie poniechać tych dziecinnych i nużących inkwizycyj, dających dopiero wagę temu, co nie miałoby jej nigdy? Gdyby, jak w Anglji, władze umiały traktować głupstwa ze wzgardą która je zabija, wówczas, miast wychodzić ze śmietniska gdzie się wylęgły, gniłyby tam w zarodku i nie rozprzestrzeniałyby się. Mnoży takie pisemka słabość która się ich lęka; przyczynia się do ich sprzedaży głupota która je ściga.

I jak konkluduje Figaro? *Iż, bez swobody krytyki, nie istnieje pochlebna pochwała; i że jedynie mali ludzie obawiają się małych pisemek.* Czy to są karygodne zuchwalstwa, czy też zachęta do cnoty? zamach na moralność, czy też maxymy głęboko przemyślane, równie sprawiedliwe jak ożywcze?

Przypuśćcie, że są one owocem wspomnień. Jeśli, zadowolony

z obecności, autor, przez swą krytykę przeszłości, czuwa nad przyszłością, kto ma prawo się uskarżać? I jeżeli, nie wskazując czasu, miejsca ani osób, otwiera, przy pomocy sceny, drogę dla pożądanych reform, czyż nie osiąga swego celu?

Szalony dzień tłumaczy tedy, jak, w pomyślnym czasie, pod sprawiedliwym królem i ministrami pełnymi umiarkowania, pisarz może grzmieć przeciw ciemiężcom, bez obawy zranienia kogoś. Za panowania dobrego władcy maluje się grozę złych; im rząd jest roztropniejszy, bardziej oświecony, tem mniej uciśniona jest wolność prasy. Ponieważ każdy pełni swój obowiązek, nikt nie lęka się aluzyj; ponieważ żaden człowiek na stanowisku nie obawia się tego co musi poważać, niema u nas zwyczaju uciskania literatury, która stanowi naszą chlubę i daje nam w świecie wyższość, niedostępną dla nas na innem polu.

W istocie, z jakiego tytułu mamy sobie rościć do niej prawa? Każdy naród trzyma się swej religji i kocha swój rząd. Nie jesteśmy dzielniejsi od tych, którzy nas pobili z kolei. Obyczaje nasze, łagodniejsze ale nie lepsze, nie mają nic, coby nas wynosiło nad innych. Jedynie nasze piśmiennictwo, szanowane przez wszystkie narody, rozciąga panowanie francuskiego języka i zyskuje nam w całej Europie niezaprzeczone pierwszeństwo, chlubnie usprawiedliwiające opiekę rządu.

Że zaś każdy szuka zawsze jedynego przymiotu którego mu brakuje, widzimy, że w naszych Akademjach panowie ze Dworu zasiadają pospołu z mężami pióra; osobisty talent i dziedziczne stanowisko idą o lepsze w tym szlachetnym wyścigu, archiwa zaś Akademji wypełniają się porówni papierami i pergaminami.

Wróćmy do *Szalonego Dnia.*

Pewien pan, który ma dowcip, ale go nadto oszczędza, powiadał mi jednego wieczora: „Niech mi pan wytłumaczy, jeśli łaska, czemu w pańskiej sztuce jest tyle zdań niedbałych i nie pańskiego stylu? — Mego stylu, łaskawy panie? Gdybym, na nieszczęście, miał jaki, starałbym się zapomnieć o nim, pisząc komedję. Nie

znam nic gorszego w teatrze, niż owe mdłe malowidła, gdzie wszystko jest niebieskie, wszystko różowe, gdzie wszystko jest *autorem*, bez względu na jego wartość.

Skoro przedmiot mnie opanuje, tworzę w wyobraźni wszystkie figury i stawiam je w danej sytuacji. — Myśl o sobie, Figaro, hrabia przeniknął twoją grę. — Umykaj, Cherubinie, natknąłeś się na Jego Dostojność. — Och! pani hrabino, cóż za nierozwaga... znając gwałtowność męża!... — Co powiedzą, nie wiem; zajmuje mnie to, co *zrobią*. Skoro się raz rozgrzeją, piszę pod ich dyktandem, pewny że mnie nie oszukują; że poznam Bazylja, który nie posiada ciętości Figara, ani grandezzy hrabiego, ani słodyczy hrabiny, ani wesołości Zuzanny, ani pustoty pazia, a zwłaszcza żadne z nich nie ma wzniosłości don Guzmana Gąski. Każdy przemawia swoim językiem: niechże bóg Naturalności broni ich, by mieli mówić innym! Zwracajmy tedy uwagę jedynie na ich myśli, a nie na to czym powinien był użyczyć im swego stylu.

Niechętni próbowali zohydzić to zdanie Figara: *Czy my jesteśmy żołnierze, którzy zabijają i dają się zabijać za sprawy których nie znają? Ja chcę wiedzieć, do kroćset, o co się gniewam!* Poprzez opary swej tępoty, wnioskują z tego, *że ja rzucam niekorzystne światło na mozolne rzemiosło żołnierza; a są rzeczy, których nigdy nie godzi się mówić.* Oto, w całej potędze, złośliwość tego argumentu; pozostaje dowieść jego głupoty.

Gdybym, porównując mozoły służby orężnej ze skromnością płacy, lub rozważając inną przykrą stronę wojny a nie licząc za nic sławy, rzucał ujemne światło na ten najszlachetniejszy ze strasznych zawodów, słusznie żądanoby odemnie rachunku za niebacznie rzucone słowa. Ale, od żołnierza do pułkownika, do samego generała, któryż żołnierz był tak szalony, aby mieć pretensję przeniknąć tajemnice Stanu, dla których toczy się wojna? A o to tylko chodzi w owem zdaniu Figara. Niech się pokaże ten szaleniec, jeśli istnieje; poślemy go na studja do filozofa Babuka, który wymownie objaśnia ten punkt dyscypliny.

Zastanawiając się nad użytkiem, jaki człowiek robi z wolności w trudnych okazjach, Figaro mógłby, tak samo, przeciwstawić swej sytuacji wszelki zawód, który wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa: zarówno gorliwego cenobitę, którego obowiązkiem jest wierzyć nie roztrząsając, jak dzielnego wojownika, którego chwała polega na tem, aby ważyć się na wszystko na rozkaz, *zabijać i ginąć dla spraw których nie zna*. Figaro nie mówi tedy nic, chyba to, że człowiek wolny musi kierować się innemi zasadami niż ci których powinnością jest ślepe posłuszeństwo.

Cóżby to było, wielki Boże, gdybym zrobił użytek ze słów przypisywanych wielkiemu Kondeuszowi i wychwalanych pod niebiosa przez tych samych logików, którzy plotą głupstwa krytykując moje słowa?

Jeśli im wierzyć, wielki Kondeusz okazał najszlachetniejszą przytomność umysłu, gdy, powstrzymując Ludwika XIV-go, już gotowego rzucić się z koniem do Renu, rzekł: *Najjaśniejszy Panie, czy chcesz się ubiegać o buławę marszałka?*

Szczęściem, nie jest dowiedzione, aby ów wielki człowiek powiedział to wielkie głupstwo. Znaczyłoby to rzec królowi, wobec całej armji: „Czyś oszalał, Najjaśniejszy Panie, aby się narażać? Ten tylko waży się na podobne niebezpieczeństwa, kto łaknie zaszczytów lub fortuny!“

Tak więc, najdzielniejszy, największy wódz swego czasu, miałby za nic liczyć honor, patrjotyzm, sławę! nędzny interes byłby, wedle niego, jedyną pobudką! To byłyby straszne słowa, i gdybym z nich wziął natchnienie, zasłużyłbym na naganę, jaką napiętnowano mnie tak niewinnie.

Pozwólmy tedy mętnym mózgom chwalić lub ganić na wiatr, bez rozeznania; rozpływać się nad niedorzecznością której nigdy nie powiedziano, a potępiać słuszny i prosty wyraz zdrowego rozsądku.

Drugi zarzut, dość silny, z którego nie mogłem się oczyścić, jest, że wskazałem jako schronienie dla hrabiny klasztor Urszulanek.

Urszulanki! wykrzyknął młody panek, klaszcząc w ręce z hałasem. *Urszulanki!* zawołała dama, przewracając się w loży ze zdumienia na młodego Anglika. *Urszulanki!* ach! milordzie! gdybyś rozumiał po francusku!... *Ja czuję, ja bardzo czuję*, odparł młody człowiek, rumieniąc się. — Ależ nigdy w teatrze nie zamknięto żadnej kobiety do Urszulanek! Księże, powiedz co myślisz? Księże (wciąż na Angliku), jak ci się wydają *Urszulanki?* — Bardzo nieprzyzwoite, odparł księżyk, nie przestając zerkać na Zuzannę; i cały wielki świat powtórzył: „Bardzo nieprzyzwoite". Biedny autorze! zapadł na ciebie wyrok, gdy każdy myślał o swoich sprawach! Próżno starałem się wykazać, że, w danym momencie, im mniej hrabina ma zamiar zamknąć się w klasztorze, tem bardziej musi to udawać i wpajać w męża wiarę, że dobre obmyśliła miejsce swego schronienia: skazali, bez apelacji, moje *Urszulanki!*

W czasie największych hałasów, ja, człek dobroduszny, posunąłem się do tego, iż poprosiłem jedną z najbardziej uroczych aktorek aby spytała niezadowolonych, jaki inny klasztor uważają za *przyzwoity* dla hrabiny? Mnie wszystko jedno: byłbym ją umieścił u Augustjanek, Celestynek, Klarysek, Wizytek, nawet Karmelitanek bosych, tak mało mi zależy na *Urszulankach*. Ale ludzie są tak bezwzględni!

Wreszcie, gdy hałasy wzrastały ciągle, pragnąc świętej zgody, wykreśliłem *Urszulanki*. Wówczas każdy, rad z siebie i ze swego wybrednego gustu, uspokoił się co do *Urszulanek;* zaczęto mówić o czem innem.

Jak z tego widać, nie jestem wrogiem moich wrogów. Mówiąc wiele złego o mnie, nie zaszkodzili mej sztuce; o ile tylko czuli tyle radości w szarpaniu jej, ile ja miałem przyjemności w jej pisaniu, niktby nie poniósł szkody. Nieszczęście w tem, że oni się nie śmieją: nie śmieją się na mej sztuce, ponieważ nikt się nie śmieje na ich produkcjach. Znam amatorów, którzy mocno schudli od powodzenia *Wesela:* darujmy ich gniewom!

Widzimy przeto morał w całości i w szczegółach płynący falą

niezmąconej wesołości; żywy djalog, którego swoboda zasłania włożoną weń pracę. Jeśli autor dołączył do tego intrygę łatwą i kryjącą artyzm pod samym artyzmem; intrygę, która splata się i rozplata bezustanku, poprzez mnóstwo komicznych sytuacyj, urozmaiconych obrazów, podtrzymujących bez znużenia uwagę publiczności przez trzy i pół godzin (czas widowiska: odwaga, o którą nikt dotąd się nie pokusił): cóż zostaje biednym złośnikom, których wszystko to gniewa? Napadać, ścigać autora potokiem obelg słownych, pisemnych, drukowanych; co też czyniono bez wytchnienia. Wyczerpali wszystko, aż do oszczerstwa, aby mnie zgubić wobec wszystkich czynników decydujących we Francji o spokoju obywatela. Szczęściem, sztuka moja jest dostępna oczom narodu, który, od długich dziesięciu miesięcy, widzi ją, sądzi i ocenia. Dać ją grać póty, póki będzie bawiła, to jedyna zemsta na jaką sobie pozwoliłem. Nie piszę tego dla obecnych czytelników: opis zła nazbyt znanego nie wzrusza; ale za osiemdziesiąt lat wyda on swoje owoce. Autorowie owych czasów porównają swój los z naszym; nasze dzieci dowiedzą się, za jaką cenę wolno było bawić ich ojców.

Idźmy do rzeczy: nie to jeszcze rani. Prawdziwa tajemna pobudka, która w zaułkach serca płodzi wszystkie inne zarzuty, jest ta:

Czemu, choć wszyscy śpieszą go oglądać,
Głupcy szarpią Figara, jak kruki złowieszcze:
Dostawać, brać i znowuż żądać,
To cały sekret: czegóż szukać jeszcze?

W istocie, Figaro, mówiąc o rzemiośle dworaka, określa je tak surowo. Ale mamż wracać do tego? Jeślim zrobił źle, lekarstwo byłoby gorsze: trzebaby ustalić pozytywnie to, com tylko natrącił; wykazać, że francuskie słowa: *dworzanin* a *dworak* — tembardziej *dworak z rzemiosła* — nie są synonimem.

Trzebaby powtórzyć, że słowo *dworzanin* oznacza jedynie szlachetny stan: człowieka wysokiego rodu, żyjącego ze świetnością

i blaskiem jakich wymaga jego stanowisko; że, jeśli ten *dworzanin* miłuje dobro; jeśli, bez czyhania na niczyją szkodę, jedna sobie szacunek swych panów, miłość równych sobie i cześć niższych; wówczas znaczenie to nabiera nowego blasku: niejednego takiego mógłbym z przyjemnością wymienić.

Trzebaby wykazać, że *dworak*, ściśle mówiąc, to nietyle *stan*, ile charakter zręczny, przymilny, ale ostrożny. Taki człowiek ściska wszystkim rękę, ale przemyka się bokiem; prowadzi swą intryżkę, wciąż z pozorem oddania przysługi; nie robi sobie wrogów, ale, w potrzebie, umie podstawić nogę najlepszemu druhowi aby przyspieszyć jego upadek i zająć jego miejsce; depce wszelki przesąd, który mógłby mu stanąć na zawadzie; uśmiecha się do wszystkiego co mu się nie podoba, a krytykuje wszystko co uznaje, wedle tego jakich ma słuchaczy; gdy może wyciągnąć korzyść z miłostek żony lub kochanki, widzi tylko tyle ile trzeba; słowem...

Wszystko przyjmując z obliczem jednakiem,
Jest, w każdym calu, jedynie dworakiem.

La Fontaine.

To nie jest jeszcze tak brzydkie, jak *dworak z rzemiosła*, a o takim właśnie mówi Figaro.

Ale, gdybym rozszerzył jeszcze tę definicję; gdybym, przebiegając wszystkie możliwości, oświetlił cały jego dwuznaczny charakter, ukazałby się wraz pyszny i płaszczący się; pełzający wyniośle; mający wszystkie pretensje bez usprawiedliwienia żadnej; uzurpujący sobie pozory *protekcji*, aby stać się hersztem kliki; oczerniający konkurentów którzy mogliby przeciwważyć jego wpływ; czyniący lukratywne rzemiosło z tego co powinno być jeno zaszczytem; sprzedający własną kochankę swemu panu; każący mu opłacać swoje przyjemności, etc., etc., cztery strony etc.; trzebaby wciąż wracać do dwuwiersza Figara:

Dostawać, brać i znowuż żądać,
To cały sekret: czegóż szukać jeszcze?

Takich nie znam; bywali tacy podobno za *Henryka III*, może za innych królów, ale to jest rzecz historyka. Co do mnie, jestem zdania, że zakały danej epoki są jak jej święci; trzeba stu lat, aby ich kanonizować. Ale, skoro przyrzekłem krytykę własnej sztuki, trzeba mi wypełnić zadanie.

Naogół, wielkim jej brakiem jest to, *że pisałem ją bez zdolności obserwacji; że nie ma w niej nic z realnych stosunków i że nie przypomina w niczem obrazu społeczeństwa; obyczaje jej, podłe i skażone, nie mają nawet tej zalety aby były prawdziwe.* Oto, cośmy czytali niedawno w pięknej drukowanej rozprawie, ułożonej przez zacnego człowieka, któremu, aby zostać miernym pisarzem, brak jedynie nieco talentu. Ale, pomijając jego mierność, ja, który nie posługiwałem się nigdy krzywym i krętym sposobem, zapomocą którego zbir, udając że nie patrzy w tę stronę, wsuwa sztylet pod żebro, godzę się z tym panem. Przyznaję, iż, poprawdzie, poprzednie pokolenie wielce było podobne do mej sztuki; przyszłe również będzie podobne; ale, co się tyczy obecnego, zgoła niema podobieństwa! Nie spotkałem nigdy ani męża uwodziciela, ani magnata rozpustnika, ani chciwego dworaka, ani niesprawiedliwych i tępych sędziów, ani adwokata szermującego obelgami, ani miernot pchających się w górę, ani nikczemnie zawistnego tłumacza. I, jeśli czyste dusze, które nie poznają bynajmniej siebie w tem zwierciedle, złoszczą się na mą sztukę i szarpią ją bez wytchnienia, czynią to jedynie przez szacunek dla swoich dziadów i przez tkliwość dla wnuków. Mam nadzieję, że po tem oświadczeniu zostawią mnie w spokoju; i — SKOŃCZYŁEM.

WESELE FIGARA

CHARAKTERY I STROJE.

HRABIA ALMAWIWA

winien być grany bardzo szlachetnie, ale z wdziękiem i swobodą. Skażenie serca nie powinno nic ujmować z dobrego tonu. Wedle ówczesnych obyczajów, wielcy panowie traktowali jako zabawkę wszystko to co tyczyło czci kobiecej. Rola tem trudniejsza do dobrego oddania, ile że, w sztuce, osobistość ta zawsze jest ofiarą. Ale, grana przez doskonałego aktora (p. Molé), uwydatniła tem lepiej wszystkie inne role i umocniła powodzenie.

Strój, w pierwszym i drugim akcie, myśliwski, buty z cholewami, starym hiszpańskim krojem. Od trzeciego do ostatniego aktu, bogaty strój narodowy.

HRABINA,

między dwoma sprzecznemi uczuciami, zdradza jedynie zdławioną czułość lub gniew bardzo umiarkowany; nic zwłaszcza, coby mogło w oczach widza poniżyć tę miłą i cnotliwą istotę. Ta rola, jedna z najtrudniejszych, przyniosła wiele zaszczytu talentowi panny Saint-Val.

Strój, w pierwszym, drugim i czwartym akcie, to luźny szlafroczek, z gołą głową; hrabina jest u siebie w domu, rzekomo niezdrowa. W piątym akcie, ma strój i wysoki kok Zuzanny.

FIGARO.

Nie można nazbyt zalecić aktorowi, który będzie grał tę rolę, aby dobrze przejął się jej duchem, jak to uczynił p. Dazincourt. Gdyby dał w niej coś innego niż rozsądek zaprawny wesołością i dowcipem, zwłaszcza gdyby domieszał najlżejszą szarżę, obniżyłby rolę, którą pierwszy komik, p. Préville, uznał godną talentu największego aktora, o ile po-

chwyci jej różnorodne odcienie i zdoła się wznieść do jej pełnej koncepcji.

Strój taki jak w *Cyruliku Sewilskim.*

ZUZANNA.

Młoda osoba, zręczna, dowcipna i wesoła, ale nie wyuzdaną wesołością naszych bezczelnych subretek; ładny jej charakter nakreślono w przedmowie: aktorka, która nie widziała panny Contat, powinna tam go wystudjować, chcąc właściwie oddać rolę.

Strój, w pierwszych czterech aktach: staniczek biały z bufami, bardzo wykwintny; spódniczka także, toczek, który później modniarki nazwały *à la Suzanne*. Podczas uroczystości w ostatnim akcie, hrabia kładzie jej na głowę toczek z długim welonem, z wysokiemi piórami i białemi wstążkami. W piątym akcie ma na sobie luźną lewitkę hrabiny, nic na głowie.

MARCELINA,

rozsądna kobieta, żywa z natury, która błędom i doświadczeniu zawdzięcza wyrobienie. Jeśli aktorka wzniesie się, pełną godności dumą, do moralnej wyżyny jaka następuje po scenie poznania w czwartym akcie, przyczyni się wiele do zainteresowania rolą.

Strój hiszpańskiej *duenny*, ciemny z czarnym stroikiem na głowie.

ANTONIO

zdradza jedynie stan lekkiego pijaństwa, rozpraszającego się stopniowo; w piątym akcie jest już prawie trzeźwy

Strój hiszpańskiego wieśniaka, rękawy zwisające z tyłu; kapelusz i białe trzewiki.

FRANUSIA,

dziewczynka dwunastoletnia, bardzo prostoduszna. Strój: brunatny staniczek, z pętlicami i srebrnemi guzikami; spódnica jaskrawa; czarny toczek z piórami. Takiż strój mają i inne wieśniaczki podczas uroczystości weselnej.

CHERUBIN.

Tę rolę może grać (jak też i grała) jedynie młoda i ładna kobieta; nie mamy w teatrach bardzo młodego człowieka dość wyrobionego aby odczuć jej wszystkie finezje. Lękliwy bez granic wobec hrabiny, gdzieindziej przemiły urwis; niespokojne i mętne pragnienie jest tłem jego charakteru. Idzie za głosem budzącej się dojrzałości, ale bez planu, bez celu, poddając się chwili; słowem, jest taki, jakim każda matka, w głębi

serca, pragnęłaby może aby był jej syn, choćby miała dużo przez to cierpieć.

W pierwszym i drugim akcie bogaty strój hiszpańskiego pazia, biały, haftowany srebrem; niebieski płaszczyk, kapelusz z piórami. W czwartym akcie gorset, spódniczka i toczek, jak młode wieśniaczki, w których jest gronie. W piątym, mundur oficerski, kokarda i szpada.

BARTOLO.

Charakter i strój jak w *Cyruliku Sewilskim;* gra tutaj jeno drugorzędną rolę.

BAZYLIO.

Charakter i strój jak w *Cyruliku Sewilskim;* również rola drugorzędna.

GĄSKA

winien mieć ową niezłomną i szczerą pewność siebie, jaką mają głupcy, skoro zbędą się nieśmiałości. Jąkanie jego jest tylko jednym wdziękiem więcej i powinno być ledwie dostrzegalne; myliłby się grubo aktor i grałby zupełnie fałszywie, gdyby szukał w niem komizmu roli. Polega ona cała na kontraście powagi stanowiska a śmieszności charakteru; im mniej aktor będzie szarżował, tem więcej okaże prawdziwego talentu.

Strój: toga hiszpańskiego sędziego, węższa niż u naszych prokuratorów, prawie sutanna; do tego wielka peruka, rabat na szyi i długa biała laseczka w ręku.

ŁAPOWY,

ubrany jak sędzia, biała laseczka nieco krótsza.

WOŹNY, czyli ALGAZIL.

Strój urzędowy, płaszcz i szpada, przypięta wprost, bez rzemiennego pasa. Nie nosi butów, ale trzewiki czarne, białą perukę z obfitemi lokami, krótka biała pałeczka.

SŁONECZKO.

Strój wieśniaczy, zwisające rękawy, jaskrawy kubrak, biały kapelusz.

MŁODA PASTERKA.

Strój jak Franusi.

PEDRILLO.

Kubrak, kamizelka, pas, bicz, buty pocztowe, siatka na głowie, kapelusz kurjerski.

OSOBY NIEME,

jedne w togach sędziów, drugie w strojach wieśniaczych, inne w liberji.

OSOBY:

HRABIA ALMAWIWA, wielkorządca Andaluzji.
HRABINA, jego żona.
FIGARO, służący hrabiego i burgrabia zamku.
ZUZANNA, pierwsza garderobiana Hrabiny i narzeczona Figara.
MARCELINA, z fraucymeru Hrabiny.
ANTONIO, ogrodnik pałacowy, wuj Zuzanny i ojciec Franusi.
FRANUSIA, córka Antonia.
CHERUBIN, pierwszy paź hrabiego.
BARTOLO, lekarz z Sewilli.
BAZYLIO, nauczyciel klawicymbału.
DON GUZMAN GĄSKA, sędzia.
ŁAPOWY, pisarz, sekretarz don Guzmana.
WOŹNY SĄDOWY.
SŁONECZKO, młody pasterz.
MŁODA PASTERKA.
PEDRILLO, kurjer hrabiego.

OSOBY NIEME:

GRONO SŁUŻĄCYCH.
GRONO WIEŚNIACZEK.
GRONO WIEŚNIAKÓW.

Rzecz dzieje się w zamku Aguas-Frescas, o trzy mile o Sewilli.

USTAWIENIE AKTORÓW.

Aby ułatwić grę, autor podaje, na początku każdej sceny, imiona aktorów, w tym porządku w jakim publiczność ich widzi. Jeśli, w ciągu sceny, zachodzi jakaś ważniejsza zmiana miejsc, zaznaczono ją w nocie nowym porządkiem imion. Ważne jest, aby zachować dobre ustawienie; zaniedbanie tradycji pierwszych wykonawców powoduje niebawem zupełne rozprzężenie inscenizacji i stawia w końcu niedbające o to trupy na równi z najsłabszym zespołem amatorów.

AKT I

Scena przedstawia pokój wpół umeblowany; wielki fotel, jak dla chorego, stoi pośrodku. Figaro, z łokciem w ręku, mierzy podłogę. Zuzanna, przed lustrem, umocowuje sobie na głowie bukiecik kwiatu pomarańczowego, tak zwany wianek panny młodej.

Scena I

FIGARO, ZUZANNA.

FIGARO. Szerokość stóp dziewiętnaście, długość dwadzieścia sześć.

ZUZANNA. Spójrz, Figaro, oto wianek, czy tak lepiej?

FIGARO *bierze ją za ręce.* Bez porównania, moje ty śliczności. Och, jakże ten dziewiczy wianek, w dzień ślubu, na głowie ładnej dziewczyny, wydaje się słodki oczom oblubieńca!...

ZUZANNA, *wysuwając się.* Co ty tam mierzysz, kochanie?

FIGARO. Patrzę, Zuziulu moja, czy to łóżko, które pan hrabia nam daje, będzie tu ładnie wyglądało?

ZUZANNA. W tym pokoju?

FIGARO. Oddaje go nam.

ZUZANNA. A ja nie chcę.

FIGARO. Czemu?

ZUZANNA. Nie chcę.

FIGARO. Ależ przecie?

ZUZANNA. Nie podoba mi się.

FIGARO. Trzebaż podać jakąś rację.

ZUZANNA. A jeśli nie chcę podać!

FIGARO. Ot co, kiedy kobieta jest człowieka pewna!...

ZUZANNA. Dowodzić że mam słuszność, znaczyłoby przyznać że mogę jej nie mieć. Jestem twoją panią, czy nie?

FIGARO. Kręcisz nosem na pokój najwygodniejszy w całym zamku, położony między apartamentami obojga państwa. Ot, w nocy, pani czuje się niedobrze, zadzwoni: hyc! dwa kroki, i jesteś u niej. Pan hrabia życzy sobie czego; tylko pociągnie za sznurek: hop, w trzech susach, jestem na rozkazy.

ZUZANNA. Wybornie! ale, kiedy zadzwoni rano, aby ci dać jakie ważne i długie zlecenie, hyc, dwa kroki i jest pod memi drzwiami, i hop, w trzech susach...

FIGARO. Co ty chcesz powiedzieć, Zuzanno?

ZUZANNA. Wysłuchajże spokojnie.

FIGARO. Ale cóż wreszcie, na miły Bóg!

ZUZANNA. To, mój kochasiu, że, znużony gonitwą za okolicznemi pięknościami, hrabia Almawiwa pragnie wypocząć sobie w zamku, ale nie przy własnej żonie. Na twoją, słyszysz, Figaro, obrócił oczy, i ma nadzieję że to mieszkanie niezgorzej mu się nada. Oto, co zacny Bazyljo, zacny dostawca uciech swego pana i mój szlachetny nauczyciel śpiewu, powtarza mi codzień przy lekcji.

FIGARO. Bazyljo! o mój koteczku! jeśli kiedy porcja rzęsistych kijów, zaaplikowana na krzyże, wzmocniła komu szpik pacierzowy...

ZUZANNA. Myślałeś, niebożątko, że posag jaki mi dają to dla twoich pięknych oczu, dla twoich znamienitych zasług?...

FIGARO. Dosyć zdziałałem aby mieć prawo tak mniemać.

ZUZANNA. Mój Boże! jacy ci rozumni ludzie są głupi!

FIGARO. Tak mówią.

ZUZANNA. Ba! ale nikt nie chce wierzyć.

FIGARO. Źle czyni.

ZUZANNA. Dowiedz się, że, za cenę tego posagu, hrabia spo-

dziewa się uzyskać pokryjomu kwadransik sam na sam, który dawne prawo pańskie... Znasz ów piękny przywilej.

FIGARO. Tak dalece znam, iż, gdyby hrabia, żeniąc się, nie był zniósł tego ohydnego prawa, nigdybym się nie zgodził zaślubić cię w jego dobrach.

ZUZANNA. Otóż, jeśli je zniósł, żałuje tego; i właśnie od twojej narzeczonej pragnie je dziś potajemnie odkupić.

FIGARO, *uderzając się po głowie.* Głowa mi pęcznieje ze zdumienia; czoło moje, użyźnione...

ZUZANNA. Nie trzyj-że!

FIGARO. Czemu?

ZUZANNA. A nuż się zrobi jaki pryszczyk: ludzie przesądni...

FIGARO. Śmiejesz się, hultajko! Ach, gdyby był sposób dopaść tego arcy-zwodziciela, wpakować go w zmyślną pułapkę, zgarniając równocześnie jego złotko!...

ZUZANNA. Intryga i pieniądze: Figaro w swoim żywiole.

FIGARO. Nie wstyd mnie wstrzymuje, to pewna.

ZUZANNA. Obawa?

FIGARO. Nie sztuka przedsięwziąć rzecz niebezpieczną; ale uniknąć niebezpieczeństw i dopłynąć szczęśliwie do celu, ot, co! Zakraść się do kogoś w nocy, zdmuchnąć mu żonę i wziąć sto batogów za fatygę, nic łatwiejszego pod słońcem: tysiąc łajdaków bez mózgu zdołało tego dokazać. Ale... *(Dzwonek).*

ZUZANNA. Pani się obudziła; poleciła mi, abym pierwsza zjawiła się u niej w dzień mego wesela.

FIGARO. Czy i w tem tkwi jakaś tajemnica?

ZUZANNA. Owczarz powiada, że to przynosi szczęście opuszczonym żonom. Bywaj zdrów, mój Fi, Fi, Figaro, myśl o naszej sprawie.

FIGARO. Małego buziaka, dla odświeżenia umysłu.

ZUZANNA. Buziaka! dziś? memu kochankowi? Toby było ładnie! A cóżby na to jutro powiedział mój mąż? *(Figaro ściska ją).* No! no! no!

FIGARO. Ty nie masz pojęcia, jak ja cię kocham.

ZUZANNA, *poprawiając strój.* Kiedyż przestaniesz, nudziarzu, mówić mi o miłości od rana do wieczora?

FIGARO, *tajemniczo.* Kiedy będę mógł ci jej dowodzić od wieczora do rana. *(Powtórny dzwonek).*

ZUZANNA, *z daleka, przykładając palce do ust.* Masz swego całusa z powrotem; nicem ci już nie winna.

FIGARO, *biegnie za nią.* O, nie, nie w tej walucie dostałaś!

Scena II

FIGARO, *sam.*

Czarująca dziewczyna! zawsze roześmiana, tryskająca życiem, pełna wesołości, dowcipu, miłości i rozkoszy! ale cnotliwa! *(Przechadza się żywo, zacierając dłonie).* O, panie hrabio, drogi panie hrabio, chciałbyś mnie przystroić... po hrabsku! Zastanawiałem się też, czemu, uczyniwszy mnie burgrabią, zabiera mnie z sobą na ową ambasadę i mianuje kurjerem. Rozumiem, panie hrabio: trzy promocje na raz: ty, wiceministrem; ja, pędziwiatrem; Zuzia, gosposią pałacu, podręczną ambasadorową; a potem, w cwał, kurjerze! Gdy ja będę galopował w jedną stronę, ty, panie hrabio, ujedziesz z moją miłą ładny kawał drogi! Ja będę się chlastał w błocie i nadkręcał karku dla chwały twego rodu; pan raczysz łaskawie przyczynić się do pomnożenia mojego! Wzruszająca wymiana usług! Ale, Ekscelencjo, to za wiele naraz. Załatwiać, w Londynie, jednocześnie sprawy swego pana i swego służącego; zastępować, przy cudzoziemskim dworze, wraz osobę króla i moją, to za wiele, o połowę za wiele. Co do ciebie, obwiesiu Bazyljo, mój synaczku, ja cię nauczę jak się gwizda po kościele, ja ci... Nie; trzeba grać komedję; obu naraz wystrychnąć na dudka. Baczność na dziś, mości Figaro! Przedewszystkiem, przyspieszyć ceremonję, aby tem pewniej dobić do ołtarza; usunąć Marcelinę która ma na ciebie djabelny sma-

czek; zgarnąć złoto i podarki; wywieść na manowce zachcianki pana hrabiego; wygarbować sumiennie skórę imć Bazylja; wreszcie...

Scena III

MARCELINA, BARTOLO, FIGARO.

FIGARO *urywa.* Ho, ho, ho, ho! jest i grubas: sługa pana doktora, wesele w komplecie. Dzień dobry, dzień dobry, najmilszy z doktorów. Czy to mój ślub sprowadza pana do zamku?

BARTOLO, *wzgardliwie.* Nie, mości Figaro, bynajmniej.

FIGARO. To byłoby bardzo szlachetnie!

BARTOLO. Zapewne; szlachetnie i głupio.

FIGARO. Ja, który miałem nieszczęście zmącić pańską uroczystość weselną...

BARTOLO. Czy masz mi co innego do powiedzenia?

FIGARO. Nie wiem czy zaopiekowano się pańskim mułem.

BARTOLO, *w złości.* Gaduło przeklęty! zostawże nas.

FIGARO. Gniewasz się, doktorze? ludzie pańskiego rzemiosła mają bardzo twarde serca! cienia litości dla biednych bydlątek... w istocie... zupełnie, jak gdyby to byli ludzie! Bądź zdrowa, Marcelino: wciąż masz ochotę procesować się ze mną?

Gdy się nie kocha, trzebaż nienawidzić?...

Odwołuję się do doktora.

BARTOLO. Cóż to takiego?

FIGARO. Jejmość opowie panu resztę *(wychodzi).*

Scena IV

MARCELINA, BARTOLO.

BARTOLO *patrzy za odchodzącym.* Hultaj zawsze ten sam! umrze w skórze największego bezczelnika, o ile go z niej nie obedrą żywcem.

MARCELINA *okręca nim.* Jesteś wreszcie, wiekuisty doktorze? zawsze tak poważny i flegmatyczny, że możnaby umrzeć czekając twej pomocy, tak jak się wzięło ślub niegdyś mimo twych przezorności.

BARTOLO. Zawsze cierpka i dokuczliwa. Więc cóż? Nacóż moja obecność w zamku tak potrzebna? Hrabia miał jaki wypadek?

MARCELINA. Nie, doktorze.

BARTOLO. Może Rozyna, jego przewrotna żona, czuje się niezdrowa, co daj Boże?

MARCELINA. Tęskni i wzdycha.

BARTOLO. Czego?

MARCELINA. Mąż ją zaniedbuje.

BARTOLO, *z radością.* Ha! godny małżonku, mścisz się mojej krzywdy!

MARCELINA. Nie wiadomo, jak określić hrabiego: zazdrosny i płochy.

BARTOLO. Płochy z nudów, zazdrosny z próżności: cóż naturalniejszego?

MARCELINA. Dziś, naprzykład, wydaje Zuzię za swego Figara, i, z racji tego związku...

BARTOLO. Który Jego Ekscelencja uczynił koniecznym?

MARCELINA. Niezupełnie; ale który pragnąłby uświęcić potrosze z oblubienicą...

BARTOLO. Pana Figaro? Hm, o to można dobić targu z nim samym.

MARCELINA. Bazyljo twierdzi, że nie.

BARTOLO. I ten opryszek tutaj? Ależ to istna jaskinia! Cóż on tu robi?

MARCELINA. Tyle złego, ile tylko zdoła. Najgorsze w tem wszystkiem, to nudne amory, jakiemi płonie dla mnie oddawna.

BARTOLO. Na twojem miejscu, byłbym się już dwadzieścia razy uwolnił od natręta.

MARCELINA. A to jak?

BARTOLO. Wychodząc zań.

MARCELINA. Niesmaczny, okrutny szyderco, czemuż ty nie uwolnisz się za tę samą cenę od moich nalegań? czyż to nie jest twoim obowiązkiem? gdzież pamięć przyrzeczeń? co się stało ze wspomnieniem małego Emanuela, owocu zapomnianej miłości, która miała nas zawieść do ołtarza?

BARTOLO, *zdejmując kapelusz.* Czy poto, aby mi kazać słuchać tych smalonych dudów, sprowadziłaś mnie z Sewilli?... Ten paroksyzm małżeński, który przypiera cię tak nagle...

MARCELINA. Dobrze więc! nie mówmy o tem. Ale, jeśli nic nie zdoła ciebie samego skłonić do spełnienia obowiązku, pomóż mi bodaj zdobyć innego.

BARTOLO. To najchętniej: możemy pogadać. Ale któryż śmiertelnik, opuszczony od niebios i od kobiet...

MARCELINA. Ach, któżby inny, doktorze, jeśli nie piękny, wesoły, rozkoszny Figaro!...

BARTOLO. Ten ladaco?

MARCELINA. Nigdy markotny; zawsze w dobrym humorze, zawsze cieszący się chwilą, bez troski o przeszłość jak o przyszłość; pełen życia, szczodry! och, szczodry...

BARTOLO. Jak złodziej.

MARCELINA. Jak wielki pan. Uroczy, jednem słowem; ale, z tem wszystkiem, istny potwór!...

BARTOLO. A Zuzia?

MARCELINA. Nie dostanie go, niecnota, jeśli zechcesz, doktoreńku, pomóc mi wyzyskać pewne zobowiązanie, które ma wobec mnie.

BARTOLO. W dzień ślubu?

MARCELINA. Och, rozchodzą się ludzie i od ołtarza! Gdybym się nie lękała odsłonić małej kobiecej tajemnicy...

BARTOLO. Czyż kobiety mają tajemnice dla lekarza?

MARCELINA. Ach, wiesz dobrze, że nie mam ich dla ciebie! Płeć, do której należę, jest namiętna lecz lękliwa: próżno jakiś

czar wabi nas ku rozkoszy, najzuchwalsza kobieta czuje w sobie głos, który ostrzega: Bądź piękną, jeśli możesz; cnotliwą, jeśli chcesz; ale bądź *szanowaną*, bezwarunkowo. Owóż, skoro trzeba przedewszystkiem być szanowaną, skoro każda kobieta czuje tego wagę, nastraszmy wpierw Zuzannę rozgłoszeniem propozycyj, które jej czyni hrabia.

BARTOLO. Do czegóż to doprowadzi?

MARCELINA. Do czego? Zuzanna, przez prosty wstyd, będzie uparcie odrzucać jego ofiary; hrabia, przez zemstę, poprze mój protest przeciw ich małżeństwu; wówczas moje zamęźcie staje się pewne.

BARTOLO. Ma słuuszność. Na honor! dobra sztuka, wydać moją starą gospodynię za hultaja, który pomógł mi wydrzeć młodą narzeczoną.

MARCELINA, *szybko*. Który pragnie sycić swoje żądze kosztem mych najsłodszych nadziei.

BARTOLO, *szybko*. Który, w swoim czasie, ukradł sto talarów, dotąd leżących mi na sercu.

MARCELINA. Ach! cóż za rozkosz!...

BARTOLO. Ukarać łajdaka...

MARCELINA. Wyjść za niego, doktorze, wyjść za niego!...

Scena V

MARCELINA, BARTOLO, ZUZANNA.

ZUZANNA, *trzyma w ręku czepeczek z szeroką wstążką, na ręku suknię.* Wyjść za niego! za kogóż-to? za mego Figara?

MARCELINA, *zgryźliwie*. Czemużby nie? Toć i ty nie co innego robisz!

BARTOLO, *śmiejąc się*. Paradny argument: tylko kobieta w złości zdobędzie się na podobny! Mówiliśmy, piękna Zuziu, o szczęściu, jakiem dlań będzie posiadanie ciebie.

MARCELINA. Nie licząc pana hrabiego, o którym się nie mówi.

ZUZANNA, *z dygiem.* Sługa uniżona pani; ilekroć otworzysz usta, zawsze musisz powiedzieć coś gorzkiego.

MARCELINA, *z dygiem.* Sługa pani nawzajem; gdzież ta gorycz? Czyż nie jest sprawiedliwe, aby wspaniałomyślny pan dzielił potrosze radość, którą sprawia swym poddanym?

ZUZANNA. Radość, którą sprawia?...

MARCELINA. Tak, pani.

ZUZANNA. Szczęściem, zazdrość pani jest równie znana, jak prawa jej do Figara nikłe.

MARCELINA. Możnaby je uczynić trwalszemi, umacniając je na twój sposób.

ZUZANNA. Och, tym sposobem posługują się raczej osoby wytrawne.

MARCELINA. A dzieciątko do nich nie należy. Niewinna jak stary sędzia!

BARTOLO, *odciągając Marcelinę.* Bywaj zdrowa, piękna oblubienico naszego Figara.

MARCELINA, *dygając.* Tajna wspólniczko Jego Dostojności pana hrabiego.

ZUZANNA, *dygając.* Który jejmość panią niezmiernie poważa.

MARCELINA, *dygając.* Czy i ona uczyni mi ten zaszczyt, aby spoglądać na mnie łaskawem okiem?

ZUZANNA, *dygając.* Pod tym względem, nie pozostaje jejmość pani nic do życzenia.

MARCELINA, *dygając.* Z dostojnej pani taka śliczna osóbka.

ZUZANNA, *dygając.* Et, wystarczy, aby jejmość wszyscy djabli brali.

MARCELINA, *dygając.* A zwłaszcza wielce czcigodna!

ZUZANNA, *dygając.* Ta cnota przystoi matronom.

MARCELINA, *rozwścieczona.* Matronom! matronom!

BARTOLO, *zatrzymując ją,* Marcelino!

MARCELINA. Chodźmy, doktorze; nie panuję nad sobą *(dygając).* Sługa uniżona.

Scena VI

ZUZANNA, *sama.*

A leć, kumoszko! leć, mądralo! równie mało lękam się twych zakusów, jak gardzę zniewagami. Patrzcie mi starą sybillę! dlatego, że liznęła książki i dręczyła jaśnie panią za młodu, chce się rządzić jak szara gęś w zamku! *(Rzuca na krzesło suknię).* Sama już nie wiem poco tu przyszłam.

Scena VII

ZUZANNA, CHERUBIN.

CHERUBIN, *wbiegając.* Och, Zuziu! od dwóch godzin czatuję na chwilę, kiedy będę cię mógł zdobyć samą. Ach! ty wychodzisz za mąż, a ja odjeżdżam.

ZUZANNA. W jaki sposób małżeństwo moje łączy się z odjazdem pazia Jego Dostojności?

CHERUBIN, *żałośnie.* Zuziu, hrabia mnie oddala.

ZUZANNA, *przedrzeźniając go.* Cherubinku, co za głupstwo!

CHERUBIN. Zastał mnie wczoraj u twej kuzynki Franusi; pomagałem jej przepowiadać rolę niewiniątka na dzisiejszą uroczystość. Powiadam ci, jak mnie zobaczył, wpadł w taką wściekłość!... *Wynoś się,* wrzasnął, *mały...* Nie śmiem, w obecności kobiety, wymówić tego słowa. *Wynoś się! a jutro nie będzie cię w zamku.* Jeśli pani hrabina, moja piękna chrzestna, nie zdoła go ułagodzić, stało się, Zuziu, tracę na zawsze szczęście oglądania ciebie.

ZUZANNA. Oglądania mnie?... teraz moja kolej? Więc już nie do pani wzdychasz potajemnie?

CHERUBIN. Ach, Zuziu! jaka ona szlachetna i piękna! ale jaka imponująca!

ZUZANNA. To znaczy, ja nie jestem imponująca i ze mną można się ośmielić...

CHERUBIN. Wiesz aż nadto, niegodziwa, że ja nie śmiem się ośmielić... Ale jakaś ty szczęśliwa! w każdej chwili ją oglądać, mówić do niej, ubierać, rozbierać, szpilka po szpilce!... Ach! Zuziu! dałbym... Co ty tam trzymasz?

ZUZANNA, *przedrzeźniając go.* Ach! szczęśliwy czepeczek i błogosławioną wstążkę, które otulają, w nocy, włosy uroczej chrzestnej matki...

CHERUBIN, *żywo.* Czepeczek! Wstążka!... Daj mi ją, moja kochana.

ZUZANNA, *cofając.* Za pozwoleniem! „Jego kochana". Patrzcie go, jaki poufały! Ech, gdyby to nie był, ot, smarkacz... *(Cherubin wyrywa wstążkę).* Ach! wstążka!

CHERUBIN *ucieka dokoła wielkiego fotela.* Powiesz, że podziała się gdzieś, zniszczyła; powiesz żeś zgubiła; co ci się podoba.

ZUZANNA, *goniąc go dokoła.* O, za parę lat, przepowiadam, będzie z ciebie największy urwis pod słońcem!... Oddasz ty wstążkę? *(Chce odebrać).*

CHERUBIN *dobywa z kieszeni piosenkę.* Zostaw, ach, zostaw. Zuziu; dam ci mą piosenkę : gdy wspomnienie twej pięknej pani będzie zasmucać wszystkie moje chwile, twoje będzie mi jedynym promieniem, jaki może jeszcze ogrzać moje serce.

ZUZANNA *wyrywa piosnkę.* Ogrzać twoje serce, łotrzyku! Zdaje ci się, że mówisz do swej Franusi; przyłapali cię u niej, wzdychasz do pani, a robisz czułe oczy do mnie, na dokładkę.

CHERUBIN, *w podnieceniu.* To prawda, na honor! nie wiem już co robię; ale, od jakiegoś czasu, czuję dziwny niepokój; serce mi bije na sam widok kobiety, słowa *miłość* i *rozkosz* przyprawiają je o dreszcz i pomięszanie. Potrzeba mówienia komuś: „*kocham ciebie*" rozpiera mnie tak, że mówię to sam sobie uganiając po

parku, twojej pani, tobie, drzewom, obłokom, wiatrowi który je unosi wraz ze słowami. — Wczoraj, spotkałem pannę Marcelinę...

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Ha, ha, ha, ha, ha!

CHERUBIN. Czemuż nie? wszak jest kobietą! Panna! kobieta! ach! jakież te miana są słodkie! jakie wzruszające!

ZUZANNA. Oszalał!

CHERUBIN. Franusia jest poczciwa; słucha mnie bodaj; ty nie jesteś dobra.

ZUZANNA. Wielka szkoda; jeszcze tego brakowało. *(Chce wyrwać mu wstążkę)*.

CHERUBIN *wykręca się i ucieka*. Aha! właśnie! wydrzesz mi ją chyba z życiem. Jeśliś nie rada z ceny, dołożę tysiąc całusów. *(ściga ją)*.

ZUZANNA *obraca się, uciekając*. Tysiąc policzków, jeśli się zbliżysz. Poskarżę pani; nietylko nie będę prosić za tobą, ale sama powiem Jego Dostojności: Wybornie, panie hrabio, wygoń tego łotrzyka, odeślij do domu małego hultaja, który śmie durzyć się w jaśnie pani, a, na dobitkę, mnie ciągle chce całować.

CHERUBIN *spostrzega wchodzącego hrabiego; rzuca się z przerażeniem za fotel*. Zgubiony jestem!

ZUZANNA. Co się dzieje?

Scena VIII

ZUZANNA, HRABIA, CHERUBIN, *ukryty*.

ZUZANNA *spostrzega hrabiego*. Ach!... *(Zbliża się do fotela, aby zasłonić Cherubina)*.

HRABIA *podchodzi bliżej*. Wzruszona coś jesteś, Zuziu! mówiłaś sama do siebie... Twoje serduszko wydaje się w stanie... bardzo naturalnym zresztą, w takim dniu...

ZUZANNA, *zmięszana*. Panie hrabio, czego pan sobie życzy? Gdyby Waszą Dostojność zastał tu kto ze mną...

HRABIA. Byłbym w rozpaczy gdyby mnie ktoś zaskoczył; ale wiesz jak żywo interesuje mnie twoja osóbka. Bazyljo nie ukrywał ci moich uczuć. Mam tylko chwilę, aby wytłómaczyć moje zamiary; posłuchaj... *(Siada w fotelu)*.

ZUZANNA, *żywo*. Nic nie słucham.

HRABIA *bierze ją za rękę*. Jedno słowo. Wiesz, że król mianował mnie ambasadorem w Londynie. Zabieram Figara; daję mu znakomitą pozycję; że zaś obowiązkiem żony jest towarzyszyć mężowi...

ZUZANNA. Ach! gdybym śmiała mówić!

HRABIA *przyciąga ją do siebie*. Mów, mów, droga; korzystaj z praw, jakie daję ci nad sobą na całe życie.

ZUZANNA, *przerażona*. Nie chcę tych praw, panie hrabio, nie chcę. Opuść mnie Wasza Dostojność, błagam.

HRABIA. Ale powiedz wprzódy.

ZUZANNA, *z gniewem*. Sama już nie wiem, o czem mówiłam.

HRABIA. O obowiązkach żony.

ZUZANNA. A zatem! kiedy pan hrabia wziął jaśnie panią z domu doktora i zaślubił ją z miłości; kiedy zniósł dla niej pewien ohydny przywilej...

HRABIA, *wesoło*. Tak strasznie dotkliwy dla dziewcząt! prawda? Ach! Zuziu! to urocze prawo! gdybyś przyszła pogwarzyć o niem o zmroku do ogrodu, opłaciłbym to lekkie ustępstwo taką ceną...

BAZYLJO, *za sceną*. Niema Ekscelencji w domu.

HRABIA *wstaje*. Co to za głos?

ZUZANNA. Och! ja nieszczęśliwa!

HRABIA. Wyjdź naprzeciw, żeby nie wszedł.

ZUZANNA, *zmięszana*. Mam pana tu zostawić?

BAZYLJO *woła za sceną*. Hrabia był u jaśnie pani, ale już wyszedł: pójdę zobaczyć.

HRABIA. I niema gdzie się ukryć! A! za fotelem... od biedy; odpraw-że go corychlej.

(Zuzanna zagradza drogę, hrabia odtrąca ją lekko, ona cofa się, tak że staje między nim a paziem. Gdy hrabia schyla się i zajmuje miejsce Cherubina, ten okręca się, wskakuje, przerażony, równemi kolanami na fotel i chowa się. Zuzanna chwyta suknię, którą przyniosła, okrywa nią pazia i staje sama przed fotelem).

Scena IX

HRABIA i CHERUBIN *ukryci*, ZUZANNA, BAZYLJO.

BAZYLJO. Czy panna Zuzia nie widziała hrabiego?

ZUZANNA, *szorstko.* Gdzież miałam widzieć? Zostaw mnie pan.

BAZYLJO *przysuwa się.* Gdybyś była rozsądniejsza, nie byłoby nic dziwnego w mojem pytaniu. Figaro go szuka.

ZUZANNA. Szuka człowieka, który życzy mu najgorzej na świecie, po panu?

HRABIA, *na stronie.* Przekonajmyż się, jak on mi służy.

BAZYLJO. Pragnąć dobra kobiety, czyż znaczy źle życzyć jej mężowi?

ZUZANNA. Nie, wedle twoich ohydnych zasad, stręczycielu.

BAZYLJO. Czegóż żąda tu kto nadzwyczajnego? Czyż nie jesteś gotowa użyczyć tego samego innemu? Dzięki tej lubej ceremonji, to, co ci było wzbronione wczoraj, stanie się jutro twoim obowiązkiem.

ZUZANNA. Niegodny!

BAZYLJO. Ponieważ, ze wszystkich poważnych rzeczy, małżeństwo jest największem błazeństwem, myślałem...

ZUZANNA, *w oburzeniu.* Ohyda! Kto panu pozwolił wejść?

BAZYLJO. Och, och! jaka zła! Uspokójże się, duszko! stanie się tylko to co zechcesz; ale nie sądź, że ja uważam imć Figara za właściwą przeszkodę: gdyby nie pewien pazik...

ZUZANNA, *trwożliwie.* Cherubin?

BAZYLJO, *przedrzeźniając. Cherubino di amore*, który kręci się koło ciebie bez ustanku: dziś jeszcze myszkował tutaj, kiedy rozstałem się z tobą; czy zaprzeczysz?

ZUZANNA. Cóż za potwarz! Precz stąd, niegodziwcze!

BAZYLJO. Jestem niegodziwcem, bo mam oczy. Czy nie dla ciebie i ta piosenka, z którą się nosi w takiej tajemnicy?

ZUZANNA, *w gniewie*. Och, tak! dla mnie!...

BAZYLJO. Chyba, że ją ułożył dla samej jaśnie pani! Kiedy usługuje przy stole, powiadają że patrzy na nią takiemi oczami!... ale, do kata! niech nie igra: hrabia na tym punkcie jest mocno gburowaty.

ZUZANNA, *wzburzona*. A pan jesteś skończony zbrodniarz, aby rozsiewać podobne bajki i gubić nieszczęśliwe dziecko, które popadło w niełaskę u pana.

BAZYLJO. Czy to ja wymyśliłem? Powtarzam, co wszyscy mówią.

HRABIA, *wstając*. Jakto, wszyscy mówią!

ZUZANNA [1]). Och! nieba!

BAZYLJO. Ha, ha!

HRABIA. Biegnij, Bazyljo, niech go wypędzą.

BAZYLJO. Och, jakże mi przykro, że wszedłem tutaj.

ZUZANNA, *pomięszana*. Boże, Boże!

HRABIA, *do Bazylja*. Słabo jej. Posadźmy ją w fotelu.

ZUZANNA, *odpychając go żywo*. Nie chcę. Wchodzić tak przemocą, to niegodnie!

HRABIA. Jest tu nas dwóch, moja duszko. Niema żadnego niebezpieczeństwa!

BAZYLJO. W istocie, jestem w rozpaczy, że tak sobie ostrzyłem język na paziku, skoro pan hrabia mógł słyszeć. Chciałem jedynie wybadać uczucia panny Zuzi; w gruncie bowiem...

---

[1]) Cherubin w fotelu, Hrabia, Zuzanna, Bazyljo.

HRABIA. Pięćdziesiąt pistolów, konia i niech go odeślą do rodziców.

BAZYLJO. Excelencjo, dla prostego żarciku?...

HRABIA. Mały ladaco: wczoraj jeszcze złapałem go z córką ogrodnika.

BAZYLJO. Z Franusią?

HRABIA. I w jej izdebce.

ZUZANNA, *oburzona*. Gdzie pan hrabia też widać czegoś szukał!

HRABIA, *wesoło*. Doskonałe spostrzeżenie.

BAZYLJO. I dobrze nam wróży.

HRABIA, *wesoło*. Ależ nie; szukałem wujaszka Antoniego, pijaczyny ogrodnika, aby mu dać jakieś rozkazy. Pukam, długo nikt nie otwiera; kuzyneczka wydaje się zmięszana, zaczynam coś podejrzewać, zagaduję ją i tak, wśród rozmowy, przyglądam się z pod oka. Była tam za drzwiami jakaś firanka, wieszadło, niewiem co zresztą, jakieś schowanie na szmatki; otóż, nie pokazując nic po sobie, powoli, powoli, odsłaniam firankę *(naśladując gest, podnosi suknię z fotelu)* i widzę... *(spostrzega pazia)*. A!... [1]).

BAZYLJO. Ha, ha!

HRABIA. Ta sztuka warta tamtej.

BAZYLJO. Jeszcze lepsza.

HRABIA, *do Zuzanny*.. Wybornie, panienko: ledwie zaręczona, już sobie poczynasz w ten sposób? Więc to dla mego pazia tak pragnęłaś zostać sama? A ty, paniczu, brakowało jeszcze tego, abyś, niepomny szacunku dla chrzestnej matki, obrócił oczy na jej garderobianą, żonę twego przyjaciela? Ale ja nie ścierpię, aby Figaro, człowiek którego szanuję i kocham, padł ofiarą podobnej zdrady. Czy on wszedł z tobą, Bazyljo?

ZUZANNA, *wzburzona*. Niema tu ofiary ani zdrady; był w pokoju, kiedy pan hrabia mówił ze mną.

---

[1]) Zuzanna, Cherubin w fotelu, Hrabia, Bazyljo.

HRABIA, *porywczo.* Dałby Bóg, aby to było kłamstwem! najzawziętszy wróg nie śmiałby mu życzyć takiego nieszczęścia.

ZUZANNA. Prosił mnie o słówko do pani, aby wyprosiła jego łaskę. Wejście Waszej Dostojności przeraziło go tak, że skrył się za fotelem.

HRABIA, *w gniewie.* Szalbierstwo! toć ja sam siadłem tutaj, wszedłszy do pokoju.

CHERUBIN. Tak, panie hrabio, a ja, drżąc cały, przycupnąłem za fotelem.

HRABIA. Nowe szalbierstwo! wszak ja skryłem się tam przed chwilą.

CHERUBIN. Tak, Wasza Dostojność, wówczas właśnie ja schowałem się w fotelu.

HRABIA, *z rosnącem wzburzeniem.* Ależ to istna jaszczurka, z tego małego... węża! podsłuchiwał nas!

CHERUBIN. Przeciwnie, Wasza Dostojność, robiłem co mogłem, aby nie słyszeć.

HRABIA. Przewrotni! *(do Zuzanny).* Nie pójdziesz za Figara.

BAZYLJO. Powściągnij się, Wasza Dostojność: nadchodzą.

HRABIA, *ściągając Cherubina z fotela i stawiając go na nogi.* Zostałby tak na oczach wszystkich!

Scena X

CHERUBIN, ZUZANNA, FIGARO, HRABINA, HRABIA, FRANUSIA, BAZYLJO, tłum służby, wieśniaczek, wieśniaków biało odzianych.

FIGARO, *trzymając wianek z białemi piórami i wstążkami, do hrabiny:* Jedynie pani hrabina zdoła nam wyjednać tę łaskę.

HRABINA. Patrz, hrabio, przypisują mi władzę której nie posiadam; że jednak w ich prośbie niema nic nagannego...

HRABIA, *zakłopotany.* Musiałoby być bardzo wiele...

FIGARO, *po cichu do Zuzanny.* Wspieraj me usiłowania.

ZUZANNA, *po cichu do Figara.* Które nie doprowadzą do niczego.

FIGARO, *po cichu.* Próbuj.

HRABIA, *do Figara.* Czegóż chcecie?

FIGARO. Excelencjo, wasale twoi, wzruszeni zniesieniem pewnego dotkliwego prawa, które miłość Waszej Dostojności dla pani hrabiny...

HRABIA. Więc co! to prawo już nie istnieje. O cóż tedy chodzi?

FIGARO, *chytrze.* Że czas, aby cnota dobrego pana zajaśniała przed światem; jest ona dziś dla mnie takiem dobrodziejstwem, że pragnę być pierwszym, który uczci ją przy swoim ślubie.

HRABIA, *z rosnącem zakłopotaniem.* Żartujesz, przyjacielu! Zniesienie hańbiącego prawa jest jedynie spłaceniem długu rycerskości. Hiszpan może zabiegać o względy kobiety, ale wymagać ich najsłodszych objawów jako niewolniczej powinności, och! to tyranja Wandala, a nie przywilej szlachetnego Kastylczyka.

FIGARO, *ujmując Zuzannę za rękę.* Pozwól zatem, Wasza Dostojność, aby ta młoda osóbka, której honor ubezpieczyła twoja, panie, cnota, otrzymała z twej ręki, publicznie, ten wianek dziewiczy, zdobny w białe pióra i wstążki, symbol czystości twoich, panie, intencji... Uświęć ten ceremonjał dla wszystkich małżeństw i niechaj chóralny śpiew utrwali na zawsze wspomnienie...

HRABIA, *zakłopotany.* Gdybym nie wiedział, że zakochany, poeta i muzyk, to trzykrotny tytuł pobłażania dla wszystkich szaleństw...

FIGARO. Przyłączcie się do mych próśb, przyjaciele.

WSZYSCY. Wasza Dostojność! Wasza Dostojność!

ZUZANNA, *do hrabiego.* Czemuż uchylać się od tak zasłużonej chwały?

HRABIA, *na stronie.* Przewrotna!

FIGARO. Niech Wasza Dostojność spojrzy: nigdy piękniejsza oblubienica nie doda więcej ceny poświęceniu Waszej Dostojności.

ZUZANNA. Zostaw mą urodę i sławmy jedynie cnotę pana hrabiego.

HRABIA, *na stronie.* To ukartowana gra.

HRABINA. Przyłączam się do nich, hrabio; ten obrzęd będzie mi zawsze drogi, skoro zawdzięcza początek uroczej miłości którą czułeś dla mnie.

HRABINA. Czuję ją zawsze, pani; z tego też tytułu, zgadzam się.

WSZYSCY. Wiwat!

HRABIA, *na stronie.* Wpadłem. *(Głośno).* Iżby ten obrządek mógł odbyć się tem uroczyściej, pragnąłbym jedynie odłożyć go nieco. *(Na stronie).* Każmy, co żywo, szukać Marceliny.

FIGARO, *do Cherubina.* I cóż, figlarzu! nie jesteś zachwycony?

ZUZANNA. Jest w rozpaczy; pan hrabia go oddala.

HRABINA. Och, hrabio, łaski dla niego.

HRABIA. Nie zasługuje na nią.

HRABINA. Ach, jest tak młody...

HRABIA. Nie tak bardzo jak pani mniema.

CHERUBIN, *drżąc.* Przebaczyć wspaniałomyślnie, to prawo. którego Wasza Dostojność nie zrzekł się, zaślubiając panią.

HRABINA. Zrzekł się jedynie tego, które nękało was wszystkich.

ZUZANNA. Gdyby Jego Dostojność wyrzekł się prawa przebaczenia, byłoby to z pewnością pierwsze, które pragnąłby potajemnie odkupić.

HRABIA, *zakłopotany.* Bezwątpienia.

HRABINA. Odkupić?...

CHERUBIN, *do hrabiego.* Byłem płochy, to prawda, Wasza Dostojność; ale nigdy cień niedyskrecji...

HRABIA, *zakłopotany.* Dobrze już! dość na tem...

FIGARO. Co on ma na myśli?

HRABIA, *żywo.* Dość już, dość; wszyscy żądają aby mu prze-

baczyć, przystaję; idę nawet dalej, daję mu kompanię w swojej legji.

WSZYSCY. *Wiwat!*

HRABIA. Ale, pod warunkiem, że pojedzie natychmiast ją objąć.

FIGARO. Och, Wasza Dostojność, jutro.

HRABIA, *z naciskiem.* Tak chcę.

CHERUBIN. Jestem posłuszny.

HRABIA. Pokłoń się chrzestnej matce i poleć się jej łasce. *(Cherubin przyklęka przed hrabiną, nie mogąc mówić ze wzruszenia).*

HRABINA, *wzruszona.* Skoro nie można zatrzymać cię ani na dziś, jedź tedy, młodzieńcze. Nowe obowiązki powołują cię, wypełń je godnie. Przynieś zaszczyt swemu dobroczyńcy. Zachowaj w pamięci ten dom, w którym młodość twoja znalazła tyle pobłażania. Bądź posłuszny, poczciwy i odważny; będziemy z radością dzielić się każdem twem powodzeniem. *(Cherubin wstaje i wraca na miejsce).*

HRABIA. Bardzo pani wzruszona!

HRABINA. Nie przeczę. Któż odgadnie los dziecka rzuconego w tak pełne niebezpieczeństw rzemiosło! Jest mi powinowaty; co więcej, moim chrzestnym synem.

HRABIA, *na stronie.* Widzę, że Bazyljo miał słuszność. *(Głośno).* Młodzieńcze, uściskaj Zuzannę... ostatni raz.

FIGARO. Czemu, Excelencjo? Wszak będzie tu przyjeżdżał zimą. Uściskaj i mnie, kapitanie! *(Ściska go).* Bywaj zdrów, Cherubinku. Zaczyna się dla ciebie tryb życia zgoła odmienny, moje dziecko: ba! już nie będziesz krążył cały dzień wpodle damskiej kwatery; przepadły łakocie, podwieczorki, śmietanki; koniec z ciepłą-rączką i ze ślepą-babką. Koledzy-żołnierze, dobre kompany, do krocset! ogorzałe, obdarte; wielka fuzja, ciężka jak sto djabłów: w prawo zwrot, w lewo zwrot, naprzód marsz, naprzód,

ku chwale, i ani drgnij w drodze, chyba że jaki tęgi strzał z muszkietu...

ZUZANNA. Pfe! zgroza!

HRABINA. Cóż za wróżby!

HRABIA. Gdzież Marcelina? Osobliwe, niema jej z wami!

FRANUSIA. Wasza Dostojność, Marcelina udała się do miasta przez folwark.

HRABIA. A wróci?

BAZYLJO. Kiedy się Bogu spodoba.

FIGARO. Gdyby mu się mogło spodobać, aby mu się nigdy nie spodobało...

FRANUSIA. Pan doktór prowadził ją pod rękę.

HRABIA, *żywo.* Doktór tu?

BAZYLJO. Uczepiła się go z miejsca.

HRABIA, *na stronie.* Nie mógł się zjawić bardziej w porę.

FRANUSIA. Zdawała się bardzo podniecona, idąc rozprawiała głośno, potem przystawała, wymachiwała, ot, tak, rękami... a pan doktór robił o, tak, ręką, uspokajając: była taka zagniewana! mówiła coś o szwagrze Figaro.

HRABIA, *biorąc ją pod brodę.* Szwagrze... przyszłym.

FRANUSIA, *wskazując Cherubina.* Czy Wasza Dostojność przebaczyła nam już za wczoraj?...

HRABIA, *przerywając.* Bądź zdrowa, mała, bądź zdrowa.

FIGARO. To jej sobacza miłość tak ją nosi; byłaby nam całkiem zepsuła uroczystość.

HRABIA, *na stronie.* Zepsuje, ja ci ręczę. *(Głośno).* Pójdźmy, hrabino. Bazyljo, zajdziesz do mnie.

ZUZANNA, *do Figara.* Wstąpisz do mnie, kochanie?

FIGARO, *po cichu do Zuzanny.* Cóż? Źle połknął haczyk?

ZUZANNA, *po cichu.* Rozkoszny chłopiec z ciebie! *(Wszyscy wychodzą).*

Scena XI

CHERUBIN, FIGARO, BAZYLJO.

(Podczas gdy wszyscy wychodzą, Figaro zatrzymuje ich obu i ściąga z powrotem).

FIGARO. No więc, chodźcież przecie! ceremonja uznana, wesele dziś wieczór; trzeba zestroić się jak należy: nie bądźmyż jak ci aktorzy, którzy nigdy nie grają tak licho, jak w dniu kiedy krytyka najbardziej ma na nich oko. My nie mamy przed sobą jutra, aby się zrehabilitować. Musimy dziś dobrze umieć role.

BAZYLJO, *złośliwie.* Moja jest trudniejsza niż sobie wyobrażasz.

FIGARO, *czyniąc, niespostrzeżony przezeń, ruch jakby go grzmocił.* Nie zdajesz też sobie sprawy z uznania, jakie cię czeka.

CHERUBIN. Figaro, zapominasz, że ja odjeżdżam.

FIGARO. A chciałbyś zostać.

CHERUBIN. Czybym chciał!

FIGARO. Trzeba kluczyć. Ani mrumru przy odjeździe. Płaszcz podróżny na ramię; gotuj, na oczach wszystkich, zawiniątko, niech widzą konia u bramy. Galopem aż do folwarku; potem, piechotą, tyłami, z powrotem. Hrabia będzie myślał żeś pojechał; nic właź mu tylko na oczy; biorę na siebie, że ułagodzę go po weselu.

CHERUBIN. Ale Franusia nie umie roli.

BAZYLJO. Czegóż tedy u djabła jej uczysz? toć od tygodnia nie opuszczasz jej na krok.

FIGARO. Nie masz dziś nic do roboty: daj jej, z łaski swojej, lekcję.

BAZYLJO. Ostrożnie, młodzieńcze, ostrożnie! ojciec jest grubo niezadowolony, córce oberwało się po buzi! Ej, ej, czego ty jej tam uczysz: Cherubinie! Cherubinie! staniesz się przyczyną zgryzoty! *Póty dzban wodę nosi!...*

FIGARO. Aha, wsiadł na swego konika ze staremi przysłowiami! No i cóż, bakałarzu! co powiada mądrość narodów: *Póty dzban wodę nosi, póki...*

BAZYLJO. ...się nie napełni.

FIGARO, *odchodząc.* Nie takie głupie, na honor, nie takie głupie!

AKT II

Scena przedstawia wspaniałą sypialnię, wielkie łóżko w alkowie, na stopniach. Drzwi wchodowe otwierają się i zamykają w trzeciej kulisie po prawej; drzwi do alkierza w pierwszej po lewej. Drzwi w głębi wiodą do garderoby; po prawej okno.

Scena I

ZUZANNA, HRABINA, *wchodzą drzwiami z prawej.*

HRABINA *rzuca się w berżerkę.* Zamknij drzwi, Zuzanno, i opowiedz mi wszystko, ze szczegółami.

ZUZANNA. Nie ukryłam nic pani hrabinie.

HRABINA. Jakto, Zuziu, chciał cię uwieść?

ZUZANNA. Och, nie. Pan hrabia nie zadaje sobie tyle trudu z prostą służącą: chciał mnie kupić.

HRABINA. I pazik był przy tem?

ZUZANNA. Ukryty za fotelem. Przyszedł mnie prosić, abym się za nim wstawiła do pani.

HRABINA. Czemu nie zwrócił się wprost do mnie? czyż byłabym mu odmówiła, Zuziu?

ZUZANNA. Toż samo i ja mówiłam. Ba! gdyby kto słyszał jego żale że odjeżdża, a zwłaszcza że opuszcza panią: *„Ach, Zuziu, jaka ona szlachetna i piękna! ale jaka dumna!“*

HRABINA. Czy ja wyglądam na to, Zuziu? ja, która zawsze brałam go w obronę!

ZUZANNA. Potem zobaczył wstążkę pani, którą trzymałam w ręku i rzucił się na nią...

HRABINA, *z uśmiechem.* Wstążkę?... cóż za dziecińistwo!

ZUZANNA. Chciałam odebrać: och, gdyby go pani widziała! istny lewek, oczy mu tak błyszczały... „Wydrzesz mi ją chyba razem z życiem“, wołał, podnosząc swój wątły i słodki głosik.

HRABINA, *w zadumie.* I co, Zuziu?

ZUZANNA. Ano, cóż, proszę pani, alboż można dać sobie rady z tym djabełkiem? a chrzestna matka to, a chciałbym znów owo; i dlatego, że nie śmiałby ucałować ani kraju sukni pani, chciał, z tego wszystkiego, mnie wyściskać raz po razu.

HRABINA, *w zadumie.* Zostawmy... zostawmy te szaleństwa... Zatem, moja dobra Zuzanno, mąż mój powiedział ci wreszcie...

ZUZANNA. Że, jeśli nie zechcę go wysłuchać, weźmie stronę Marceliny.

HRABINA *wstaje i chodzi wachlując się silnie.* Już mnie wcale nie kocha.

ZUZANNA. Czemuż więc taki zazdrosny?

HRABINA. Jak wszyscy mężowie, moja droga: jedynie przez dumę! Ach! nadto go kochałam! znużyłam go czułościami, zmęczyłam miłością; oto mój jedyny błąd. Ale nie ścierpię, aby to uczciwe wyznanie miało ci zaszkodzić: wyjdziesz za Figara. On jedynie zdoła nam pomódz: czy przyjdzie?

ZUZANNA. Natychmiast, skoro tylko pan hrabia ruszy na polowanie.

HRABINA, *wachlując się.* Otwórz trochę okno na ogród. Szalony upał!...

ZUZANNA. To stąd, że pani mówi i chodzi tak żywo. *(Otwiera okno w głębi).*

HRABINA, *wciąż w zadumie.* Gdyby nie to wytrwałe unikanie mnie... ha!... mężczyźni są bardzo niegodziwi.

ZUZANNA *woła od okna.* Och! pan hrabia jedzie konno aleją, za nim Pedrillo, z dwoma, trzema, czterema chartami.

HRABINA. Mamy czas. *(Siada)*. Ktoś puka, Zuziu.

ZUZANNA *biegnie otworzyć, nucąc*. Och, to mój Figaro! Och, to mój Figaro!

Scena II

FIGARO, ZUZANNA, HRABINA, *siedzi*.

ZUZANNA. Jesteś, skarbie! Chodźże tutaj. Pani hrabina się niecierpliwi!...

FIGARO. A ty, Zuziątko moje? Pani hrabina nie ma się czem przejmować. W gruncie, o cóż chodzi? o drobnostkę. Panu hrabiemu wydaje się nasza młoda żonka ponętna, chciałby uczynić z niej swą kochankę; bardzo naturalne.

ZUZANNA. Naturalne?

FIGARO. Mianował mnie tedy kurjerem, a Zuzię radcą ambasady. Bardzo roztropnie.

ZUZANNA. Skończysz raz?

FIGARO. A ponieważ Zuzanna, moja narzeczona, nie przyjmuje dyplomu, hrabia będzie popierał Marcelinę. Jeszcze raz pytam, cóż prostszego? Na tych, którzy krzyżują jego projekta, mści się, obalając ich własne; toć to jest to samo, co każdy z nas czyni i co właśnie mamy zamiar zrobić. No i cóż? to wszystko.

HRABINA. Czy ty możesz, Figaro, traktować tak lekko zamiar, który niweczy szczęście nas wszystkich?

FIGARO. Któż to powiada?

ZUZANNA. Zamiast przejmować się naszem strapieniem...

FIGARO. Czy to nie dosyć, że się niem zajmuję? Owóż, aby postępować równie metodycznie jak pan hrabia, ochłódźmy przedewszystkiem jego zdobywcze zapały, niepokojąc go na jego własnych gruntach.

HRABINA. Dobra myśl; ale jak?

FIGARO. Już się stało, pani; fałszywe ostrzeżenie, tyczące jej osoby...

HRABINA. Mojej osoby! Tyś oszalał!

FIGARO. Och, będzie szalał, ale mój pan.

HRABINA. On, taki zazdrosny!...

FIGARO. Tem lepiej: aby powodować ludźmi tego charakteru, trzeba im smagać nieco krew: kobiety umieją to tak dobrze! Następnie, skoro się ich rozżarzy do czerwoności, przy odrobinie sprytu można ich zaprowadzić dokąd się chce, bodaj nosem do Gwadalkwiru. Kazałem oddać Bazyljowi bilecik nieznanej ręki, ostrzegający hrabiego, że jakiś gaszek będzie się starał widzieć z panią dziś podczas balu.

HRABINA. I ty śmiesz igrać w ten sposób z prawdą, kosztem honoru uczciwej kobiety?

FIGARO. Mało jest takich z któremibym się na to odważył, w obawie aby zmyślenie nie okazało się prawdą.

HRABINA. Może każesz mi jeszcze dziękować!

FIGARO. Ale, powiedzcie mi, panie, czy to nie urocze, urządzić panu hrabiemu dzień w ten sposób, aby, krążąc, czatując, złorzecząc własnej żonie, strawił czas, który przeznaczał na uciechy z moją! Będzie zupełnie zbity z tropu: gonić za tą? czatować na tamtą? Wzburzony, pomieszany, o, o, patrzcie jak gna po równinie, mszcząc się na niewinnym zającu! Tymczasem, nadchodzi godzina ślubu; nie powziął nic stanowczego aby mu przeszkodzić, a nie będzie śmiał sprzeciwić się wręcz przy pani.

ZUZANNA. Nie; ale Marcelina, ta uczona główka, ona będzie śmiała z pewnością.

FIGARO. Brrr! To mnie niepokoi, na honor! Każ powiedzieć hrabiemu, że o zmierzchu przyjdziesz do ogrodu.

ZUZANNA. Na to liczysz?

FIGARO. Tam do licha! słuchaj przecie; ludzie, którzy nie chcą zrobić nic z niczego, nic nigdy nie osiągną i wogóle są do niczego. Oto moje zdanie.

ZUZANNA. Śliczne!

HRABINA. Jak i sam pomysł. Zgodziłbyś się więc, aby uległa?

FIGARO. Wcale nie. Każę wdziać suknie Zuzanny komu innemu: hrabia, przychwycony na schadzce, czyż będzie się mógł wyprzeć?

ZUZANNA. I kogóż ustroisz w moje suknie?

FIGARO. Cherubina.

HRABINA. Odjechał.

FIGARO. Dla innych, ale nie dla mnie: czy pozwolicie mi działać?

ZUZANNA. Można się spuścić na niego, gdy chodzi o intrygę.

FIGARO. Dwie, trzy, cztery naraz, djabelsko powikłane i krzyżujące się wzajem. Byłem urodzony na dworaka.

ZUZANNA. Mówią, że to rzemiosło tak trudne.

FIGARO. Dostawać, brać i prosić jeszcze; to, w trzech słowach, cała tajemnica.

HRABINA. Tyle zdradza otuchy, że i mnie zaczyna jej udzielać.

FIGARO. Taki był mój zamiar.

ZUZANNA. Mówiłeś zatem...?

FIGARO. Że, w czasie nieobecności hrabiego, przyślę ci Cherubina, uczesz go, ubierz: zamykam się z nim, uczę go roli: a potem, prosimy w tany, panie hrabio! *(wychodzi)*.

Scena III

ZUZANNA, HRABINA, *siedzi.*

HRABINA, *trzymając puzderko z muszkami.* Boże, Zuzanno, jak ja wyglądam!... ten młody człowiek ma tu przyjść za chwilę...

ZUZANNA. Więc pani hrabina nie chce aby się wyleczył?

HRABINA, *spoglądając w zadumie w lusterko.* Ja!... zobaczysz, jak go wyłaję.

ZUZANNA. Każmy, niech zaśpiewa swą piosnkę. *(Kładzie ją hrabinie na kolanach)*.

HRABINA. Ależ-bo, w istocie, włosy moje są w takim niełądzie...

ZUZANNA, *śmiejąc się.* Wystarczy poprawić te dwa pukle: tem lepiej będzie się pani łajało.

HRABINA, *opamiętując się.* Co ty tam paplesz, szalona głowo?

Scena IV

CHERUBIN, *z miną zawstydzoną,* ZUZANNA, HRABINA, *siedzi.*

ZUZANNA. Wejdź, wejdź, panie oficerze, pani pozwala.

CHERUBIN *posuwa się cały drżący.* Ach, pani! jakże mnie ten tytuł martwi! przypomina mi, że trzeba opuścić te strony... chrzestną matkę... taką... dobrą...

ZUZANNA. I taką ładną!

CHERUBIN, *z westchnieniem.* Ach, tak.

ZUZANNA, *przedrzeźniając.* „Ach, tak!‘ Niebożątko! ze swemi długiemi obłudnemi rzęsami. No, dalej, piękny cherubinku, zaśpiewaj pani swą romancę.

HRABINA *rozwija papier.* Któż to... ma być autorem?

ZUZANNA. Widzi pani rumieniec winowajcy: na cal różu na policzkach.

CHERUBIN. Czyż nie wolno uwielbiać?...

ZUZANNA *grozi mu pięścią pod nosem.* Powiem wszystko, ladaco!

HRABINA. Czy on... ją śpiewa?

CHERUBIN. Och, pani, jestem tak wzruszony..

ZUZANNA, *śmiejąc się.* I mniam, mniam, mniam! Skoro pani sobie życzy, skromny panie autorze! ja ci będę towarzyszyć.

HRABINA. Weź moją gitarę.

Hrabina, siedząc, patrzy w papier, idąc za słowami piosnki. Zuzanna stoi za fotelem i preludjuje, zaglądając w nuty przez ramię pani. Pazik stoi przed nią ze spuszczonemi oczami. Razem odtwa-

rzają wiernie piękny sztych Van Loo, pod tytułem La Conversation espagnole [1]).

PIOSNKA CHERUBINA [2]).

Hej, z wiatrami w przegony
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
— byle rzucić te strony —
nieś mnie koniu daleko.

Nieś mnie koniu daleko!
— Przy gaiku nad rzeką,
tam mię żal mój dogonił,
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
bym rzewliwe łzy ronił,
myśląc o mej jedynej.

Myśląc o mej jedynej
w cieniu młodej brzeziny —
drogie imię — mój Boże —
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
ostrzem ryłem na korze
— Król przejeżdżał tamtędy —

Król przejeżdżał tamtędy —
— dwór — rycerze w dwa rzędy —
— Paziu! — rzecze królowa —
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
skąd ta łezka perłowa?
Czemu smutkiem twarz blada?

Czemu smutkiem twarz blada?
Może znajdzie się rada.
— Każesz — wyznać ci muszę,
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
dałbym życie i duszę
dla mej pani przesłodkiej.

---

[1]) Cherubin, Hrabina, Zuzanna.
[2]) Przekład Edwarda Leszczyńskiego.

Dla mej pani przesłodkiej,
więdnę, niby kwiat wiotki.
— Nie płacz, piękne me dziecię!
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
pań jest więcej na świecie —
posłuchaj rady zdrowej.

Posłuchaj rady zdrowej —
będziesz paziem królowej.
— Helena, moja dworka
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
przyhołubi amorka
— spłynie łaska kościoła.

Spłynie łaska kościoła —
Nic twa rada nie zdoła.
Wolę umrzeć z rozpaczy
(Jakże serce, jak serce ukoić!)
gdy nie można inaczej
kochać mego anioła.

HRABINA. Jest w tem szczerość... uczucie nawet.

ZUZANNA *składa gitarę na fotelu* [1]). Och, co się tyczy uczucia, chłopiec... Ale, ale, panie oficerze, czy mówiono ci, że, dla ożywienia wieczoru, chciałybyśmy się przekonać, czy która z moich sukien nie nada się tobie.

HRABINA. Obawiam się, że nie.

ZUZANNA *mierzy się z nim.* Jest mojego wzrostu. Zdejmmy mu najpierw płaszcz *(odpina).*

HRABINA. A gdyby kto wszedł?

ZUZANNA. Alboż robimy co złego? Zamknę drzwi. *(Biegnie).* Ale przedewszystkiem, chciałabym coś dlań na głowę.

HRABINA. Na mojej tualecie leży czepeczek kąpielowy. *(Zuzanna wchodzi do alkierza, drzwiami po lewej na przodzie sceny).*

---

[1]) Cherubin, Zuzanna, Hrabina.

Scena V

CHERUBIN, HRABINA, *siedzi.*

HRABINA. Aż do otwarcia balu, hrabia nie będzie wiedział że jesteś w zamku. Powiemy mu później, że, w oczekiwaniu aż przygotują twój dekret, wpadła nam myśl...

CHERUBIN *pokazuje dekret.* Niestety, pani, oto już jest! Bazyljo oddał mi go w imieniu hrabiego.

HRABINA. Już? obawiali się stracić bodaj minutę. *(Czyta).* Tak im było pilno, że aż zapomnieli pieczęci. *(Oddaje dekret).*

Scena VI

CHERUBIN, HRABINA, ZUZANNA.

ZUZANNA *wchodzi z wielkim czepkiem.* Jakiej pieczęci?

HRABINA. Na dekrecie.

ZUZANNA. Już?

HRABINA. Toż samo mówiłam. Czy to mój czepeczek?

ZUZANNA *siada koło hrabiny* [1]). I najpiękniejszy ze wszystkich. *(Śpiewa ze szpilkami w ustach).*

Zwróć nieco głowę, prosto stój,
Janie de Lyra, miły mój.

(Cherubin przyklęka, Zuzanna stroi mu głowę). Ach, pani, ależ uroczy!

HRABINA. Ułóż mu kołnierzyk bardziej po damsku.

ZUZANNA *poprawia.* O, tak... Patrzcie mi tego hultaja, jak jemu do twarzy za dziewczynę! Zazdrosna jestem, doprawdy! *(Bierze go pod brodę).* Słuchaj, przestaniesz ty być taki ładny?

HRABINA. Cóż za warjatka! Trzeba podwinąć rękaw, aby suknia lepiej leżała... *(Podwija).* Cóż on ma na ramieniu? wstążkę!

---

[1]) Cherubin, Zuzanna, Hrabina.

ZUZANNA. I to wstążkę pani. Rada jestem, że pani widziała. Powiedziałam mu już, że sama powiem! Oho, gdyby pan hrabia nie wszedł, z pewnością odebrałabym wstążkę, bo jestem prawie tak silna jak on.

HRABINA. Ależ tu krew! *(Odwiązuje wstążkę)*.

CHERUBIN, *zawstydzony*. Dziś rano, na wsiadanem, poprawiałem munsztuk; koń szarpnął głową i guzik skaleczył mi ramię.

HRABINA. Jeszcze nikt chyba wstążką...

ZUZANNA. A zwłaszcza kradzioną. Popatrzmyż tedy co ten łańcuszek... guzik... wędzidło... nie rozumiem się nic a nic na tych nazwach. — Och, jakie on ma białe ramię! istna kobieta! bielsze niż moje! o, niech pani patrzy *(porównuje)*.

HRABINA, *lodowato*. Poszukaj raczej kawałka kitajki w gotowalni. *(Zuzanna popycha mu głowę, śmiejąc się. Cherubin pada na obie ręce. Zuzanna wchodzi do alkierza)*.

Scena VII

CHERUBIN, *na kolanach*, HRABINA *siedzi*.

HRABINA *jakiś czas milczy, z oczami wlepionemi we wstążkę. Cherubin pożera ją wzrokiem.*

Co zaś do wstążki, panie kawalerze... bardzo lubię ten kolor... i byłam bardzo zmartwiona z jej zguby...

Scena VIII

CHERUBIN, *na kolanach*, HRABINA *siedzi*, ZUZANNA.

ZUZANNA, *wchodząc*. A opatrunek? *(Oddaje hrabinie kitajkę i nożyczki)*.

HRABINA. Kiedy pójdziesz szukać swoich szmatek, weź wstążkę od innego czepeczka. *(Zuzanna wychodzi w głębi, zabierając płaszcz pazia)*.

Scena IX

CHERUBIN, *na kolanach*, HRABINA *siedzi.*

CHERUBIN, *ze spuszczonemi oczami.* Ta, którą mi odebrano, wyleczyłaby mnie w mgnieniu oka.

HRABINA. Jakim cudem? *(pokazując kitajkę).* To o wiele skuteczniejsze.

CHERUBIN, *wahając się.* Skoro wstążka... opasywała głowę... lub spoczywała na ciele osoby...

HRABINA, *przecinając zdanie.* ...Obcej! staje się dobra na rany? Nie znałam tej własności. Dla wypróbowania, zachowam wstążkę, którą miałeś na ramieniu. Za pierwszem zadraśnięciem... której z garderobianych... spróbuję.

CHERUBIN, *wzruszony.* Pani zachowa wstążkę, a ja jadę!

HRABINA. Nie na zawsze.

CHERUBIN. Jestem tak nieszczęśliwy!

HRABINA, *wzruszona.* Płacze teraz! To ten niegodziwy Figaro ze swoją wróżbą!...

CHERUBIN, *w podnieceniu.* Ach, chciałbym aby się corychlej sprawdziła. Gdybym miał pewność, że umrę za chwilę, moje usta odważyłyby się...

HRABINA *przerywa i wyciera mu oczy chusteczką.* Cicho bądź, cicho, dziecko. Niema odrobiny sensu w tem co mówisz. *(Pukanie do drzwi, hrabina pyta podniesionym głosem).* Któż to puka w ten sposób?

Scena X

CHERUBIN, HRABINA, HRABIA, *za sceną.*

HRABIA, *z zewnątrz.* Czegóż zamknięte?

HRABINA, *zmieszana, powstaje.* Mąż! wielkie nieba! *(Do Cherubina, który zerwał się również).* Ty, bez płaszcza, z obnażoną

szyją, ramionami! sam ze mną! ten nieład, list który hrabia otrzymał, jego zazdrość!...

HRABIA, *z zewnątrz.* Nie otwiera pani?

HRABINA. Bo... bo jestem sama.

HRABIA, *z zewnątrz.* Sama! z kimże tedy rozmawiasz?

HRABINA, *zakłopotana.* Z tobą... oczywiście, hrabio.

CHERUBIN, *na stronie.* Po tem co zaszło wczoraj i dziś rano, zabiłby mnie na miejscu! *(Biegnie ku gotowalni, wpada i zamyka za sobą).*

Scena XI

HRABINA, *sama, wyjmuje klucz, i biegnie otworzyć hrabiemu.* Och, cóż za nierozwaga! co za nierozwaga!

Scena XII

HRABIA, HRABINA.

HRABIA, *dość surowo.* Nie jest w pani zwyczaju zamykać się!

HRABINA, *zmieszana.* Przebierałam gałganki... Przebierałam gałganki z Zuzią... poszła na chwilę do siebie.

HRABIA, *przygląda się jej.* Twarz i głos pani są bardzo zmienione!...

HRABINA. Nic w tem dziwnego... zupełnie nic dziwnego... upewniam... mówiłyśmy o tobie... poszła, jak ci wspomniałam...

HRABIA. Mówiłyście o mnie!... Wróciłem pod wpływem jakiegoś niepokoju; kiedy wsiadałem na konia, oddano mi bilecik... och, nie przywiązuję doń najmniejszej wagi,, ale... podrażnił mnie...

HRABINA. Jakto, panie?... co za bilecik?

HRABIA. Trzeba przyznać, pani, że ty albo ja otoczeni jesteśmy bardzo niegodziwymi ludźmi. Ostrzeżono mnie, że ktoś, kogo uważam za nieobecnego, postara się zobaczyć z panią.

HRABINA. Ktokolwiek byłby ów śmiałek, będzie chyba musiał wejść tutaj; mam zamiar cały dzień nie opuszczać pokoju.

HRABIA. A wieczór, na wesele Zuzi?

HRABINA. Za nic w świecie; czuję się bardzo niedobrze.

HRABIA. Na szczęście, doktór jest tutaj. *(Paź przewraca krzesło w gabinecie)*. Cóż to za hałas?

HRABINA, *zmieszana*. Hałas?

HRABIA. Ktoś przewrócił jakiś mebel.

HRABINA. Ja... ja nic nie słyszałam.

HRABIA. Musi tedy być pani djablo zajęta!

HRABINA. Zajęta? czem?

HRABIA. W tym gabinecie jest ktoś, pani.

HRABINA. Jakto... któżby?

HRABIA. To ja o to pytam; dopiero wszedłem.

HRABINA. Ależ... prawdopodobnie Zuzia robi porządek.

HRABIA. Powiedziała pani, że Zuzia poszła do siebie.

HRABINA. Poszła... lub weszła tam... nie wiem pewnie.

HRABIA. Jeśli to Zuzia, skąd twoje zmieszanie?

HRABINA. Zmieszanie... z przyczyny mojej pokojówki?

HRABIA. Czy z przyczyny pokojówki, nie wiem; ale co do zmieszania, to rzecz pewna.

HRABINA. Rzecz pewna, hrabio, że ta dziewczyna niepokoi i zajmuje ciebie o wiele więcej niż mnie.

HRABIA, *w gniewie*. Zajmuje do tego stopnia, iż pragnę widzieć ją w tej chwili.

HRABINA. Zdaje mi się, w istocie, że pragniesz tego często; ale nigdy zuchwalsze podejrzenie...

Scena XIII

HRABIA, HRABINA, ZUZANNA *wchodzi z rękami pełnemi sukien.*

HRABIA. Tem łatwiej będzie je rozproszyć. *(Woła w stronę alkierza)*. — Wyjdź, Zuziu, rozkazuję. *(Zuzanna zatrzymuje się koło alkowy w głębi)*.

HRABINA. Jest prawie nieubrana; czyż można w ten sposób obchodzić się z kobietami w ich mieszkaniu? Przymierzała suknie, które jej daję z okazji ślubu; uciekła, usłyszawszy twój głos.

HRABIA. Jeśli tak bardzo się boi pokazać, może bodaj przemówi. *(Obraca się ku drzwiom)*. Odpowiedz. Zuziu, czy jesteś? *(Zuzanna, która dotąd stała w głębi, pomyka do alkowy i chowa się)*.

HRABINA, *żywo, w stronę alkierza*. Zuziu, zakazuję ci odpowiadać. *(Do hrabiego)*. Jeszcze nikt nie posunął tyranji do tego stopnia.

HRABIA, *zbliżając się do drzwi*. Och, skoro nie chce mówić, ubrana czy nie, muszę ją widzieć.

HRABINA, *staje przed drzwiami*. Wszędzie indziej nie jest w mej mocy przeszkodzić panu; ale mam nadzieję, że choć we własnym pokoju...

HRABIA. A ja mam nadzieję, że dowiem się za chwilę, kto jest owa tajemnicza Zuzia. Żądać od pani klucza, byłoby, jak widzę, daremnie! ale jest sposób, aby wysadzić te drzwiczki. Hej! jest tam który?

HRABINA. Chcesz wołać ludzi i dawać publiczny rozgłos podejrzeniu, które uczyniłoby nas pośmiewiskiem?

HRABIA. Ma pani słuszność; w istocie, ja sam wystarczę: pójdę w tej chwili przynieść co potrzeba. *(Idzie ku drzwiom i wraca)*. Ale, aby wszystko zostało jak jest, czy raczy pani towarzyszyć mi, bez skandalu i hałasu, skoro ich tak nie lubisz?... Rzeczy tak prostej nie zechcesz chyba odmówić!

HRABINA, *zmieszana*. Ależ, mężu, któż myśli ci się sprzeciwiać?

HRABIA. Ach, zapomniałem o drzwiach do garderoby; muszę je zamknąć również, iżby uniewinnieniu pani stało się zadość w całej pełni. *(Zamyka drzwi w głębi i wyjmuje klucz)*.

HRABINA, *na stronie*. O nieba! cóż za nierozwaga!

HRABIA, *wracając*. Teraz, kiedy pokój zamknięty, przyjm moje ramię, proszę; *(podnosząc głos)* co się tyczy Zuzi, musi łaskawie

zaczekać w alkierzu aż wrócę; najmniej zaś co jej grozi za moim powrotem...

HRABINA. W istocie, hrabio, trudno o wstrętniejszą przygodę... *(Hrabia wyprowadza ją i zamyka drzwi na klucz).*

Scena XIV

ZUZANNA, CHERUBIN.

ZUZANNA *wybiega z ukrycia, podbiega do alkierza i mówi przez dziurkę od klucza.* Otwórz, Cherubinie, prędko; to ja, Zuzia; wychodź.

CHERUBIN, *wychodzi.* Ach, Zuziu, cóż za straszna scena!

ZUZANNA. Wychodź, niema minuty do stracenia!

CHERUBIN, *przestraszony.* A jak wyjść?

ZUZANNA. Nie wiem, ale wyjdź.

CHERUBIN. Jeśli niema wyjścia?

ZUZANNA. Po rannem spotkaniu, hrabia zgniótłby cię, a my byłybyśmy zgubione. Biegnij uwiadomić Figara...

CHERUBIN. Okno nie jest może zbyt wysokie. *(Biegnie do okna).*

ZUZANNA, *ze zgrozą.* Z piętra! niepodobna! Och, biedna pani! A moje małżeństwo, o Boże!

CHERUBIN *wraca.* Wychodzi na inspekty, co najwyżej uszkodzę parę grządek.

ZUZANNA *zatrzymuje go, wołając.* Zabije się!

CHERUBIN, *w uniesieniu.* W gorejącą otchłań, Zuziu, raczej niż ją narazić... A ten całus przyniesie mi szczęście.

Scena XV

ZUZANNA, *sama, wydaje okrzyk przerażenia.*

Och!... *(Pada na chwilę na krzesło. Z trudem zbliża się do okna i wraca).* Już jest daleko! Och, mały urwis! równie zwinny jak ładny! Jeśli temu zbraknie w życiu kobiet... Zajmijmy coprędzej

jego miejsce. *(Wchodząc do alkierza).* Możesz teraz, panie hrabio, wyłamać zamek, o ile cię to bawi: zje djaska, kto dobędzie ze mnie słowo. *(Zamyka się).*

Scena XVI

HRABIA, HRABINA *wracają do pokoju.*

HRABIA *trzyma w ręku obcęgi, które rzuca na fotel.* Wszystko jest jak zostawiłem. Pani, nim mnie narazisz na konieczność skruszenia drzwi, zastanów się: jeszcze raz pytam, nie chcesz otworzyć?

HRABINA. Ach, mężu, jakiż straszliwy poryw zdolny jest niweczyć w ten sposób względy należne godności żony? Gdyby to miłość władała tobą i podsuwała ci te szaleństwa, usprawiedliwiłabym je, mimo ich niedorzeczności; zapomniałabym może, przez wzgląd na pobudki, wszystko co jest w nich obrażającego. Ale sama próżność czyż może szlachetnego człowieka przywieść do takich wybryków?

HRABIA. Miłość czy próżność, otworzysz pani, albo natychmiast...

HRABINA, *stając między hrabią a drzwiami.* Wstrzymaj się hrabio, proszę. Czy sądzisz że byłabym zdolna uchybić samej sobie?

HRABIA. Co się pani podoba; chcę widzieć, kto jest w alkierzu.

HRABINA, *przestraszona.* Dobrze więc, mężu, zobaczysz. Posłuchaj mnie... spokojnie.

HRABIA. Więc nie Zuzia?

HRABINA, *trwożliwie.* W każdym razie nie osoba... której mógłbyś się w czemkolwiek obawiać... Gotowałyśmy żarcik... bardzo niewinny, doprawdy... na dziś wieczór... i przysięgam...

HRABIA. I przysięgasz?...

HRABINA. Że ani on ani ja nie mieliśmy zamiaru cię obrazić.

HRABIA, *szybko.* Ani on ani ja? Więc to mężczyzna?

HRABINA. Dziecko raczej, mężu.

HRABIA. Któż?

HRABINA. Ledwie śmiem go nazwać?

HRABIA, *wściekły*. Zabiję go.

HRABINA. Wielkie nieba!

HRABIA. Mów więc.

HRABINA. Młody... Cherubin.

HRBIA. Cherubin! zuchwały!... Oto więc moje podejrzenia i bilecik sprawdziły się.

HRABINA, *składając ręce*. Och, hrabio, nie myśl...

HRABIA, *tupiąc nogą, na stronie*. Wszędzie spotykać przeklętego pazia! *(Głośno)*. Proszę, pani, otwórz; wiem wszystko teraz. Nie byłabyś tak wzruszona, żegnając go dziś rano; on byłby odjechał, jak mu kazałem; nie byłabyś, z takim nakładem fałszu, układała bajeczki o Zuzannie; nie byłby się tak skwapliwie schował, gdyby nie kryło się w tem nic występnego.

HRABINA. Lękał się pogniewać cię, pokazując ci się na oczy.

HRABIA, *odchodząc od zmysłów, krzyczy przez drzwi do alkierza*. Wychodź-że raz, malcze przeklęty!

HRABINA *bierze go wpół i odciąga*. Och, hrabio, mężu, gniew twój... ja drżę o niego. Nie dopuszczaj, błagam, próżnego podejrzenia! i niech to że go zastaniesz trochę rozebranym...

HRABIA. Rozebranym!...

HRABINA. Niestety, miałyśmy go przebrać za kobietę: ma mój czepek, jest w kamizelce, szyja i ramiona gołe; miał właśnie przymierzać...

HRABIA. I pani, pod pozorem słabości, chciałaś zostać w pokoju! Niegodna żono! ha! zostaniesz w nim... długo; ale trzeba wprzód wypędzić zeń zuchwalca, i to tak, abym go już nie spotkał nigdzie.

HRABINA, *padając na kolana, ze wzniesionemi rękami*. Hrabio, miej litość dla dziecka; nie darowałabym sobie nigdy, iż stałam się przyczyną...

HRABIA. Przestrach twój przydaje wagi jego zbrodni.

HRABINA. On nie winien, odjeżdżał już; to ja kazałam go zawołać.

HRABIA, *wściekły*. Powstań, usuń się... Pani masz śmiałość przemawiać do mnie za innym!

HRABINA. Dobrze więc, mężu, usuwam się; wstaję; oddam ci nawet klucz od alkierza: ale, zaklinam cię, w imię twej miłości...

HRABIA. Mej miłości, wiarołomna!

HRABINA *wstaje i oddaje klucz.* Przyrzeknij, że pozwolisz odejść temu dziecku, nie robiąc mu nic złego; niech potem cały twój gniew spadnie na mnie, jeśli cię nie przekonam...

HRABIA, *biorąc klucz.* Nie słucham już nic.

HRABINA *rzuca się na berżerkę, zasłaniając chustką oczy.* Nieba! on zginie.

HRABIA *otwiera drzwi i cofa się.* Zuzia!...

Scena XVII

HRABINA, HRABIA, ZUZANNA.

ZUZANNA *wychodzi, śmiejąc się.* „Zabiję go, zabiję". Zabij go więc pan, tego niegodziwego pazia!

HRABIA, *na stronie.* Ha! Cóż za nauczka! *(Patrząc na hrabinę, która stoi osłupiała).* I pani także udajesz zdumienie?... Ale może ona tam nie sama. *(Wchodzi).*

Scena XVIII

HRABINA, *siedzi,* ZUZANNA.

ZUZANNA *podbiega do hrabiny.* Niech się pani uspokoi, jest daleko, wyskoczył.

Scena XIX

HRABINA, *siedzi,* ZUZANNA, HRABIA.

HRABIA *wychodzi z gabinetu zawstydzony. Po krótkiem milczeniu.* Niema nikogo, tym razem wina po mojej stronie. Hrabino... gra pani komedję bardzo dobrze.

ZUZANNA, *wesoło.* A ja, Wasza Dostojność? *(Hrabina przyciska chustkę do ust aby ochłonąć i milczy).*

HRABIA *zbliża się.* Jakto, pani, więc to był żart?...

HRABINA, *opamiętując się nieco.* Czemużby nie?

HRABIA. Cóż za szkaradna zabawa! I za cóż to?...

HRABINA. Czyż pańskie szaleństwa zasługują na litość?

HRABIA. Nazywać szaleństwem coś, co tyczy honoru?

HRABINA, *stopniowo coraz pewniejszym tonem.* Czyż poto złączyłam swoje życie z pańskiem, aby być wiecznie wydana na opuszczenie i zazdrość, dwie rzeczy, które pan jeden śmiesz kojarzyć?

HRABIA. Ach, pani, to było za wiele.

ZUZANNA. Jaśnie Pani winna była pozwolić panu hrabiemu aby zwołał służbę...

HRABIA. Masz słuszność, zawiniłem... Daruj, Rozyno, jestem tak zawstydzony!...

ZUZANNA. Niech Wasza Dostojność wyzna, że zasłużył na to potrosze.

HRABIA. Czemuż nie wyszłaś, kiedy cię wołałem, niegodziwa?

ZUZANNA. Odziewałam się jak mogłam, pokłułam się cała szpilkami; zresztą, pani hrabina, broniąc mi się odezwać, miała pewno swoje racje.

HRABIA. Miast przypominać mi moje błędy, pomóż mi uzyskać przebaczenie.

HRABINA. Nie, hrabio; podobnej zniewagi się nie zapomina. Schronię się do Urszulanek; widzę, że czas mi to uczynić.

HRABIA. Byłabyś zdolna, tak, bez żalu?...

ZUZANNA. Co do mnie, jestem pewna, iż ani jeden dzień nie spłynąłby pani bez płaczu.

HRABINA. A gdyby nawet, Zuziu? wolę raczej opłakiwać niewdzięcznika, niż mieć tę słabość aby mu przebaczyć. Nadto mnie obraził.

HRABIA. Rozyno!...

HRABINA. Nie jestem już ową Rozyną, którą tak oblegałeś! Jestem biedną hrabiną Almawiwa, biedną opuszczoną żoną, której już nie kochasz.

ZUZANNA. Pani!

HRABIA, *błagalnie*. Przez litość!...

HRABINA. Nie miałeś jej dla mnie.

HRABIA. Ale bo ten bilecik... przywiódł mnie do szaleństwa!

HRABINA. Napisano go bez mego zezwolenia.

HRABIA. Wiedziałaś o nim?

HRABINA. To ten warjat, Figaro.

HRABIA. On w tem palce maczał?

HRABINA. ...Oddał Bazyljowi...

HRABIA. Który powiedział mi, że ma go z rąk jakiegoś wieśniaka. O przewrotny dławidudo! więc to tak? siedzisz na dwóch stołkach? zapłacisz mi za wszystkich!

HRABINA. Żądasz przebaczenia dla siebie, a odmawiasz go innym! Oto mężczyźni! Och, gdybym zgodziła się przebaczyć, przez wzgląd na uniesienie, w jakie mógł cię wtrącić ten bilecik, żądałabym, aby amnestja była powszechna.

HRABINA. Dobrze więc, z całego serca, hrabino. Ale jak okupić błąd tak upokarzający?

HRABINA *wstaje*. Był nim dla nas obojga.

HRABIA. Ach, powiedz, dla mnie samego. — Ale nie mogę jeszcze pojąć, jak kobiety zdołają tak szybko i zręcznie nastroić się na ton, wymagany przez okoliczności. Czerwieniłaś się, płakałaś, twarz ci się mieniła... Na honor, jeszcze jesteś zmieniona...

HRABINA, *siląc się na uśmiech.* Rumieniłam się... z oburzenia na twą podejrzliwość. Ale czyż mężczyźni są na tyle subtelni, aby rozróżnić wzburzenie obrażonej cnoty, od pomieszania zrodzonego z poczucia winy?

HRABIA, *uśmiechając się.* A ten paź, wpół rozebrany, w kamizelce, prawie nagi...

HRABINA, *ukazując Zuzannę.* Widzisz go przed sobą. Czy nie milej ci raczej spotkać ją, niż kogo innego? Zazwyczaj takie spotkanie nie sprawia ci przykrości.

HRABIA, *śmiejąc się głośniej.* A te prośby, te udane łzy...

HRABINA. Zmuszasz mnie do śmiechu, a doprawdy nie mam na śmiech ochoty.

HRABIA. Zdaje się nam, że jesteśmy wielcy politycy, a jesteśmy proste dzieci. To ciebie, pani, król winien posłać w ambasadzie do Londynu! Płeć wasza musiała bardzo gruntownie zgłębiać sztukę udawania, aby osiągnąć tak zadziwiające rezultaty!

HRABINA. To wy zmuszacie nas do tego.

ZUZANNA. Traktujcie nas jako jeńców na słowo, a zobaczycie, czy jesteśmy ludźmi honoru.

HRABINA. Skończmy już, hrabio. Może posunęłam się za daleko; ale pobłażliwość moja wobec tak ciężkiej zniewagi powinna, conajmniej, uzyskać mi twoją.

HRABIA. Ale powtórz jeszcze, że przebaczasz.

HRABINA. Czy ja to powiedziałam, Zuziu?

ZUZANNA. Nie słyszałam, proszę pani.

HRABIA. Więc pozwól się wymknąć temu słowu.

HRABINA. Czy zasługujesz na nie, niewdzięczny?

HRABIA. Tak, skruchą moją.

ZUZANNA. Podejrzewać, że u pani w alkierzu chowa się mężczyzna!

HRABIA. Ukarała mnie dość surowo!

ZUZANNA. Nie wierzyć jej, gdy powiada, że to Zuzia!

HRABIA. Rozyno, nie dasz się zmiękczyć?

HRABINA. Ach, Zuziu, jakaż ja słaba! jakiż przykład ci daję! *(Wyciągając rękę do hrabiego).* Już nikt nie będzie wierzył w gniew kobiety.

ZUZANNA. Ba, proszę pani, czyż z nimi nie zawsze trzeba skończyć na tem? *(Hrabia całuje gorąco rękę żony).*

Scena XX

ZUZANNA, FIGARO, HRABINA, HRABIA.

FIGARO *wbiega zdyszany.* Mówiono, że pani zasłabła. Pędzę corychlej... Widzę z radością, że to bajki.

HRABIA, *sucho.* Bardzoś troskliwy.

FIGARO. To mój obowiązek. Ale, skoro nic nie grozi, Wasza Dostojność, oto młodzi wasale i wasalki zebrali się na dole ze skrzypkami i gęślami, czekając chwili, w której pan hrabia zezwoli, bym powiódł narzeczoną...

HRABIA. A któż zostanie, by czuwać przy hrabinie?

FIGARO. Czuwać? Wszak nie chora.

HRABIA. Nie; ale ten nieznajomy, który ma się z nią widzieć?

FIGARO. Jaki nieznajomy?

HRABIA. Ten, z bileciku, któryś oddał Bazyljowi.

FIGARO. Kto to powiada?

HRABIA. Gdybym nie wiedział tego skądinąd, obwiesiu, sama fizjognomja twoja upewniłaby mnie że kłamiesz.

FIGARO. Jeśli tak jest w istocie, nie ja kłamię, ale moja fizjognomja.

ZUZANNA. Daj pokój, nieboraku! nie marnuj elokwencji: powiedziałyśmy wszystko.

FIGARO. Powiedziały co? traktujecie mnie jak Bazylja!

ZUZANNA. Że napisałeś przed chwilą bilecik, aby wmówić w pana hrabiego, iż pazik znajduje się w tym alkierzu, gdzie ja się tymczasem zamknęłam.

HRABIA. Co na to odpowiesz?

HRABINA. Niema już co ukrywać, Figaro; żart skończony.

FIGARO, *starając się zgadnąć*. Żart... skończony?

HRABIA. Tak; *consumatum est*. Cóż ty na to?

FIGARO. Ja... na to... że chciałbym aby można było to samo rzec o mem małżeństwie; i, jeśli pan hrabia każe...

HRABIA. Przyznajesz się wreszcie do bileciku?

FIGARO. Skoro pani sobie życzy, skoro Zuzia sobie życzy, skoro sam pan hrabia sobie życzy, trzebaż i mnie się zgodzić; ale, na miejscu Waszej Dostojności, na honor, nie wierzyłbym ani słowa wszystkiemu co my tu opowiadamy.

HRABIA. Wciąż kłamać wbrew oczywistości! zaczyna mnie to drażnić.

HRABINA, *śmiejąc się*. Biedny chłopak! Czemuż żądać koniecznie, hrabio, aby raz w życiu powiedział prawdę?

FIGARO, *pocichu do Zuzanny*. Ostrzegam go o niebezpieczeństwie; to wszystko, co uczciwy człowiek może zrobić.

ZUZANNA, *cicho*. Widziałeś pazika?

FIGARO, *cicho*. Cały poturbowany.

ZUZANNA, *cicho*. Biedaczek!

HRABINA. Chodźmy, hrabio, ta para nie może się doczekać; niecierpliwość tak zrozumiała! zejdźmyż dopełnić ceremonji.

HRABIA, *na stronie*. A Marcelina, Marcelina... *(Głośno)*. Chciałbym bodaj... ubrać się.

HRABINA. Dla służby?... Czyż ja się ubieram?

Scena XXI

FIGARO, ZUZANNA, HRABINA, HRABIA. ANTONIO.

ANTONIO, *podchmielony, trzymając doniczkę zgniecionych goździków*. Wasza Dostojność! Wasza Dostojność!

HRABIA. Czego chcesz, Antonio?

ANTONIO. Każże pan hrabia okratować okna, które wychodzą na moje grzędy. Wciąż wyrzucają mi coś przez okno; ot, przed chwilą wyrzucono mi człowieka.

HRABIA. Przez te okna?

ANTONIO. Patrzże hrabia, jak urządzili moje goździki!

ZUZANNA, *cicho do Figara.* Ratuj, Figaro, ratuj!

FIGARO. Wasza Dostojność, toż on pijany od samego rana.

ANTONIO. Takżeś zgadł! To mała reszteczka z wczoraj. Oto, jak ludzie wydają sądy... mętne...

HRABIA, *gwałtownie.* Ten człowiek! ten człowiek! gdzie on?

ANTONIO. Gdzie?

HRABIA. Tak.

ANTONIO. O to właśnie pytam. Muszę go znaleźć koniecznie. Jestem pańskim sługą: ja sam mam pieczę o ogród; wpada mi w ogród mężczyzna; czuje pan hrabia... że moja reputacja...

ZUZANNA, *cicho do Figara.* Odwróć to, odwróć jakoś.

FIGARO. Zawsze więc będziesz pił?

ANTONIO. Gdybym nie pił, wściekłbym się.

HRABINA. Ale nadużywać w ten sposób, bez potrzeby...

ANTONIO. Pić bez pragnienia i czulić się o każdej porze roku, pani hrabino, wszak to jedno odróżnia nas od innych bydląt.

HRABIA, *żywo.* Odpowiadaj, albo cię wypędzę.

ANTONIO. Alboż jabym odszedł?

HRABIA. Co?

ANTONIO, *dotykając ręką czoła.* Jeśli pan nie masz dosyć tego aby zachować dobrego sługę, ja nie jestem dość głupi na to aby odprawiać tak dobrego pana.

HRABIA *potrząsa nim w gniewie.* Zatem, powiadasz, że wyrzucono mężczyznę z tego okna?

ANTONIO. Tak, moja Ekscelencjo; przed chwilą, w białej kamizoli; uciekał, psiakość, aż się kurzyło...

HRABIA, *zniecierpliwiony.* No, i?...

ANTONIO. Chciałem biec za nim, ale nabiłem sobie o kratę

takiego siniaka... że nie mogę ruszać ani ręką ani nogą u tego małego palca. *(Podnosi palec).*

HRABIA. Poznałbyś bodaj tego człowieka?

ANTONIO. Och! jeszczeby nie!... gdybym go choć widział!

ZUZANNA, *pocichu, do Figara.* Nie widział.

FIGARO. Ileż historji dla głupiej doniczki! ileż ci trzeba, stękało, za twoje goździki? Niema co ukrywać, Wasza Dostojność: to ja skoczyłem.

HRABIA. Jakto, ty?

ANTONIO. „Ileż ci trzeba, stękało?“ Zatem ciało twoje tęgo podrosło od owego czasu? bo widziałeś mi się grubo mniejszy i cieńszy.

FIGARO. Oczywiście; kiedy człowiek skacze, kurczy się...

ANTONIO. Mnieby się zdawało, że to był raczej... aby nie zełgać... ten mały szkrab, ten pazik.

HRABIA. Cherubin, chcesz powiedzieć?

FIGARO. Tak, wrócił razem z koniem umyślnie poto z pod Sewilli, gdzie już się pewnie znajduje.

ANTONIO. Och! nie, tego nie mówię, tego nie mówię! Nie widziałem, żeby koń skakał, inaczej powiedziałbym sumiennie...

HRABIA. Cierpliwości!...

FIGARO. Byłem w garderobie, u dworek, w białej kamizelce: bo też upał!... Czekałem na moją Zuzię, kiedy, nagle, słyszę głos pana hrabiego, hałas, brum, brum!... nie wiem co za lęk mnie chwycił; przypomniałem sobie bilecik; i, przyznam się wręcz do swej głupoty, skoczyłem bez zastanowienia na inspekty. Wytknąłem nawet nieco prawą nogę. *(Rozciera nogę).*

ANTONIO. Skoro to ty, niechże ci oddam ten świstek, który przy upadku wypsnął ci się z kamizoli.

HRABIA *rzuca się ku Antoniemu.* Daj. *(Rozwija papier i składa go).*

FIGARO, *na stronie.* Wpadłem.

HRABIA, *do Figara.* Czy z przestrachu nie zapomniałeś co zawiera ten papier i skąd znalazł się w twojej kieszeni?

FIGARO, *zakłopotany, szpera po kieszeniach i dobywa kolejno różne papiery.* Nie, z pewnością. Mam ich tyle! Cała korespondencja zamkowa... *(Ogląda jakiś papier).* To? A, to list od Marceliny, cztery stronice, ładna historja!... A to, czy przypadkiem nie prośba tego biednego kłusownika?... nie, nie, o, jest... O, w drugiej kieszeni spis inwentarza... *(Hrabia znów rozwija papier).*

HRABINA, *cicho do Zuzanny.* Nieba! Zuziu! to patent oficerski.

ZUZANNA, *pocichu do Figara.* Wszystko stracone, to dekret.

HRABIA, *składa papier.* No i cóż! arcy-przemyślny człowieku, nie domyślasz się?

ANTONIO, *zbliżając się do Figara.* Pan hrabia pyta, czy się nie domyślasz.

FIGARO, *odpycha go.* Pfuj! ten paskudziarz chucha mi w sam nos!

HRABIA. Nie przypominasz sobie, co to być może?

FIGARO. A, a, a, a! *Povero!* to będzie dekret tego biednego chłopczyny! Powierzył mi go i zapomniałem mu oddać. O, o, o, o! ja roztrzepany! cóż on pocznie bez dekretu? trzeba pędzić...

HRABIA. Czemu ci go oddał?

FIGARO, *zakłopotany.* Chciał... chciał, żeby coś z tem zrobić.

HRABIA, *oglądając papier.* Wszak nic nie brakuje.

HRABINA, *pocichu do Zuzanny.* Pieczęć.

ZUZANNA, *pocichu do Figara.* Pieczęci brakuje.

HRABIA, *do Figara.* Nie odpowiadasz?

FIGARO. Hm... bo tak... w istocie... prawie nic nie brakuje... Powiada, że to zwyczaj.

HRABIA. Zwyczaj! co za zwyczaj?

FIGARO. Żeby był opatrzony pańską herbową pieczęcią. Może obeszłoby się bez tego.

HRABIA *rozwija papier i mnie go w złości.* Postanowione jest widać, że nic się nie dowiem. *(Na stronie).* To Figaro dowodzi tem wszystkiem i ja nie miałbym się zemścić? *(Zwraca się ku drzwiom z gniewem).*

FIGARO *zatrzymuje go.* Wasza Dostojność wychodzi, nic nie postanowiwszy co do uroczystości?

Scena XXII

BAZYLJO, BARTOLO, MARCELINA, FIGARO, HRABIA, SŁONECZKO, HRABINA, ZUZANNA, ANTONIO, *Służba hrabiego, Wasale.*

MARCELINA, *do hrabiego.* Niech Wasza Dostojność nic nie postanawia! Wcześniej niż jemu łaskę, nam jesteś winien sprawiedliwość. On ma zobowiązania wobec mnie.

HRABIA, *na stronie.* Nadchodzi moja pomsta.

FIGARO. Zobowiązania? Jakie? Wytłumacz się pani.

MARCELINA. Wytłumaczę się, zwodniku! *(Hrabina siada na berżerce, Zuzanna staje za nią).*

HRABIA. O cóż chodzi, Marcelino?

MARCELINA. O przyrzeczenie małżeństwa.

FIGARO. Ot, poprostu oblig, w zamian za pożyczone pieniądze.

MARCELINA, *do hrabiego.* Pod warunkiem małżeństwa. Wasza Dostojność jesteś wszechmocnym panem, najwyższym sędzią prowincji.

HRABIA. Skieruj rzecz przed trybunał, wymierzę wszystkim sprawiedliwość.

BAZYLJO, *ukazując Marcelinę.* W takim razie, Wasza Dostojność pozwoli, abym i ja przedłożył moje prawa do Marceliny?

HRABIA, *na stronie.* A, to ten hultaj, oddawca listu.

FIGARO. Inny warjat tegoż gatunku!

HRABIA, *z gniewem, do Bazylja.* Twoje prawa! twoje prawa!

Właśnie tobie przystało odzywać się w mojej obecności, mości błaźnie!

ANTONIO, *klaszcząc w dłonie*. Trafił hrabia w sedno: to jego tytuł.

HRABIA. Marcelino, wszystko zawieszamy na razie, aż do rozpatrzenia twoich praw, które odbędzie się publicznie, w wielkiej sali. Ty, uczciwy Bazyljo, wierny i pewny pośle, udasz się po ławników.

BAZYLJO. Dla tej sprawy?

HRABIA. I po wieśniaka, który ci oddał list.

BAZYLJO. Alboż ja go znam?

HRABIA. Wzdragasz się?

BAZYLJO. Nie zgodziłem się do załatwiania posyłek.

HRABIA. Hę?

BAZYLJO. Jestem niepospolity mistrz na organach, uczę hrabinę na klawicymbale, dworki ćwiczę w sztuce śpiewu, paziów na mandolinie: przedewszystkiem zaś, obowiązkiem moim jest umilać Waszej Dostojności czas brzdąkaniem na gitarze, kiedy się Jej spodoba rozkazać.

SŁONECZKO *wysuwa się*. Jabym poszedł, Wielemożny panoczku, jeśli wasza wola.

HRABIA. Jak się nazywasz i jaki masz urząd?

SŁONECZKO. Nazywam się Słoneczko, dobry panoczku; koziarz, koziarek, sprowadzony tu względem... tego niby... fajwerku. Dziś, moje kózki mają niby... święto, a ja znam gdzie jest w mieście ten wściekły kram z procesami.

HRABIA. Podoba mi się twoja gorliwość: idź; ty zaś *(do Bazylja)* będziesz towarzyszył panu, przygrywając na gitarze i zabawiając go w drodze śpiewem. Uważaj go za mego gościa.

SŁONECZKO, *uszczęśliwiony*. Co! ja, ja jestem... *(Zuzanna ucisza go ręką, ukazując hrabinę)*.

HRABIA. To twój urząd: ruszaj, albo cię przepędzę.

Scena XXIII

Ciż sami, z wyjątkiem hrabiego.

BAZYLJO, *do siebie.* Ha! Nie będę rozbijał nosa o garnek żelazny, ja, który jestem tylko...

FIGARO. Pustym czerepem...

BAZYLJO, *na stronie.* Miast dopomagać do ich małżeństwa, zakrzątnę się koło Marceliny. *(Do Figara).* Nie gódź się na nic, wierzaj, póki nie wrócę. *(Bierze gitarę z fotelu).*

FIGARO *idzie za nim.* Godzić się! och! nie, nie lękaj się; choćbyś nawet miał nie wrócić nigdy... Nie wyglądasz mi coś do śpiewu; chcesz, abym ja zaczął?... Hop, hop, wesoło! bierz górne *la-mi-la,* na cześć mojej narzeczonej. *(Cofając się, tańczy i przyśpiewuje; Bazyljo towarzyszy mu na gitarze, cały orszak idzie za Figarem).*

Ponad góry złote,
Wolę wdzięk i cnotę,
Zuzi, Zuzi mej,
Hej, hej, Hej hej!
Hej hej!

Oddam góry złote,
Za jedną pieszczotę
Zuzi, Zuzi mej,
Hej, hej, Hej hej!
Hej hej!

Śpiew oddala się i zamiera za sceną.

Scena XXIV

ZUZANNA, HRABINA.

HRABINA, *siedząc w berżerce.* Widzisz, Zuziu, ładną scenę sprowadził mi twój wartogłów swoim bilecikiem.

ZUZANNA. Och, pani, kiedy wyszłam z alkierza, gdyby pani

była widziała swoją twarz! zbladła pani w jednej chwili: ale to tylko na moment, a potem, stopniowo, zrobiła się pani czerwona, czerwona, czerwona!

HRABINA. Więc on wyskoczył oknem?

ZUZANNA. Bez wahania, cudny dzieciak! lekki... jak pszczółka.

HRABINA. Och, ten nieszczęsny ogrodnik! Wszystko to przejęło mnie do tego stopnia... myśli nie mogłam zebrać poprostu.

ZUZANNA. Och, ja przeciwnie: poznałam dopiero, do jakiego stopnia światowe obycie pozwala wielkim paniom kłamać tak aby się nie zdradzić.

HRABINA. Mniemasz, że hrabia dał się wywieść w pole? Och, gdyby spotkał tego dzieciaka gdzie w zamku!

ZUZANNA. Wydam zlecenie, aby go dobrze ukryto...

HRABINA. Trzeba aby wyjechał. Po tem co się stało, pojmujesz że nie mam ochoty posyłać go do ogrodu na twoje miejsce.

ZUZANNA. To pewna, że i ja nie pójdę. Oto więc moje małżeństwo jeszcze raz...

HRABINA, *wstaje.* Zaczekaj... A gdyby... w miejsce kogo innego, i w twoje... gdybym ja sama...

ZUZANNA. Pani!

HRABINA. Nikt nie naraziłby się na niebezpieczeństwo... hrabia nie mógłby zaprzeczyć... Ukarać jego zazdrość i dowieść mu zdrady, to byłoby... Chodźmy: szczęśliwy obrót pierwszej sztuczki dodaje mi odwagi... Daj mu znać, że przyjdziesz. Ale, zwłaszcza, niech nikt...

ZUZANNA. Och, Figaro!

HRABINA. Nie, nie. Chciałby zaraz palec umaczać... zepsułby może. Podaj mi aksamitną maseczkę i laskę; pójdę podumać o tem na terasie. *(Zuzanna wchodzi do gotowalni).*

Scena XXV

HRABINA *sama.*

Trzeba przyznać, że projekt jest dość zuchwały! *(Odwraca się).* Ach, wstążka! miła wstążeczko! zapomniałam o tobie! *(Bierze ją z berżerki i rozwija).* Nie opuścisz mnie już... będziesz mi przypominała scenę, gdy to nieszczęsne dziecko... O, hrabio, cóżeś ty uczynił? a ja sama! co czynię w tej chwili?

Scena XXVI

HRABINA, ZUZANNA.

(Hrabina chowa ukradkiem wstążkę za gors).

ZUZANNA. Oto laseczka i maska.

HRABINA. Pamiętaj, zabroniłam ci wtajemniczyć bodaj słówkiem Figara.

ZUZANNA, *z radością.* Pani projekt jest czarujący. Zastanowiłam się. Wszystko załatwia, wszystkiemu kładzie koniec, wszystko ogarnia; cobądźby się zdarzyło, małżeństwo moje obecnie jest pewne. *(Całuje rękę hrabiny. Wychodzą).*

(W czasie antraktu, lokaje urządzają salę audjencjonalną; wnoszą dwie ławy dla adwokatów, które ustawiają po bokch sceny, tak aby przejście z tyłu było wolne. Na środku, w głębi, wznoszą estradę o dwóch stopniach, na której stawiają fotel hrabiego. Stolik i taburet pisarza ku przodowi z boku, siedzenia dla Gąski i innych sędziów po dwóch stronach estrady).

AKT III

Scena przedstawia komnatę w zamku, zwaną „salą tronową“, a która służy za salę audjencjonalną. Z jednej strony na ścianie godła królewskie, pod niemi portret króla.

Scena I

HRABIA, PEDRILLO, *w rajtroku, w butach z ostrogami, ma w ręku zapieczętowany pakiet.*

HRABIA, *szybko.* Zrozumiałeś dobrze?
PEDRILLO. Tak, Ekscelencjo *(wychodzi).*

Scena II

HRABIA, *sam, krzyczy.* Pedrillo!

Scena III

HRABIA, PEDRILLO *wraca.*

PEDRILLO. Wasza Dostojność?
HRABIA. Nikt cię nie widział?
PEDRILLO. Ani żywy duch.
HRABIA. Weź araba.
PEDRILLO. Osiodłany u furty.
HRABIA. Ostro, jednym tchem, aż do Sewilli.

PEDRILLO. Trzy mile tylko, ale opętane.

HRABIA. Skoro staniesz na miejscu, dowiedz się, czy paź przyjechał.

PEDRILLO. Do gospody?

HRABIA. Tak; a zwłaszcza od jak dawna.

PEDRILLO. Rozumiem.

HRABIA. Oddaj mu dekret i wracaj szybko.

PEDRILLO. A gdyby go nie było?

HRABIA. Wracaj jeszcze szybciej i zdaj mi sprawę. Ruszaj.

Scena IV

HRABIA, *sam, chodzi zamyślony.*

Głupstwo strzeliłem oddalając Bazylja!... gniew, to rzecz djabła warta. Ten bilecik, ostrzegający o czyichś zamiarach na hrabinę; ta pokojówka zamykająca się w alkierzu, właśnie gdy ja przybywam; żona zdjęta prawdziwym lub udanym lękiem; człowiek jakiś, który skacze oknem... drugi, który wyznaje... lub wpiera we mnie, że to on... Nitka wymyka mi się... jest w tem coś niejasnego... Inna rzecz, poddanka: cóż to ma za znaczenie dla ludzi tego stanu! Ale hrabina! gdyby jaki zuchwalec śmiał... co ja mam za myśli... W istocie, kiedy głowa płonie, najrozsądniejszy człowiek zaczyna bredzić jak we śnie! Bawiła się: te zduszone krzyki, ta źle skrywana radość! — Nie, hrabina szanuje się: mój honor... kiż djabeł go tam pomieścił! Z drugiej strony, jak stoimy? Czy ta szelmeczka Zuzia zdradziła mój sekret?... Ba! nie jest jeszcze jej sekretem, więc... Co mnie prze do tego kaprysu? dwadzieścia razy chciałem poniechać wszystkiego... Szczególne działanie niepewności! gdybym jej pragnął bez walki, pragnąłbym tysiąc razy mniej. Ten Figaro marudzi! trzeba go zręcznie wybadać *(Figaro ukazuje się w głębi i zatrzymuje się)* i starać się, w rozmowie, wymacać ostrożnie, czy coś wie o mej miłości do Zuzi.

Scena V

HRABIA, FIGARO.

FGIGARO, *na stronie.* Tuśmy, panie hrabio!

HRABIA. ...Czy wie od niej bodaj słówko...

FIGARO, *na stronie.* Domyślałem się tego.

HRABIA. ...Ożenię go ze starym gratem.

FIGARO, *na stronie.* Przedmiot afektów imć Bazylja?

HRABIA. ...A teraz, pomyślmy, co zrobić z tej dziewczyny...

FIGARO, *na stronie.* Och, moją żonę, jeśli łaska.

HRABIA *odwraca się.* Hę? co? kto tu?

FIGARO *zbliża się.* Ja, na rozkazy Waszej Dostojności.

HRABIA. A cóż znaczyły te słowa?

FIGARO. Ja nic nie mówiłem.

HRABIA *powtarza.* „Moją żonę, jeśli łaska".

FIGARO. To... to ostatnie słowa: mówiłem komuś: „Idź uwiadom moją żonę, jeśli łaska".

HRABIA *przechadza się.* Jego żonę!... Radbym wiedzieć, co za sprawy mogą zatrzymywać imć Figara, gdy ja go każę wołać?

FIGARO, *udając że poprawia ubranie.* Powalałem się, upadłszy na inspekty; zmieniałem ubranie.

HRABIA. Trzebaż na to godzinę?

FIGARO. Zawszeć trzeba czasu.

HRABIA. Lokaje ubierają się w tym domu dłużej niż panowie!

FIGARO. Bo nie mają służących, którzyby im pomagali.

HRABIA. ...Nie bardzo zrozumiałem, co ci się kazało dziś rano narażać na bezcelowe niebezpieczeństwo, rzucając się...

FIGARO. Niebezpieczeństwo! rzekłby kto, iż otchłań pochłonęła mnie żywcem...

HRABIA. Próbuj, próbuj wywieść mnie w pole, udając że nie rozumiesz, wykrętny sługusie! Rozumiesz dobrze, że nie o niebezpieczeństwo mi chodzi, ale o pobudki.

FIGARO. Wskutek fałszywego donosu, wpada pan wściekły,

druzgocząc wszystko jak potok Moreński; szuka pan mężczyzny, trzeba ci go natychmiast, inaczej wywalisz drzwi, skruszysz zamki! Znajduję się tam przypadkiem; kto wie, czy, w pierwszem uniesieniu...

HRABIA, *przerywając*. Mogłeś uciec schodami.

FIGARO. A pan przyłapać mnie na kurytarzu.

HRABIA, *w złości*. Na kurytarzu! *(Na stronie)*. Unoszę się i chybiam tego o czem pragnę wiedzieć.

FIGARO, *na stronie*. Wyczekajmyż go tam gdzie zmierza i trzymajmy się ostro.

HRABIA, *łagodząc ton*. Nie to zresztą chciałem powiedzieć, dajmy pokój. Miałem... tak, miałem ochotę zabrać cię do Londynu za kurjera... ale, wszystko zważywszy...

FIGARO. Wasza Dostojność zmienił zdanie?

HRABIA. Po pierwsze, nie umiesz po angielsku.

FIGARO. Umiem *God-dam*.

HRABIA. Nie rozumiem.

FIGARO. Powiadam, że umiem *God-dam*.

HRABIA. No więc?

FIGARO. Do kaduka! angielszczyzna, to piękny język: niewiele trzeba umieć, aby zajść daleko. Z jednem *God-dam*, można przejechać całą Anglję, nie zaznawszy najmniejszego braku. Chce pan wsunąć tłustego kurczaka? wejdź tylko do garkuchni i zrób ten oto gest. *(Udaje że kręci rożnem)*. *God-dam!* przynoszą ci nóżki cielęce. To cudowne! Ma pan ochotę napić się przedniego burgunda? wystarczy tylko tyle *(Odkorkowuje butelkę)* *God-dam!* przynoszą ci kufel piwa, piękny cynowy kufel, z pianą po brzegi. Rozkosz! Zdarzy się panu spotkać miłą osóbkę, z tych co to pomykają drobnym kroczkiem, ze spuszczonemi oczkami, z łokietkami przy sobie, kręcąc odrobinę kuperkiem? przyłóż pan wdzięcznie palce do ust. Ha! *God-dam!* wytnie ci policzek, niczem tragarz portowy: dowód, że rozumie. Anglicy, trzeba przyznać, dodają czasem w rozmowie, tu, owdzie, parę słów; ale łatwo poznać, że *God-dam* jest

podstawą języka; jeśli więc Wasza Dostojność nie ma innych przyczyn, aby mnie trzymać w Hiszpanji...

HRABIA, *na stronie.* Chce jechać do Londynu: nic mu nie powiedziała.

FIGARO, *na stronie.* Myśli, że nic nie wiem; pociągnijmy go za język.

HRABIA. Jaki powód miała hrabina, aby mi płatać podobną sztuczkę?

FIGARO. Na honor, Wasza Dostojność, pan hrabia wie lepiej odemnie.

HRABIA. Uprzedzam jej życzenia, obsypuję ją podarkami...

FIGARO. Obdarza ją pan, ale ją pan zdradza. Cóż po koronkach temu, kto niema kubraka?

HRABIA. ...Dawniej mówiłeś mi wszystko.

FIGARO. A teraz, nic panu nie ukrywam.

HRABIA. Ile ci dała hrabina za twój współudział?

FIGARO. Ile mi pan dał, aby ją wydobyć z rąk doktora? Ej, panie hrabio, nie poniewierajmy człowiekiem, który nam dobrze służy; łatwo go zmienić w lichego lokaja.

HRABIA. Czemu wszystko, czego się tkniesz, musi trącić krętactwem?

FIGARO. Bo wszędzie można się go dopatrzeć, skoro się gwałtem szuka.

HRABIA. Reputację masz fatalną!

FIGARO. A jeślim więcej wart od mej reputacji? Czy dużo jest wielkich panów, którzyby mogli to samo powiedzieć?

HRABIA. Sto razy widziałem cię, jak szedłeś ku fortunie, a nigdy prostą drogą.

FIGARO. Cóż pan chce? straszna tam ciżba; każdy chce biec; cisną się, popychają, trącają łokciami, przewracają; dojdzie do mety kto może; reszta ginie stratowana. Toteż, mam tego dosyć; co do mnie, wyrzekam się.

HRABIA. Fortuny? *(na stronie)*. To coś nowego.

FIGARO, *na stronie.* Na mnie teraz kolej. *(Głośno).* Wasza Dostojność obdarzył mnie posadą burgrabiego; to bardzo piękne stanowisko. Nie będę tedy, poprawdzie, radośnie witanym kurjerem zajmujących nowin, ale, w zamian, szczęśliwy z młodą żoną w głębi Andaluzji...

HRABIA. Któżby ci bronił wziąć ją do Londynu?

FIGARO. Trzebaby ją opuszczać tak często, że niebawem miałbym małżeństwa wyżej uszu.

HRABIA. Przy twoim talencie i zaletach, mógłbyś zczasem dobić się awansu.

FIGARO. Talent drogą do awansu? Wasza Dostojność żartuje. Mierność i płaszczenie się: oto środki do wszystkiego.

HRABIA. Trzebaby tylko, pod mem kierownictwem, obeznać się nieco z polityką.

FIGARO. Znam ją.

HRABINA. Tak jak język angielski: główne zasady!

FIGARO. Tak, gdyby było tutaj czem się chwalić. Ale udawać że się nie wie tego co się wie; że się wie czego się nie wie; że się rozumie to czego się nie pojmuje; że się nie słucha tego co się słyszy: że się może zwłaszcza więcej niż się może w istocie... Często, jako największy sekret, ukrywać że niema żadnego; zamykać się aby temperować pióra; udawać głębię, kiedy się jest tylko, jak powiadają, czczym i próżnym; bezustanku grać, od siedmiu boleści, poważną figurę, rozpuszczać szpiegów i utrzymywać zdrajców, naruszać pieczęcie; przejmować listy i starać się uszlachetniać lichotę środków ważnością przedmiotu: oto cała polityka, albo niech zginę!

HRABIA. Ech, to raczej definicja intrygi!

FIGARO. Polityka, intryga, mniejsza; ponieważ, jak sądzę, są one nieco spokrewnione z sobą, niech się para niemi komu wola! *Ja wolę mą miłą, hej, wolę mą miłą,* jak powiada piosenka poczciwego króla[1]).

---

[1]) Z *Mizantropa,* Moliera.

HRABIA, *na stronie.* Chce zostać. Rozumiem... Zuzanna zdradziła mnie.

FIGARO, *na stronie.* Połknął haczyk: odpłaciłem mu jego własną monetą.

HRABIA. Zatem, masz nadzieję obronić się Marcelinie?

FIGARO. Czy mi to pan hrabia weźmie za zbrodnię, że odtrącam starą pannicę, skoro Wasza Dostojność raczy nam zabierać z przed nosa wszystkie młódki?

HRABIA, *drwiąco.* W trybunale, sędzia zapomina o sobie i ma na oczach jedynie prawo.

FIGARO. Pobłażliwe dla wielkich, twarde dla małych.

HRABIA. Sądzisz więc, że ja żartuję?

FIGARO. Och, któż to wie, Wasza Dostojność? *Tempo è galant' uomo,* powiada Włoch; czas zawsze mówi prawdę: on to pouczy mnie, kto mi życzy źle, a kto dobrze.

HRABIA, *na stronie.* Widzę, że wie wszystko: ożenię go ze starą.

FIGARO, *na stronie.* Próbował mnie przechytrzyć: i czegóż się dowiedział?

Scena VI

HRABIA, LOKAJ, FIGARO.

LOKAJ, *oznajmiając.* Don Guzman Gąska.

HRABIA. Gąska?

FIGARO. No tak, oczywiście. Rzeczywisty sędzia, naczelnik trybunału, pański mąż zaufania.

HRABIA. Niech zaczeka. *(Lokaj wychodzi).*

Scena VII

HRABIA, FIGARO.

FIGARO *patrzy jakiś czas w milczeniu na hrabiego pogrążonego w zadumie.* ...Czy tylko tyle życzył sobie pan hrabia?

HRABIA, *opamiętując się.* Ja?... mówiłem, aby przyrządzić salę na audjencję.

FIGARO. No więc? I czegóż brakuje? fotel dla Waszej Dostojności, wygodne krzesła dla uczonych w prawie, taburet dla woźnego, ławki dla adwokatów, posadzka dla wytwornej publiki, a hołota z tyłu. Idę odprawić froterów. *(Wychodzi).*

Scena VIII

HRABIA, *sam.*

Ladaco zaczął dobierać się do mnie! Cóż za sposób dysputowania! Wyzyskuje każde słowo, przypiera do muru, ciągnie za język... O, hultajko! o, hultaju! porozumieliście się, aby sobie zadrwić ze mnie!... bądźcie przyjaciółmi, kochankami, bądźcie czem wam się podoba, zgoda; ale, do kroćset, małżeństwo...

Scena IX

ZUZANNA, HRABIA.

ZUZANNA, *zdyszana.* Panie hrabio... przepraszam Waszą Dostojność.

HRABIA, *cierpko.* Cóż takiego, moja panno?

ZUZANNA. Pan hrabia się gniewa?

HRABIA. Życzyłaś sobie czegoś, zapewne?

ZUZANNA. ...Pani hrabina ma wapory. Biegłam prosić pana hrabiego, aby nam pożyczył flakonika z eterem. Odniosłabym natychmiast.

HRABIA, *podając.* Nie, nie, zatrzymaj dla siebie. Niebawem może ci się przydać.

ZUZANNA. Alboż kobiety takie jak ja miewają wapory? To choroba jaśnie państwa; nabywa się jej w buduarach.

HRABIA. Tak czuła narzeczona, skoro jej przyjdzie stracić swego przyszłego...

ZUZANNA. Skoro odszkodujemy Marcelinę posagiem, który pan hrabia przyrzekł...

HRABIA. Przyrzekłem?

ZUZANNA, *spuszczając oczy*. Wasza Dostojność, tak przynajmniej zrozumiałam.

HRABIA. Tak, o ilebyś się zgodziła zrozumieć znowuż co innego.

ZUZANNA, *ze spuszczonemi oczami*. Czyż nie jest mym obowiązkiem być powolną Waszej Dostojności?

HRABIA. Czemuż więc, niedobra dziewczyno, nie powiedziałaś tego wcześniej?

ZUZANNA. Czyż jest kiedy za późno na powiedzenie prawdy?

HRABIA. Przyszłabyś o zmierzchu?

ZUZANNA. Czyż nie przechadzam się co wieczór?

HRABIA. Dziś rano obeszłaś się ze mną tak surowo!

ZUZANNA. Rano? a pazik za fotelem?

HRABIA. Ma słuszność, zapomniałem. Ale, czemu ta uparta odmowa, kiedy Bazyljo, w mojem imieniu...

ZUZANNA. Nacóż taki Bazyljo?...

HRABIA. Ciągle ma słuszność! Mimo to, imć Figaro, któremu, obawiam się bardzo, wypaplałaś wszystko...

ZUZANNA. Hm! zapewne, mówię mu wszystko, z wyjątkiem tego co trzeba zmilczeć.

HRABIA, *śmiejąc się*. Och! filutko! Więc przyrzekasz? Gdybyś chybiła słowu... porozumiejmy się, moje serce: nic ze schadzki? nic z posagu, nic z małżeństwa.

ZUZANNA, *z głębokim dygiem*. Ale też, jeśli nic z małżeństwa, nic z przywileju pańskiego, Wasza Dostojność.

HRABIA. Skąd ona bierze tyle sprytu, ta dziewczyna? na honor, szaleć będę za nią! Ale twoja pani czeka na flakon...

ZUZANNA, *śmiejąc się i oddając flakon*. Czyż mogłabym mówić z panem bez pozoru?

HRABIA *chce ją uściskać*. Rozkoszne stworzenie!

ZUZANNA *wymyka się.* Ktoś idzie.

HRABIA, *na stronie.* Mam ją *(wychodzi spiesznie).*

ZUZANNA. Chodźmy zdać sprawę pani.

Scena X

ZUZANNA, FIGARO.

FIGARO. Zuziu! Zuziu! gdzie ty tak pędzisz, prosto z rozmowy z hrabią?

ZUZANNA. Prawuj się teraz, jeśli chcesz; w tej chwili wygrałeś proces. *(Ucieka).*

FIGARO *spieszy za nią.* Ależ, powiedz...

Scena XI

HRABIA *wraca sam.*

„W tej chwili wygrałeś proces!“ — Byłbym wpadł w ładną pułapkę! O, moja miła parko! już ja was nauczę!... Piękny wyroczek, legalnie uzasadniony... Ale, gdyby miał spłacić tę starą... Ba, czem?... Gdyby spłacił... Ech! czyż nie mam dumnego Antonia, którego szlachetna pycha nie chce Figara za siostrzeńca, gardząc w jego osobie nieznanym przybłędą? Gdyby mu podbić bębenka... Czemu nie? na szerokim łanie intrygi trzeba hodować wszystko, nawet próżność głuptasa. *(Woła)* Anto... *(Widząc wchodzącą Marcelinę, etc., hrabia wychodzi).*

Scena XII

BARTOLO, MARCELINA, GĄSKA.

MARCELINA, *do Gąski.* Panie sędzio, niech pan wysłucha mej sprawy.

GĄSKA, *w todze sędziowskiej, zająkuje się nieco.* Do-obrze więc! werba-alizujmy.

BARTOLO. Chodzi o przyrzeczenie małżeństwa.

MARCELINA. Połączone z pożyczką pieniężną.

GĄSKA. Ro-ozumiem, *et caetera*, jak na-astępuje.

MARCELINA. Nie, panie sędzio, bez *et caetera*.

GĄSKA. Ro-ozumiem; masz pani sumę?

MARCELINA. Nie, panie sędzio, to ja pożyczyłam.

GĄSKA. Ro-ozumiem, ro-ozumiem; żądasz pani zwrotu?

MARCELINA. Nie, panie sędzio; żądam, aby mnie zaślubił.

GĄSKA. Ro-ozumiem do-oskonale. A on, czy chce za-aślubić?

MARCELINA. Nie, panie sędzio; o to właśnie proces.

GĄSKA. Czy pa-ani mniemasz, że ja nie ro-ozumiem pro-ocesu?

MARCELINA. Nie, panie sędzio *(do Bartola)*. W kogóżeśmy wpadli! *(do Gąski)*. Jakto! to pan będzie nas sądził?

GĄSKA. Czyż w innym celu nabyłem swoją po-osadę?

MARCELINA, *wzdychając*. To wielkie nadużycie taki handel!

GĄSKA. Tak, łe-epiejby było dawać je nam darmo. Przeciw ko-omu wnosisz pani skargę?

Scena XIII

BARTOLO, MARCELINA, GĄSKA, FIGARO *wraca zacierając ręce.*

MARCELINA. Przeciw temu oto niegodziwcowi, panie sędzio.

FIGARO, *bardzo wesoło, do Marceliny*. Może przeszkadzam? Hrabia przybędzie za momencik, panie radco.

GĄSKA. Wi-idziałem już gdzieś tego chło-opca.

FIGARO. U szanownej małżonki pańskiej, w Sewilli, do jej usług, panie radco.

GĄSKA. Kie-edyż to?

FIGARO. Nieco mniej niż rok przed urodzeniem szanownego młodszego pańskiego syna. Śliczny chłopak, dumny zeń jestem.

GĄSKA. Tak, najła-adniejszy ze wszystkich. Powiadają, że ty tu coś bro-oisz?

FIGARO. Pan radca nadto łaskaw. Ledwie jest o czem mówić.

GĄSKA. O-obietnica małżeństwa! Ha! ha! biedny du-udek!

FIGARO. Panie radco...

GĄSKA. Mówiłeś już z moim se-ekretarzem, poczciwym chłopcem?

FIGARO. Imć Łapowy, pisarz trybunału?

GĄSKA. Tak; to jest, wła-aściwie, on jada z dwóch żło-obów.

FIGARO. Jada! powiedzmy: żre! Och! tak, byłem u niego, wedle ekstraktu i dubeltowego ekstraktu, jak zresztą w zwyczaju.

GĄSKA. Należy dopełnić fo-ormy.

FIGARO. Oczywiście, panie radco; o ile treść procesu należy do stron, wiadomo że forma jest przywilejem trybunału.

GĄSKA. Nie ta-aki głupi jak mi się zrazu wy-ydawało. Dobrze więc, przy-yjacielu, skoro z ciebie taki łepak, bę-ędziemy mieli pieczę o twej sprawie.

FIGARO. Panie radco, zdaję się na pańską sprawiedliwość, mimo że jesteś sędzią.

GĄSKA. Hę?... Tak, je-estem sędzią. Ale, jeśliś winien, a nie pła-acisz?...

FIGARO. W takim razie, pan sędzia widzi, że to tak jakbym nie był winien.

GĄSKA. Bez wą-ątpienia, Hę? hę? co on po-owiada?

Scena XIV

BARTOLO, MARCELINA, HRABIA, GĄSKA, FIGARO, WOŹNY.

WOŹNY, *idzie przed hrabią i krzyczy.* Jego Dostojność, panowie.

HRABIA. Co, pan w todze, panie Gąska! toć to domowa sprawa: zwykły surdut byłby aż nadto dobry.

GĄSKA. To pan jest aż nadto dobry, panie hra-abio. Ale ja się nie ruszam bez togi; przedewszystkiem, fo-orma, uważa Wasza Do-

stojność, fo-orma! Niejeden, który śmieje się z sędziego w kubraku, zadrży na sam widok prokuratora w todze. Fo-orma, o, fo-orma!

HRABIA, *do woźnego.* Proszę wpuścić trybunał.

WOŹNY *otwiera, krzycząc.* Wysoki Trybunał!

Scena XV

Ciż sami, ANTONIO, SŁUŻBA ZAMKOWA, WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI *w weselnych strojach,* HRABIA *na wielkim fotelu,* GĄSKA *na krześle obok.* PISARZ, *na zydlu za stołem;* SĘDZIOWIE, ADWOKACI, *na ławkach,* MARCELINA *obok* BARTOLA; FIGARO *na drugiej ławce;* CHŁOPI I SŁUŻBA *stoją z tyłu.*

GĄSKA, *do pisarza.* Mości Łapowy, proszę powołać strony.

ŁAPOWY, *czyta.* „Szlachetnie, bardzo szlachetnie, nieskończenie szlachetnie urodzony Don Pedro George, hidalgo, baron de los Altos, y Montes Fieros y ostros montes; przeciw imć Alonzowi Kalderonowi, młodemu autorowi dramatycznemu. Chodzi o komedję nieżywonarodzoną, której każdy się wypiera i zwala ją na drugiego.

HRABIA. Obaj mają słuszność. Oddala się sprawę. Jeśli spłodzą we dwóch nowe dzieło, które zyska nieco uznania, nakazuje się, że szlachcic da mu swoje nazwisko, poeta zaś talent.

ŁAPOWY *czyta inny papier.* „Andrzej Petruccio, rolnik; przeciw poborcy podatków". Chodzi o samowolne wymuszenie.

HRABIA. Sprawa nie należy do naszej kompetencji. Lepiej przysłużę się moim poddanym, popierając ich u króla. Idź dalej.

ŁAPOWY *bierze trzeci papier. Bartolo i Figaro wstają.* „Barbara - Agar - Raab - Magdalena - Michalina - Marcelina Chwacianka, panna, pełnoletnia *(Marcelina wstaje i kłania się);* przeciw imć Figaro..." Imię chrzestne *in blanco.*

FIGARO. Anonim.

GĄSKA. A-anonim! Có-óż to za pa-atron?

FIGARO. Mój własny.

ŁAPOWY *pisze*. Przeciw Anonimowi Figaro. Stan?

FIGARO. Szlachcic.

HRABIA. Szlachcic? *(Pisarz pisze)*.

FIGARO. Gdyby niebo zechciało, byłbym synem księcia.

HRABIA, *do pisarza*. Dalej.

WOŹNY, *krzyczy*. Cisza! panowie.

ŁAPOWY *czyta*. „...W sprawie pozwania pomienionego Figara o małżeństwo przez rzeczoną Chwaciankę. Przyczem doktór Bartolo będzie stawał za skarżącą, rzeczony zaś Figaro za samego siebie, jeśli trybunał zezwoli na to, wbrew postanowieniom obyczaju i jurysprudencji".

FIGARO. Obyczaj, mości Łapowy, jest często nadużyciem. Klient, bodaj trochę wykształcony, zawsze zna lepiej własną sprawę, niż pewni adwokaci, którzy, pocąc się na zimno, drąc się ile tchu, i znając wszystko, z wyjątkiem faktu o który chodzi, równie mało troszczą się o to że zrujnują klienta, jak o to że znudzą audytorjum i uśpią trybunał: bardziej później nadęci, niż gdyby ułożyli *Oratio pro Murena!* Co do mnie, opowiem rzecz w niewielu słowach. Panowie...

ŁAPOWY. Straciłeś ich aż nadto, nie jesteś bowiem stroną skarżącą i przysługuje ci jedynie obrona. Zbliż się, doktorze, i odczytaj przyrzeczenie.

FIGARO. Ba! przyrzeczenie.

BARTOLO, *kładąc okulary*. Jest zupełnie jasne.

GĄSKA. Zo-obaczmyż.

ŁAPOWY. Cisza, panowie!

WOŹNY, *krzyczy*. Cicza!

BARTOLO *czyta*. „Ja, popisany, uznaję, iż otrzymałem od Jejmość Marceliny Chwacianki, w zamku Aguas-Frescas, dwa tysiące bitych talarów, którą to sumę przyrzekam że oddam jej na żądanie w tymże zamku, lubo że ją zaślubię, w odwdzięczeniu tej przysługi". Konkluzja moja domaga się zapłacenia obligu i dopełnienia obietnicy, *plus* koszta prawne. *(Przechodząc w ton obrońcy)*. Pano-

wie!... Nigdy bardziej interesująca sprawa nie zaprzątała uwagi trybunału; i, od czasu Aleksandra Wielkiego, który przyrzekł małżeństwo pięknej Talestris...

HRABIA, *przerywając*. Nim pójdziemy dalej, panie adwokacie: czy oskarżony uznaje ważność obligu?

GĄSKA, *do Figara*. Co pan masz do powiedzenia na to co ci o-odczytano?

FIGARO. Tylko to, panowie, iż musiała zajść zła wola, omyłka lub nieuwaga w sposobie odczytania aktu; albowiem nie jest tam napisane „że tę sumę oddam, lubo że zaślubię", ale „że tę sumę oddam, *lub* że zaślubię; a to wielka różnica.

HRABIA. Czy w akcie jest *lub*, czy *lubo?*

BARTOLO. *Lubo*.

FIGARO. *Lub*.

GĄSKA. Mości Łapowy, przeczytaj sa-am.

ŁAPOWY, *biorąc papier*. To najpewniejsze; często strony przekręcają w czytaniu. *(Czyta mamrocząc)*. A-a a-a. Chwacianka-a-a-a. Aha! którą to sumę oddam jej w tymże zamku... *lub... lubo... lub... lubo...* Tak niewyraźnie napisane... żyda ktoś usadził...

GĄSKA. Ży-yda? A-aha!

BARTOLO, *ciągnąc obronę*. Ja twierdzę, iż to jest łącznik kopulatywny *lubo*, który wiąże korelatywne członki zdania: spłacę pannę tę a tę, *lubo* się z nią ożenię.

FIGARO. Ja zaś twierdzę, że to jest łącznik alternatywny *lub*, który rozdziela pomienione członki: spłacę pannę, *lub* się z nią ożenię. Trafił frant na franta, pedant na pedanta. Niech mi wyjeżdża z łaciną, ja go zazionę greką; ani zipnie.

HRABIA. Jak rozsądzić taką sprzeczność?

BARTOLO. Zgadzamy się. Taki lichy wykręt nie uratuje winnego. Rozpatrzmy skrypt w tym sensie *(czyta)*. „...że oddam jej na żądanie w tymże zamku, lub że ją zaślubię". To tak, jakby kto powiedział, panowie: „Weźmiesz środek przeczyszczający, *lub* (niby, inaczej rzekłszy) dwa grany rabarby"; co wychodzi na jedno

z tem: „Weźmiesz środek przeczyszczający, *czyli* dwa grany rabarby“. Albo: „Zastosujemy u chorego *derivativum, lub* krwiopuszczenie“; to tak, jakby powiedział: „zastosujemy *derivativum, czyli* krwiopuszczenie“. Zatem: „spłacę ją w tymże zamku, *lub* się z nią ożenię“, to znaczy: „spłacę ją w tymże zamku, *czyli* się z nią ożenię...“

FIGARO. Wcale nie: zdanie opiewa w tym sensie: „Chorego zabija choroba, *lub* lekarz“; lub lekarz, to niewątpliwe. Inny przykład: „Nie będziesz pisał nic, coby się podobało publiczności, *lub* głupcy będą cię szkalować“; lub głupcy; sens jasny; w tym bowiem wypadku, *głupcy*, albo łajdaki, stanowią podmiot rządzący. Czy mistrz Bartolo sądzi, że ja zapomniałem gramatyki? Zatem, oddam jej w tymże zamku, *przecinek*, lub się z nią ożenię...

BARTOLO, *szybko*. Bez przecinka.

FIGARO, *szybko*. Z przecinkiem. *Przecinek*, panowie, *lub się z nią ożenię*.

BARTOLO, *patrząc w papier, szybko*. Niema przecinka, panowie.

FIGARO, *szybko*. Był przecinek, panowie. Zresztą, człowiek który zaślubia, czyż ma obowiązek oddawać?

BARTOLO, *szybko*. Tak; żądamy małżeństwa, z separacją od wspólności majątków.

FIGARO, *szybko*. A ja od wspólności łoża, skoro małżeństwo nie jest umorzeniem.

(Sędziowie wstają i naradzają się pocichu).

BARTOLO. Pocieszne wykręty!

ŁAPOWY. Cisza, panowie!

WOŹNY, *wrzeszczy*. Ci-isza!

BARTOLO. Obwieś nazywa to płaceniem długów.

FIGARO. Czy pan swojej sprawy bronisz, panie adwokacie?

BARTOLO. Bronię tej panienki.

FIGARO. Bredź pan dalej, ale przestań znieważać. Kiedy, lękając się zapalczywości stron, trybunały zgodziły się na to, aby osoby

trzecie stawały w ich imieniu, nie uczyniły tego poto, aby ci spokojni obrońcy mieli się stać bezkarnymi napastnikami. Czynić tak, znaczy poniżać najszlachetniejszą instytucję.

(Sędziowie wciąż naradzają się pocichu).

ANTONIO, *do Marceliny, pokazując sędziów.* Co oni tyle mamroczą?

MARCELINA. Przekupiono głównego sędziego; on przekupuje drugich, i proces przegrany.

BARTOLO, *półgłosem, ponuro.* Obawiam się.

FIGARO, *wesoło.* Brawo, Marcelinko!

ŁAPOWY *wstaje, do Marceliny.* Ha! to za wiele! oskarżam tę panią: i, dla honoru trybunału, żądam, aby, zanim się wyda wyrok w tamtej sprawie, osądzono wprzód ten proces.

HRABIA *siada.* Nie, mości pisarzu, nie będę wyrokował w sprawie mej osobistej zniewagi; hiszpański sędzia nie będzie się musiał wstydzić wybryku godnego zaledwie azjatyckich trybunałów: dosyć już innych nadużyć. Postaram się uleczyć jedno z nich, motywując mój wyrok: każdy sędzia, który uchyla się od tego, jest wrogiem praw. Czego może żądać skarżycielka? małżeństwa, w razie niezapłacenia; obie rzeczy razem kolidowałyby z sobą.

ŁAPOWY. Cisza, panowie.

WOŹNY, *wrzeszcząc.* Ci-isza!

HRABIA. Co mówi obżałowany? że chce zachować wolność; ma prawo.

FIGARO, *z radością.* Wygrałem!

HRABIA. Ale, skoro brzmienie tekstu mówi: „Którą sumę zapłacę na pierwsze żądanie, lub zaślubię etc.“, trybunał skazuje obżałowanego na zapłacenie powódce dwóch tysięcy bitych talarów lub zaślubienie jej w ciągu doby. *(Wstaje).*

FIGARO, *zdumiony.* Przegrałem.

ANTONIO, *z radością.* Wspaniały wyrok!

FIGARO. W czem wspaniały?

ANTONIO. W tem, że nie jesteś już moim siostrzeńcem. Serdeczne dzięki, Wasza Dostojność.

WOŹNY, *krzycząc*. Na ustęp! na ustęp! *(Lud wychodzi)*.

ANTONIO. Opowiem wszystko mojej siostrzenicy. *(Wychodzi)*.

Scena XVI

HRABIA, *przechadza się tam i z powrotem*, MARCELINA, BARTOLO, FIGARO, GĄSKA.

MARCELINA *siada*. Uff! oddycham!

FIGARO. A ja się dławię.

HRABIA, *na stronie*. Zemściłem się bodaj, to sprawia ulgę.

FIGARO, *na stronie*. A ten Bazyljo, który miał się sprzeciwiać małżeństwu Marceliny, widzicie go jak wraca! *(Do hrabiego, który odchodzi)*. Wasza Dostojność nas opuszcza?

HRABIA. Sprawa osądzona.

FIGARO, *do Gąski*. To ten rajca, ten brzuchacz przeklęty...

GĄSKA. Ja brzu-uchacz?...

FIGARO. Oczywiście. A ja się nie ożenię; szlachcic ma jedno słowo. *(Hrabia zatrzymuje się)*.

BARTOLO. Ożenisz się.

FIGARO. Bez zezwolenia mych szlachetnych rodziców?

BARTOLO. Wymień ich, pokaż.

FIGARO. Dajcie mi nieco czasu; tuj, tuj, a dopadnę ich: mija piętnaście lat, jak ich szukam.

BARTOLO. Samochwał! pewnie jest jakimś znajdą!

FIGARO. Prędzej zgubą, doktorze; a raczej skradzionem dzieckiem.

HRABIA, *wraca*. Zgubionem, porwanem, gdzież dowody? Krzyczałby, że mu się dzieje niesprawiedliwość.

FIGARO. Wasza Dostojność, gdyby koronkowe pieluszki, haftowane materje i klejnoty, jakie znaleźli przy mnie opryszki, nie

wskazywały na me wysokie urodzenie, zapobiegliwość z jaką wyciśnięto mi znaki rozpoznawcze, świadczyłaby dowodnie, jak szacownym byłem synem... *(Chce obnażyć prawe ramię).*

MARCELINA, *wstając żywo.* Łopatka na prawem ramieniu?

FIGARO. Skąd pani wiesz?

MARCELINA. Bogi! to on!

FIGARO. Tak, to ja.

BARTOLO, *do Marceliny.* Kto, on?

MARCELINA, *żywo.* Emanuel.

BARTOLO, *do Figara.* Porwali cię cyganie?

FIGARO, *w podnieceniu.* Tuż koło zamku. Zacny doktorze, jeżeli mnie wrócisz mej szlachetnej rodzinie, naznacz jaką chcesz cenę za tę usługę; góry złota nie przerażą mych znamienitych krewnych.

BARTOLO, *ukazując Marcelinę.* Oto twoja matka.

FIGARO. ...Mleczna?

BARTOLO. Rodzona!

FIGARO. Wytłómaczcie się.

MARCELINA, *ukazując Bartola.* Oto ojciec.

FIGARO, *zrozpaczony.* Au, au, au, o ja nieszczęsny!

MARCELINA. Czy natura nie mówiła ci tego tysiąc razy?

FIGARO. Nigdy.

HRABIA, *na stronie.* Jego matka!

GĄSKA. To ja-asne: nie o-ożeni się z nią.

BARTOLO. Ani ja.

MARCELINA. Ani ty! A twój syn? Przysiągłeś mi...

BRTOLO. Byłem szalony. Gdyby podobne wspomnienia obowiązywały, trzebaby się żenić z całym światem.

GĄSKA. A gdyby wglą-ądać tak ściśle, nikt nie że-eniłby się z nikim.

BARTOLO. Błędy tak pospolite! opłakana młodość!

MARCELINA, *rozgrzewając się stopniowo.* Tak, opłakana, więcej niżby kto mniemał! Nie myślę zapierać się swych błędów; ten

dzień dostarczył aż nazbyt jawnego ich dowodu. Ale jak ciężko pokutować za nie po trzydziestu latach przykładnego życia! Urodziłam się, aby być cnotliwą, byłam nią odkąd mi dane było osiągnąć pełnię rozumu. Ale, w wieku złudzeń, niedoświadczenia i potrzeb, gdy uwodziciele oblegają nas, a nędza nas zjada, co może przeciwstawić biedna dziewczyna tylu zjednoczonym wrogom? Niejeden z tych, co nas surowo sądzą, sam, w swojem życiu, zgubił może dziesięć nieszczęśliwych!

FIGARO. Najwinniejsi są zawsze najmniej wspaniałomyślni.

MARCELINA, *z uniesieniem.* Ludzie więcej niż niewdzięczni, którzy kalacie wzgardą igraszki swoich namiętności, swoje ofiary, was to trzebaby karać za błędy naszej młodości: was, i waszych urzędników, tak dumnych z prawa sądzenia nas, a zarazem, przez swą zbrodniczą niedbałość, odejmujących nam wszelki uczciwy sposób egzystencji! Czy jest choć jedno rzemiosło dla nieszczęśliwych dziewcząt? Miały naturalne prawo do wszystkiego co jest strojem kobiecym; dziś współzawodniczą z niemi tysiące męskich robotników.

FIGARO. Każą haftować nawet żołnierzom!

MARCELINA, *podniecona.* Nawet w najwyższych klasach, kobiety uzyskują od was jedynie parodję szacunku. Mamione pozorną czołobitnością, tkwią w istotnej niewoli; traktowane jak małoletnie gdy chodzi o ich majątek, karane jak pełnoletnie gdy chodzi o ich błędy; ha! z każdego punktu widzenia, postępowanie wasze budzi we mnie wstręt lub litość.

FIGARO. Ma słuszność.

HRABIA, *na stronie.* Straszliwą słuszność.

GĄSKA. Mój Bo-oże, ma słuszność.

MARCELINA. Ale co nam znaczy, synu, odmowa niegodziwego człowieka? Nie patrz skąd przychodzisz, ale dokąd idziesz; to jedno ma wagę dla świata. Za kilka miesięcy, narzeczona twoja zależeć będzie tylko od siebie: przyjmie cię, ręczę: żyj między żo-

ną a tkliwą matką, które będą cię kochały na wyprzódki. Bądź pobłażliwy dla nich, szczęśliwy dla siebie, wesół, dobry i miły dla całego świata, a matka twoja nic nie będzie pragnąć więcej.

FIGARO. Złote słowa, mamusiu, jestem twojego zdania. Jacyż ludzie głupi, w istocie! Na te tysiące lat które świat się toczy, w tym oceanie istnienia, gdzie przypadkowo wyłowiłem jakieś tam liche trzydzieści lat, które nie wrócą już nigdy, miałbym się dręczyć komu je jestem winien! Pal sześć tych, którzy się tem kłopocą. Spędzić tak życie na szamotaniu się, to znaczy ciągle czuć swoje chomonto, jak te nieszczęśliwe konie, holujące galary pod wodę, które nie spoczywają nigdy, nawet kiedy stoją w miejscu, i wciąż ciągną, mimo iż przestaną iść. Zaczekamy.

HRABIA. Ta głupia awantura krzyżuje mi wszystko.

GĄSKA, *do Figara.* A szlachectwo, a zamek? Wpro-owadzałeś w błąd sprawiedliwość.

FIGARO. Ładną mi sztukę chciała spłatać ta wasza sprawiedliwość! Toć, dla przeklętych stu talarów, omal dwadzieścia razy nie utrupiłem tego jegomości, który okazuje się dziś moim ojcem! Ale, skoro niebo ocaliło mą cnotę od tych niebezpieczeństw, przyjm, ojcze, moje przeprosiny... a ty, matko, uściskaj mnie... najbardziej macierzyńsko jak zdołasz... *(Marcelina rzuca mu się na szyję).*

Scena XVII

BARTOLO, FIGARO, MARCELINA, GĄSKA, ZUZANNA, ANTONIO, HRABIA.

ZUZANNA, *wbiegając z sakiewką w dłoni.* Wasza Dostojność, proszę wstrzymać wszystko; proszę cofnąć to małżeństwo; spłacę jejmość pannę posagiem, jaki dostałem od pani.

HRABIA, *na stronie.* Do czarta z panią! Wszystko się spiknęło... *(wychodzi).*

Scena XVIII

BARTOLO, ANTONIO, ZUZANNA, FIGARO, MARCELINA, GĄSKA.

ANTONIO, *widząc, jak Figaro ściska swą matkę, mówi do Zuzanny:* Aha, spłacisz! Patrz, patrz.

ZUZANNA, *odwraca się.* Dość już widziałam: chodź, wuju.

FIGARO, *zatrzymując ją.* Nie, jeśli łaska. Cóż widziałaś?

ZUZANNA. Moją głupotę a twoją podłość.

FIGARO. Ani jedno, ani drugie.

ZUZANNA, *w gniewie.* A żeń się ile chcesz, skoro się z nią cackasz.

FIGARO, *wesoło.* Cackam się, ale się nie ożenię! (*Zuzanna chce wyjść, Figaro zatrzymuje ją).*

ZUZANNA *daje mu policzek.* Bezczelny, śmiesz mnie zatrzymywać!

FIGARO, *do publiczności.* To się nazywa miłość! Nim się rozstaniemy, błagam, przypatrz się tej drogiej istocie.

ZUZANNA. Patrzę.

FIGARO. I widzi ci się?...

ZUZANNA. Ohydna.

FIGARO. Niech żyje zazdrość, nie targuje się o słowa.

MARCELINA, *z otwartemi ramionami.* Uściskaj swą matkę, śliczna Zuziulko. Niegodziwiec, który cię dręczy, jest mym synem.

ZUZANNA *biegnie ku niej.* Pani jego matką! *(Trwają przez chwilę w objęciach).*

ANTONIO. To niby od teraz?...

FIGARO. ...Dowiedziałem się o tem.

MARCELNIA, *w podnieceniu.* Nie: serce moje, prąc mnie ku niemu, myliło się jedynie co do pobudek; to krew mówiła we mnie.

FIGARO. A we mnie, zdrowy rozsądek kierował instynktem kiedy ci się broniłem; nie czułem zresztą do ciebie żadnej nienawiści: dowodem pieniądze...

MARCELINA, *oddając mu papier.* Są twoje: odbierz skrypt: to twoje wiano.

ZUZANNA, *rzuca mu sakiewkę.* Weź i to.

MARCELINA, *rozgorączkowana.* Dość już nieszczęśliwa jako panna, miałam się stać najnędzniejszą z żon i oto jestem najszczęśliwszą z matek! Uściskajcie mnie oboje; łączę w was całą mą tkliwość. Szczęśliwa dziś jestem, moje dzieci: ach! jak ja was będę kochać!

FIGARO, *rozczulony, żywo.* Przestań, mamusiu, przestań! chcesz roztopić w wilgoci oczy moje, zroszone pierwszemi łzami jakie znam? Ale są to, na szczęście, łzy radości. Co za głupota! omal się ich wstydziłem; czułem, jak płyną mi między palce: patrz; *(rozstawia palce)* i wstrzymywałem je jak głupiec! Do djaska ze wstydem! chcę śmiać się i płakać równocześnie; człowiek nie doświadcza dwa razy w życiu tego co ja czuję. *(Tuli matkę z jednej strony, Zuzannę z drugiej).*

MARCELINA. O, drogie dziecko!

ZUZANNA. Drogi Figaro!

GĄSKA, *ocierając oczy chustką.* A to co? czy i-i ja ta-aki głupi jestem?

FIGARO, *w uniesieniu.* Zgryzoto, teraz mogę cię wyzywać! Dosięgnij mnie, jeśli się odważysz, między dwiema ukochanemi istotami.

ANTONIO, *do Figara.* Nie tyle karesów, jeśli łaska. Gdy chodzi w rodzinie o małżeństwo, wpierw zwykli pobierać się rodzice, rozumiesz? Czy twoi podają sobie ręce?

BARTOLO. Moja ręka! niech mi wprzód uschnie i odpadnie, nim ją oddam matce takiego obwiesia!

ANTONIO, *do Bartola.* Zatem jesteś pan tylko ojczulkiem z lewej ręki? *(do Figara).* W takim razie, mości galancie, nici z tego.

ZUZANNA. Och, wuju...

ANTONIO. Miałbym oddać dziecko rodzonej siostry komuś kto sam jest niczyj?

GĄSKA. Czy to mo-ożliwe, ty głupi? zawsze się jest czyjemś dzie-eckiem.

ANTONIO. Bajbaju!... Nie dostanie jej nigdy. *(Wychodzi).*

Scena XIX

BARTOLO, ZUZANNA, FIGARO, MARCELINA, GĄSKA.

BARTOLO, *do Figara.* Szukaj-że teraz, kto cię zaadoptuje. *(Chce odejść).*

MARCELINA *biegnie za Bartolem, chwyta go w pół i wiedzie go z powrotem.* Czekaj, doktorze, nie odchodź!

FIGARO, *na stronie.* Nie, wszyscy głupcy całej Andaluzji rozpętali się przeciw memu małżeństwu!

ZUZANNA, *do Bartola.* Tato, tatusiu, to twój syn.

MARCELINA, *do Bartola.* Dowcip, talenty, uroda.

FIGARO, *do Bartola.* I nie kosztował cię ani szeląga.

BARTOLO. A sto talarów, które mi wyłudził?

MARCELINA, *pieszcząc go.* Tak będziemy dbali o ciebie, tatusiu!

ZUZANNA, *pieszcząc go.* Tak będziemy cię kochać, tatuleńku!

BARTOLO, *rozczulony.* Tato, tatusiu, tatuleńku! Ot, jeszcze głupszy jestem niż pan sędzia. *(Wskazując Gąskę).* Daję sobą powodować jak dziecko. *(Marcelina i Zuzanna ściskają go).* Och, nie, nie powiedziałem „tak". *(Obraca się).* Gdzie się podział pan hrabia?

FIGARO. Biegnijmy za nim; wydrzyjmy mu ostatnie słowo. Gdyby uknuł jeszcze jaką intrygę, trzebaby wszystko zaczynać od nowa.

WSZYSCY RAZEM. Biegnijmy, biegnijmy. *(Pociągają za sobą Bartola).*

Scena XX

GĄSKA, *sam.*

Głu-upszy niż pan sę-ędzia! Można sa-amemu o sobie mówić ta-akie rzeczy, ale... Tute-ejsi ludzie nie zna-ają grze-eczności. *(Wychodzi).*

AKT IV

Scena przedstawia galerję ozdobioną kandelabrami, zapalonemi świecznikami, kwiatami, girlandami, słowem przygotowaną do uroczystości. Na przodzie, po prawej, stół z przyborami do pisania, za nim fotel.

Scena I

FIGARO, ZUZANNA.

FIGARO, *trzymając ją wpół.* I cóż, kochanie, zadowolona jesteś? Miodopłynna mamusia nawróciła doktora! Mimo niechęci, żeni się z nią, przeklęty wujaszek nie może już ani pisnąć; jedynie hrabia się wścieka, ostatecznie bowiem, nasze małżeństwo będzie owocem tego związku. Uśmiechnij-że się trochę z tego szczęśliwego obrotu.

ZUZANNA. Widziałeś kiedy co osobliwszego?

FIGARO. Weselszego raczej. Chcieliśmy wydrzeć jedno wiano Jego Ekscelencji; i oto mamy już dwa, a żadne od niego. Ścigała cię zaciekła rywalka, ja byłem pastwą rozjuszonej furji; i oto, nagle, zmieniła się w najlepszą z matek. Wczoraj byłem niby sam na świecie, i oto mam całą rodzinę; nie tak wspaniałą, coprawda, jak ją sobie w myślach sztyftowałem: ale wcale niezłą dla nas, którzy nie jesteśmy tak ambitni jak bogacze.

ZUZANNA. Z tem wszystkiem, drogi Figaro, z rzeczy, które układałeś, których oczekiwaliśmy, żadna się nie ziściła!

FIGARO. Przypadek lepiej się spisał niż my wszyscy, moja mała. Tak toczy się świat: człowiek mozoli się, snuje plany, ciągnie

w jedną stronę; los spełnia je z drugiej. Od niesytego zdobywcy który chciałby połknąć ziemię, aż do spokojnego ślepca który daje się wieść swemu psu, wszyscy są igraszką pani Fortuny; a jeszcze ślepiec z psem lepszego często ma przewodnika i mniej podlega omyłkom, niż inny ślepiec wśród całego swego dworu! Co się tyczy uroczego ślepca zwanego Miłością... *(Znów przygarnia ją czule)*.

ZUZANNA. Ach, to jedyny, który mnie obchodzi!

FIGARO. Pozwól tedy, iż, obejmując rolę Szaleństwa, będę dobrym psem, który go zawiedzie do twej miluchnej bramy; i oto znaleźliśmy pomieszczenie na całe życie!

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Miłość i ty?

FIGARO. Ja i miłość.

ZUZANNA. I nie będziesz szukał innej kwatery?

FIGARO. Jeśli mnie na tem złapiesz, niech tysiąc tysięcy gachów...

ZUZANNA. Przesadzasz: powiedz szczerą prawdę.

FIGARO. Najprawdziwszą!

ZUZANNA. Pfe, ty nic dobrego! Więc są różne?

FIGARO. Ba, jeszcze jak! Od czasu jak zauważono że dawne szaleństwa stają się mądrością i że dawne kłamstewka, dość licho zasadzone, wydały duże, duże prawdy, mamy ich najrozmaitsze rodzaje. I te, które się wie nie śmiejąc ich rozpowszechniać: o, bo nie każdą zdrowo jest głosić; i te, które się chwali nie wierząc w nie: o, bo nie w każdą prawdę dobrze jest wierzyć; i namiętne przysięgi, groźby matek, zaklęcia pijaków, obietnice dworaków, ostatnie słowo kupców: niemasz temu końca. Jedynie miłość moja dla Zuzi jest prawdą szczerej próby.

ZUZANNA. Podoba mi się twój humor, przez to że taki pusty: czuć, żeś szczęśliwy. Mówmy o schadzce z hrabią.

FIGARO. Lub raczej nie mówmy o niej nigdy; omal, że mnie nie kosztowała mojej Zuzanny.

ZUZANNA. Nie chcesz już tedy, aby przyszła do skutku?

FIGARO. Jeśli mnie kochasz, Zuziu, przyrzeknij mi to; niech hrabia zmarznie czekając, to jego kara.

ZUZANNA. Więcej mnie kosztowało zgodzić się, niż będzie mi ciężko chybić przyrzeczeniu; niema już mowy o tem.

FIGARO. Prawdziwa prawda?

ZUZANNA. Ja nie jestem taka, jak wy, panowie uczeni! ja mam tylko jedną.

FIGARO. I będziesz mnie kochała trochę?

ZUZANNO. Bardzo.

FIGARO. To za mało.

ZUZANNA. A ile?

FIGARO. Gdy chodzi o miłość, widzisz Zuziu, zanadto, to jeszcze nie dosyć.

ZUZANNA. Nie rozumiem się na tych mądrościach, ale będę kochała tylko męża.

FIGARO. Dotrzymaj słowa, a będziesz pięknym wyjątkiem z powszechnego obyczaju! *(Chce ją uściskać).*

Scena II

FIGARO, ZUZANNA, HRABINA.

HRABINA. Och! miałam słuszność: gdziekolwiek się ich zdybie, można być pewną, że zawsze razem. Ej, Figaro, okradasz przyszłość, małżeństwo i samego siebie, nadużywając w ten sposób słodkiego sam na sam... Wszyscy czekają, niecierpliwią się.

FIGARO. To prawda, pani hrabino, zapominam o świecie. Przedstawię im swoje usprawiedliwienie. *(Chce wziąść ze sobą Zuzannę).*

HRABINA, *zatrzymując ją.* Pospieszy za tobą.

Scena III

ZUZANNA, HRABINA.

HRABINA. Masz wszystko czego trzeba aby pomieniać się na suknie?

ZUZANNA. Nic nie trzeba, pani hrabino; nie będzie schadzki.

HRABINA. Jakto! zmieniłaś zdanie?

ZUZANNA. To Figaro.

HRABINA. Zwodzisz mnie.

ZUZANNA. Miłosierne nieba!

HRABINA. Figaro nie jest człowiekiem, któryby tak łatwo żegnał się z posągiem.

ZUZANNA. Pani hrabino! Co pani przypuszcza?

HRABINA. Iż, porozumiawszy się z hrabią, żałujesz teraz, że zdradziłaś mi jego zamysły. Znam cię na wylot. Zostaw mnie. *(Chce wyjść)*.

ZUZANNA, *pada jej do kolan*. Na imię niebios, nadziei naszej! Pani sama nie wie, jaką mi krzywdę czyni! Po tylu łaskach! po tym posagu, którym mnie pani obdarzyła!...

HRABINA, *podnosi ją*. Ależ... ja sama nie wiem co mówię! Wszak ustępując mi swego miejsca w ogrodzie, nie idziesz tam sama, moje serce; dotrzymujesz słowa swojemu mężowi, a pomagasz mi odzyskać mego.

ZUZANNA. Jaką pani mi sprawiła przykrość!

HRABINA. Doprawdy, czasem mówię bez zastanowienia... *(Całuje ją w czoło)*. Gdzież ta schadzka?

ZUZANNA *całuje ją w rękę*. Dosłyszałam jedynie słowo „ogród".

HRABINA, *wskazując stół*. Weź pióro i oznaczmy miejsce.

ZUZANNA. Pisać do pana hrabiego!

HRABINA. Trzeba.

ZUZANNA. Przynajmniej niech pani...

HRABINA. Biorę wszystko na siebie. *(Zuzanna siada, hrabina*

dyktuje). Nowa piosnka, na nutę... „Jakże słodko wieczorem, pod cienistym kasztanem...“ Jakże słodko wieczorem...

ZUZANNA *pisze.* Pod cienistym kasztanem... Dalej?

HRABINA. Lękasz się, że nie zrozumie?

ZUZANNA *odczytuje.* To prawda. *(Składa bilecik).* Czem zapieczętować?

HRABINA. Prędko, szpilkę! posłuży za odpowiedź. Napisz na odwrotnej stronie: „Proszę odesłać pieczęć“.

ZUZANNA *pisze, śmiejąc się.* A, pieczęć!... Ta pieczęć, proszę pani, weselsza jest, niż owa na patencie.

HRABINA, *z bolesnym uśmiechem.* Och!

ZUZANNA *szuka na sobie.* Masz tobie! nie mam szpilki!

HRABINA *odpina lewitkę.* Weź tę. *(Wstążka pazia wypada z za gorsu na ziemię).* A! moja wstążka!

ZUZANNA *podnosi.* Wstążka małego hultaja! Pani była tak okrutna?...

HRABINA. Miałam zostawić ją na jego ramieniu? to byłoby ładnie! Dajże!

ZUZANNA. Nie będzie jej pani nosiła więcej; splamiona krwią tego dzieciaka.

HRABINA, *biorąc wstążkę z powrotem.* Wyborna dla Franusi... Za pierwszy bukiet, który mi przyniesie...

Scena IV

MŁODA PASTERKA, CHERUBIN *przebrany za dziewczynę,* FRANUSIA *i gromadka młodych dziewcząt, ubranych jak ona, z bukietami w rękach;* HRABINA, ZUZANNA.

FRANUSIA. Wielmożna Pani, to dziewczęta ze wsi przyniosły kwiaty.

HRABIA, *chowając spiesznie wstążkę.* Urocze dzieci! Wyrzucam sobie, ślicznotki, że nie znam was wszystkich. *(Pokazując Cherubina).* Któż jest ta miła dzieweczka, z tą skromną minką?

PASTERKA. To moja krewniaczka, proszę pani: przybyła tylko na wesele.

HRABINA. Ładniutka! Nie mogąc wziąć dwudziestu bukietów, uczyńmyż honor gościowi. *(Bierze bukiet Cherubina i całuje go w czoło)*. Zarumieniła się! *(Do Zuzanny)*. Nie uważasz, Zuziu... że ona przypomina kogoś?

ZUZANNA. Łudząco, w istocie.

CHERUBIN, *na stronie, z rękami na sercu.* Ach, ten pocałunek głęboko zapadł mi w duszę!

Scena V

MŁODE DZIEWCZĘTA, CHERUBIN *pośród nich,* FRANUSIA, ANTONIO, HRABIA, HRABINA, ZUZANNA.

ANTONIO. Powiadam panu hrabiemu, że on tu jest: przebierały go u mojej dziewuchy; jego rzeczy zostały tam jeszcze, a oto kapelusz oficerski, który znalazłem porzucony. *(Zbliża się i czyniąc przegląd dziewcząt poznaje Cherubina. Zdejmuje mu z głowy wianek dziewczęcy, wskutek czego długie włosy rozsypują się. Kładzie mu na głowę oficerski kapelusz i mówi:)* Do paralusza, ot i nasz oficerek!

HRABINA *cofa się.* Nieba!

ZUZANNO. O, ladaco!

ANTONIO. Toć powiadałem już wprzódy, że to on!...

HRABIA, *w gniewie.* I cóż, pani?

HRABINA. Cóż, hrabio! widzisz mnie nie mniej zdumioną od siebie i z pewnością równie zagniewaną.

HRABIA. Tak; ale dziś rano?...

HRABINA. Byłabym winna, w istocie, gdybym ukrywała coś jeszcze. Zaszedł do mnie. Zaczęłyśmy zabawę, którą te dzieciaki doprowadziły do końca; zaskoczyłeś nas, kiedyśmy go ubierały; jesteś tak gwałtowny!... On uciekł, ja się zmieszałam; ogólny strach dopełnił reszty.

HRABIA, *z gniewem, do Cherubina.* Czemu nie wyjechałeś?

CHERUBIN, *zdejmując spiesznie kapelusz.* Wasza Dostojność...

HRABIA. Ukarzę twe nieposłuszeństwo.

FRANUSIA, *nieopatrznie.* Och, Wasza Dostojność, chciej wysłuchać! Za każdym razem, kiedy Wasza Dostojność zachodzi mnie uściskać, powtarza przecie: „Jeśli mnie będziesz kochała, Franusiu, dam ci co zechcesz...‘

HRABIA, *czerwieniąc się.* Ja! ja to powiedziałem?

FRANUSIA. Tak, Wasza Dostojność. Zamiast karać Cherubina, daj mi go Wasza Dostojność za męża, a będę cię kochała do szaleństwa.

HRABIA, *na stronie.* Czy jakieś urzeczenie z tym paziem!

HRABINA. Więc dobrze, hrabio, na ciebie kolej! Wyznanie tego dziecka, równie szczere jak moje, stwierdza wreszcie dwie prawdy: że ja, jeśli przyprawiam cię o niepokój, to zawsze mimowoli, gdy ty dokładasz starań, aby mój pomnożyć i usprawiedliwić.

ANTONIO. Pan także, Ekscelencjo! Hoho! już ja ją nauczę rozumu, jak nieboszczkę jej matkę, która zmarła... Niby nie mówię do tego; ale pani hrabina wie dobrze, że młode dziewczęta, kiedy podrosną...

HRABIA, *zmieszany, na stronie.* Jakiś zły duch obraca wszystko przeciw mnie!

Scena VI

DZIEWCZĘTA, CHERUBIN, ANTONIO, FIGARO, HRABIA, HRABINA, ZUZANNA.

FIGARO. Ekscelencjo, jeśli Wasza Dostojność będzie nam tu trzymał dziewczęta, niema sposobu zacząć wesela ani tańców.

HRABIA. Ty, tańczyć! Żartujesz? Po tym upadku, w którym stłukłeś sobie nogę!

FIGARO, *ruszając nogą.* Boli jeszcze trochę; ale to nic. *(Do dziewcząt).* Dalej, aniołki, dalej!

HRABIA, *okręca nim*. Miałeś szczęście, że grzędy były miękkie!

FIGARO. Wielkie szczęście, to pewna; inaczej...

ANTONIO *okręca nim*. Do tego machnął kozła zleciawszy na ziemię.

FIGARO. Zgrabniejszy, prawda, byłby został w powietrzu? *(Do dziewcząt)*. Cóż, dziewczęta, idziecie?

ANTONIO *okręca nim*. I, przez ten czas, pazik cwałował do Sewilli?

FIGARO. Cwałował, czy jechał stępa...

HRABIA *okręca nim*. A ty miałeś jego patent w kieszeni?

FIGARO, *nieco zdziwiony*. Oczywiście; ale cóż za śledztwo? *(Do dziewcząt)*. Dalej, dziewuchy!

ANTONIO, *prowadząc Cherubina za ramię*. A tu, jedna z nich twierdzi, że mój przyszły siostrzeniec jest prosty łgarz.

FIGARO, *zdumiony*. Cherubin! *(Na stronie)*. Przeklęty urwis!

ANTONIO. Rozumiesz teraz?

FIGARO, *szukając w głowie*. Rozumiem... rozumiem... Hę? co on baje?

HRABIA, *sucho*. Nie baje; powiada, że to on skoczył w goździki.

FIGARO, *z roztargnieniem*. A! powiada... być może. Nie spieram się o to czego nie wiem.

HRABIA. Zatem i ty i on?

FIGARO. Czemu nie? manja skakania może być zaraźliwa: ot, weź pan owce Panurga; a kiedy pan hrabia jesteś w gniewie, niema człowieka, któryby nie wolał...

HRABIA. Jakto, dwóch naraz?

FIGARO. Choćby dwa tuziny! I cóż to szkodzi, Ekscelencjo, skoro nikt sobie nie zrobił nic złego? *(Do dziewcząt)*. No, cóż, idziecie wreszcie?

HRABIA, *podrażniony*. Cóż my, komedję gramy?

(Słychać fanfary).

FIGARO. Oto sygnał! Na stanowiska, dziewuszki, na stanowiska! Dalej, Zuziu, podaj mi rękę. *Wszyscy pomykają, Cherubin zostaje sam, ze spuszczoną głową).*

Scena VII

CHERUBIN, HRABIA, HRABINA.

HRABIA, *patrząc za Figarem.* Widział kto kiedy większego zuchwalca? *(Do pazia).* Co do ciebie, mości filucie, który udajesz tu zawstydzonego, idź przebierz się corychlej, i żebym cię nie spotkał cały wieczór.

HRABINA. Biedny, będzie mu się przykrzyć.

CHERUBIN, *nieopatrznie.* Przykrzyć! Unoszę na mem czole szczęścia bodaj na sto lat więzienia. *(Kładzie kapelusz i wybiega).*

Scena VIII

HRABIA, HRABINA. *Hrabina wachluje się w milczeniu.*

HRABIA. Cóż się jego czołu trafiło tak szczęśliwego?

HRABINA, *z zakłopotaniem.* Pierwszy kapelusz oficerski zapewne; dziecku wszystko starczy za cacko. *(Chce odejść).*

HRABIA. Nie zostajesz z nami, hrabino?

HRABINA. Wiesz, że nie czuję się zdrowa.

HRABIA. Daruj jedną chwilę swej protegowanej, lub pomyślę że się gniewasz.

HRABINA. Oto dwa orszaki weselne; siądźmyż, aby je przyjąć.

HRABIA, *na stronie.* Wesele! Trzeba ścierpieć to, czemu nie można przeszkodzić.

(Hrabia i hrabina siadają z jednej strony galerji).

Scena IX

HRABIA, HRABINA *siedzą; muzyka gra marsza.*

POCHÓD.

STRAŻ LEŚNA, z fuzjami na ramieniu.

WOŹNY, ŁAWNICY, GĄSKA.

WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI w strojach weselnych.

DWIE DZIEWCZYNY niosą wianek dziewiczy z białych piór.

DWIE INNE niosą biały welon.

DWIE INNE rękawiczki i bukiet.

ANTONIO prowadzi za rękę Zuzannę, jako ten który ma ją oddać w ręce Figara.

INNE DZIEWCZYNY niosą drugi wianek, drugi welon i bukiet biały, podobne do pierwszych, dla Marceliny.

FIGARO podaje rękę Marcelinie, jako mający ją oddać Doktorowi, który zamyka pochód, z wielkim bukietem na piersiach z boku. Dziewczęta, przechodząc przed hrabią, oddają służbie przybory przeznaczone dla Zuzanny i dla Marceliny.

WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI stają w dwóch szeregach po obu stronach sali i tańczą fandango z kastanietami; następnie, orkiestra gra riturnellę, podczas której Antonio prowadzi Zuzannę przed hrabiego; Zuzanna klęka.

Gdy hrabia kładzie jej wianek i welon oraz wręcza bukiet, dwie dziewczyny śpiewają co następuje:

Śpiewaj, o dziewczę, Pana orędzie wspaniałe,
Co w sercu jego prawo nad tobą zwycięża:
Nad rozkosz wyżej ceniąc szlachetności chwałę,
Czystą oddaje cię w ramiona męża.

ZUZANNA, klęcząc, podczas ostatnich wierszy, ciągnie hrabiego za płaszcz i pokazuje mu bilecik który trzyma w ręku; następnie podnosi rękę od strony widzów ku głowie, na której hrabia niby to poprawia wianek. Zuzanna podaje mu bilecik.

HRABIA chowa go szybko na piersi; dziewczęta kończą śpiewać; narzeczona wstaje i składa głęboki ukłon.

FIGARO odbiera Zuzannę z rąk Hrabiego i przechodzi z nią w przeciwną stronę sali, ku Marcelinie. Tymczasem wszyscy tańczą dalej fandango.

HRABIA, któremu pilno przeczytać, wysuwa się na przód sceny i wyciąga papier; wyjmując go, czyni ruch człowieka który dotkliwie ukłuł się w palec; potrząsa nim, ściska, wysysa, i, spoglądając na papier spięty szpilką, mówi:

HRABIA *(podczas gdy mówi, jak również podczas tego co mówi Figaro, orkiestra gra pianissimo)*. Do djaska z babami, które wszędzie muszą wściubić swoje szpilki!

(Rzuca szpilkę na ziemię, następnie czyta bilecik i całuje go).

FIGARO, *który wszystko widział, mówi do matki i do Zuzanny:* To bilecik miłosny; widać jedna z dziewcząt wsunęła mu go mimochodem. Spięty był szpilką, która go szpetnie ukłuła.

Taniec zaczyna się na nowo: hrabia, przeczytawszy bilecik, obraca go; spostrzega prośbę o odesłanie pieczątki na znak odpowiedzi. Szuka na ziemi, wreszcie znajduje szpilkę, którą przyszpila sobie do rękawa.

FIGARO, *do Zuzanny i Marceliny*. Od miłej osoby wszystko jest cenne. Patrzcie, podnosi szpilkę. Na honor! pocieszna figura!

Przez ten czas, Zuzanna wymienia znaki z hrabiną. Taniec kończy się, powtarza się riturnela.

FIGARO *prowadzi Marcelinę przed hrabiego, jak wprzód Antonio Zuzannę; gdy hrabia bierze wianek i kiedy mają odśpiewać duet, przerywają go następujące krzyki:*

ODŹWIERNY, *krzycząc u drzwi*. Wstrzymajcie się! nie możecie wejść wszyscy... Hola! strażnicy! tutaj! strażnicy! *(Straż zbiega się szybko do drzwi).*

HRABIA, *wstając*. Co tam znów?

ODŹWIERNY. Wasza Dostojność, to imć Bazyljo, a za nim cała wieś, bo idąc śpiewa jak opętany.

HRABIA. Niech wejdzie sam.

HRABINA. Panie hrabio, pozwól mi się już oddalić.

HRABIA. Nie zapomnę ci twej uprzejmości, hrabino.

HRABINA. Zuzanno!... Zaraz ją odeślę. *(Na stronie do Zuzanny)*. Chodźmy zmienić suknie. *(Wychodzi z Zuzanną)*.

MARCELINA. Zawsze zjawia się tylko aby szkodzić.

FIGARO. Nie bój się, mamo, już on spuści z tonu.

Scena X

Ciż sami, z wyjątkiem hrabiny i Zuzanny, BAZYLJO *z gitarą w ręku.* SŁONECZKO.

BAZYLJO, *wchodzi śpiewając na nutę końcowego wodewilu.*

Wy, co serduszka zbyt żywe,
Winicie o cnoty brak,
Wstrzymajcie skargi zelżywe:
Czyliż zmienność grzeszną tak?
Jeśli Miłość jest skrzydlata,
Cóż dziwnego, że ulata?
Cóż dziwnego, że ulata?

FIGARO, *podchodząc doń.* Tak, dlatego właśnie ma skrzydła na plecach. Mój przyjacielu, co chcesz wyrazić przez tę piosenkę?

BAZYLJO, *ukazując Słoneczko.* Iż, dowiódłszy swego posłuszeństwa Jego Ekscelencji tem że zabawiałem imćpana należącego do jego kompanji, będę mógł z kolei żądać sprawiedliwości.

SŁONECZKO. Ba! Ekscelencjo, wcale mnie nie ubawił swemi głupawemi tralalami.

HRABIA. Krótko mówiąc, czego żądasz, Bazyljo?

BAZYLJO. Tego co mi się należy, Ekscelencjo: ręki Marceliny; przychodzę sprzeciwić się...

FIGARO, *zbliża się.* Szanowny pan oddawna nie widział fizjognomji durnia?

BAZYLJO. W tej chwili ją widzę.

FIGARO. Skoro moje oczy służą ci tak dobrze za zwierciadło, wyczytaj w nich następstwa mojej zapowiedzi. Jeśli tylko sprobujesz zbliżyć się do pani...

BARTOLO, *śmiejąc się*. Ej, czemu nie? Pozwól im pogadać z sobą.

GĄSKA, *wsuwa się między nich*. Trze-ebaż, aby dwaj przyyjaciele...

FIGARO. My, przyjaciele!

BAZYLJO. Cóż za omyłka!

FIGARO, *szybko*. Dlatego że składa niezdarne kantyczki?

BAZYLJO, *szybko*. A on, wierszydła godne gazeciarza?

FIGARO, *szybko*. Muzykus jarmarczny!

BAZYLJO, *szybko*. Plotkarz gazeciarski!

FIGAR0, *szybko*. Organista z przedmieścia!

BAZYLJO, *szybko*. Żokey dyplomatyczny!

HRABIA, *siedząc*. Hola! zuchwalcy!

BAZYLJO. Uchybia mi przy każdej sposobności...

FIGARO. Ba, gdyby tylko to było możebne!

BAZYLJO. Rozpowiadając wszędzie, że jestem głupiec...

FIGARO. Bierzesz mnie tedy za echo?

BAZYLJO. ...Gdy niema muzyka, któregoby mój talent nie uświetnił.

FIGARO. Uszpetnił!

BAZYLJO. Wszędzie to powtarza!

FIGARO. Czemużby nie, skoro to prawda? Czy jesteś księciem, żeby ci kadzić? Ścierp prawdę, łajdaku, skoro nie masz za co opłacić pochlebcy; albo, jeśli lękasz się ją tu znaleźć, poco przychodzisz zakłócać nasze wesele?

BAZYLJO, *do Marceliny*. Nie przyrzekłaś mi pani, iż, jeśli do czterech lat się nie wydasz, mnie wówczas dasz pierwszeństwo?

MARCELINA. Pod jakim warunkiem przyrzekłam?

BAZYLJO. Że, jeśli znajdziesz zgubionego syna, zaadoptuję go przez miłość dla ciebie.

WSZYSCY RAZEM. Znalazł się.

BAZYLJO. No, więc dobrze.

WSZYSCY RAZEM, *wskazując Figara.* Oto on!

BAZYLJO, *cofając się z przerażeniem.* Czart! Ujrzałem czarta!

GĄSKA, *do Bazylja.* I wyrzekasz się jego dro-ogiej matki?

BAZYLJO. Czyż mogłoby być większe nieszczęście, niż uchodzić za ojca obwiesia?

FIGARO. Kpisz chyba: nie za ojca, ale za syna!

BAZYLJO, *wskazując Figara.* Z chwilą gdy ten pan jest tu czemś, oświadczam że ja nie jestem już niczem. *(Wychodzi).*

Scena XI

Ciż sami, prócz Bazylja.

BARTOLO, *śmiejąc się.* Ha! ha! ha! ha!

FIGARO, *skacząc z radości.* Zatem, w końcu, dopłynę do swej żony.

HRABIA, *na stronie.* A ja do kochanki! *(Wstaje).*

GĄSKA, *do Marceliny.* I wszy-yscy są zadowoleni.

HRABIA. Niech wygotują dwa kontrakty; podpiszę.

WSZYSCY. Wiwat! *(Wychodzą).*

HRABIA. Trzeba mi spocząć trochę. *(Chce wyjść za innymi).*

Scena XII

SŁONECZKO, FIGARO, MARCELINA, HRABIA.

SŁONECZKO, *do Figara.* A ja, pójdę pomóc narządzać fajerwerki pod kasztanami, jak kazano.

HRABIA, *wraca pędem.* Co za głupiec dał taki rozkaz?

FIGARO. Cóż w tem złego?

HRABIA, *żywo.* A hrabina? Wszak jest niezdrowa: skądże bę-

dzie mogła przyjrzeć się fajerwerkowi? Na terasie, naprzeciw jej okien.

FIGARO. Słyszysz, Słoneczko: na terasie.

HRABIA. Pod kasztanami! ładny pomysł! *(Na stronie)*. Chcieli puścić z dymem moją schadzkę!

Scena XIII

FIGARO, MARCELINA.

FIGARO. Cóż za nadzwyczajne attencje dla żony! *(Chce wyjść)*.

MARCELINA *zatrzymuje go*. Dwa słowa, synu. Pragnę oczyścić się wobec ciebie: źle skierowane uczucie zrobiło mnie niesprawiedliwą wobec twej uroczej żony: posądziłam ją o zmowę z hrabią, mimo iż wiedziałam od Bazylja, że zawsze go odpychała.

FIGARO. Źle znasz swego syna, skoro przypuszczasz, iż mogły mieć nań wpływ kobiece poduszczenia. Najchytrzejszą wyzywam, czy potrafi mnie wywieść w pole.

MARCELINA. Szczęśliwy, kto zawsze tak mniema, mój synu; zazdrość...

FIGARO. ...Jest głupim dzieckiem pychy, albo chorobą szaleńca. Ach, na tym punkcie, matko, mam filozofję... nie do zmącenia; jeśli Zuzanna oszuka mnie kiedy, przebaczam jej z góry; długo się napracuje... *(Odwraca się i spostrzega Franusię szukającą kogoś)*.

Scena XIV

FIGARO, FRANUSIA, MARCELINA.

FIGARO. Ej... to kuzyneczka podsłuchuje nas!

FRANUSIA. O, nie: powiadają, że to nieładnie.

FIGARO. To prawda: ale że zarazem użytecznie, mienia się często jedno za drugie.

FRANUSIA. Patrzyłam, czy ktoś tu jest.

FIGARO. Już fałszywa, szelmeczka! wiesz dobrze, że nie może tu być.

FRANUSIA. A kto taki?

FIGARO. Cherubin.

FRANUSIA. Nie jego szukam, wiem pysznie gdzie jest: szukam siostrzyczki Zuzanny.

FIGARO. A czegóż kuzyneczka chce od niej?

FRANUSIA. Tobie, kuzynku, powiem. Chciałam... tylko oddać jej szpilkę.

FIGARO, *żywo.* Szpilkę! szpilkę!... Od kogóż-to, kuzyneczko? W swoim wieku, praktykujesz już rzemio... *(Opamiętywa się i powiada łagodnie).* Bardzo dobrze robisz, Franusiu; doskonale; jesteś kuzyneczko tak uprzejma...

FRANUSIA. Na kogo on się znów gniewa? Odchodzę...

FIGARO, *zatrzymując ją.* Nie, nie, żartuję. Czekaj, czekaj... szpilka... prawda? pan hrabia kazał ci oddać Zuzi? zamknięty był nią liścik, który trzymał w ręku: widzisz, że wiem wszystko.

FRANUSIA. Pocóż zatem pytać, skoro pan wie?

FIGARO, *szukając w myśli.* Tak... ciekaw byłem dowiedzieć się, w jaki sposób hrabia dał ci to zlecenie.

FRANUSIA, *naiwnie.* Tak jak kuzyn powiedział: „Masz, Franusiu, oddaj tę szpilkę ślicznej kuzynce i powiedz tylko, że to pieczęć z pod wielkich kasztanów“.

FIGARO. Wielkich...

FRANUSIA. Kasztanów. Prawda, dodał jeszcze: „Uważaj, żeby cię nikt nie spostrzegł...“

FIGARO. Trzeba być posłuszną, kuzyneczko: szczęściem, nikt cię nie widział. Spełń zatem pięknie zlecenie i nie mów nic ponad to co pan hrabia kazał.

FRANUSIA. I czemuż miałabym mówić coś więcej? Ten kuzyn bierze mnie za dziecko.

Scena XV

FIGARO, MARCELINA.

FIGARO. I cóż, matko?

MARCELINA. Cóż, synu?

FIGARO, *łapiąc oddech*. No, to już!... Doprawdy, bywają rzeczy!...

MARCELINA. Bywają rzeczy! No i cóż takiego?

FIGARO, *z rękami na piersiach*. To com usłyszał, matko, trafiło mnie jak ołowiem.

MARCELINA. Więc to serce pełne wiary w siebie, to był jedynie wzdęty balon? wystarczyło nakłócia szpilki?...

FIGARO, *wściekły*. Szpilki! ależ, matko, to ona podniosła tę szpilkę!

MARCELINA, *przypominając co mówił przed chwilą*. Zazdrość! „Och, na tym punkcie, matko, mam filozofję... nie do zmącenia; i jeśli Zuzanna oszuka mnie kiedy, odpuszczam jej..."

FIGARO, *żywo*. Ech, matko! człowiek mówi jak czuje: każ najbardziej lodowatemu sędziemu bronić własnej sprawy, usłyszysz jak zacznie wykładać paragrafy! — Już się nie dziwię, że tak mu się nie podobał pomysł fajerwerku! — Co do tej lalusi ze szpileczkami, dalszą ma niż sądzi drogę do swoich kasztanów! Jeśli sprawa małżeństwa zaszła dość daleko aby usprawiedliwić mój gniew, to w zamian nie dosyć, abym nie mógł jej porzucić a zaślubić innej!...

MARCELINA. Świetna konkluzja! Zniszcz wszystko dla prostego podejrzenia! Kto ci udowodnił, powiedz, że ona ciebie a nie hrabiego chce wystrychnąć na dudka? Czyś wysłuchał jej zeznań, aby tak skazywać bez apelacji? Zali wiesz, czy przyjdzie pod te kasztany i w jakiej intencji? co powie, co uczyni? Miałam cię za tęższego w sędziowskim procederze!

FIGARO, *całując jej rękę z zapałem*. Ma słuszność mamusia; ma słuszność, zawsze słuszność! Ale przyzwólmy, mateczko, coś na-

szej naturze; człowiekowi lżej potem na sercu. Rozpatrzmy rzecz, nim zaczniemy oskarżać i sądzić. Wiem, gdzie się ma odbyć schadzka. Bądź zdrowa, matko. *(Wychodzi)*.

Scena XVI

MARCELINA, *sama*.

Bądź zdrów. I ja wiem także. Ułagodziwszy jego gniew, czuwajmy nad postępkami Zuzanny, lub raczej ostrzeżmy ją; to takie śliczne stworzenie! Ach, kiedy interes osobisty nie zbroi nas wzajem przeciw sobie, zawsze jesteśmy gotowe wspierać naszą biedną uciśnioną płeć, przeciw tym dumnym, straszliwym... *(śmiejąc się)* a, mimo to, nieco głupawym mężczyznom. *(Wychodzi)*.

AKT V

Scena przedstawia aleję kasztanową w parku; dwa pawilony, kioski lub altanki po prawej i lewej. W głębi polanka, na przodzie ławeczka darniowa. Na scenie ciemno.

Scena I

FRANUSIA, *sama, trzymając w jednej ręce dwa biszkopty i pomarańczę, w drugiej zapaloną papierową latarnię.*

W altance na lewo, powiedział. To tu. — Gdyby miał teraz nie przyjść, ladaco!... Te draby z kredensu nie chciały mi nawet dać pomarańczy i biszkoptów! — Dla kogóż to, moja panno? — Mówię panu, że dla kogoś. — Hoho, my już wiemy. — Więc gdyby nawet? Dlatego, że hrabia nie chce go widzieć na oczy, ma już umierać z głodu? — Ba, kosztowało mnie to tęgiego całusa w sam policzek!... Kto wie? on mi go może odda... *(Spostrzega Figara, który się jej przygląda; wydaje krzyk)*. Ach!... *(Ucieka i kryje się w altance po lewej)*.

Scena II

FIGARO, *w wielkim płaszczu na ramionach, w kapeluszu z szerokiem opuszczonem rondem,* BAZYLJO, ANTONIO, BARTOLO, GĄSKA, SŁONECZKO, *gromada lokajów i robotników.*

FIGARO, *zrazu sam.* Franusia! *(Przebiega oczyma innych, w miarę jak nadchodzą, i mówi szorstko)*. Dobry wieczór, panowie; dobry wieczór: jesteście wszyscy?

BAZYLJO. Ci, którym kazałeś przyjść.

FIGARO. Która godzina mniejwięcej?

ANTONIO, *spogląda w górę.* Księżyc powinienby już wstać.

BARTOLO. Cóż za tajemnicze przygotowania? Mina istnego spiskowca!

FIGARO, *kręcąc się niespokojnie.* Powiedzcie mi, czy nie na wesele zgromadziliście się w zamku?

GĄSKA. Za-apewne.

ANTONIO. Szliśmy właśnie do parku, aby czekać sygnału uroczystości.

FIGARO. Nie pójdziecie dalej, panowie; tutaj, pod kasztanami, trzeba nam wszystkim uczcić zacną narzeczoną którą mam zaślubić, i wielkodusznego pana który ją sobie upatrzył.

BAZYLJO, *przypominając sobie zdarzenia dnia.* Aha, prawda, już jestem w domu. Chodźmy stąd, wierzcie; tu pachnie schadzką; opowiem wam resztę.

GĄSKA, *do Figara.* Wró-ócimy później.

FIGARO. Skoro usłyszycie moje wołanie, zbiegnijcież się wszyscy; możecie okrzyknąć Figara za bajbardzo, jeśli wam nie pokaże ładnych rzeczy.

BARTOLO. Pamiętaj, że roztropny człek nie szuka zwady z wielkimi panami.

FIGARO. Pamiętam.

BARTOLO. Że, już przez samo stanowisko, mają, przeciw nam, zawsze cztery tuzy w ręku.

FIGARO. Nie licząc talentów, o których zapominasz. Ale pamiętaj też, iż człowiek, o którym wiedzą że jest tchórzem podszyty, jest na łasce i niełasce każdego łajdaka.

BARTOLO. Doskonale.

FIGARO. I że ja mam na nazwisko *Chwat,* po czcigodnych przodkach mojej macierzy.

BARTOLO. Istny djabeł ten chłopak!

GĄSKA. I-istny!

BAZYLJO, *na stronie*. Hrabia i Zuzanna porozumieli się bezemnie: nie mam nic przeciw temu aby ich wykierować.

FIGARO, *do służby*. A wy, hultaje, jak wam dałem rozkaz, iluminujcie natychmiast ogród; lub, na tego czarta którego chciałbym trzymać w garści, jeśli którego wezmę za kark!... *(potrząsa Słoneczkiem)*.

SŁONECZKO, *umyka z krzykiem i płaczem*. Au, au, au! przeklęty brutal!

BAZYLJO, *odchodząc*. Niech ci niebo da wszystko najlepsze, mości oblubieńcze! *(Wychodzą)*.

Scena III

FIGARO, *sam, przechadzając sie w ciemności, mówi tonem nawskroś posępnym:*

O, kobieto, kobieto, kobieto! słaba i zwodnicza istoto!... żadne żyjące stworzenie nie może chybiać swemu instynktowi: twoim jest oszukiwać!... Tak uparcie odmawiała, kiedym nalegał w obecności pani; i oto, w chwili gdy składa przysięgę, w samej pełni obrzędu... Śmiał się, czytając, przewrotny! a ja, jak ten głupiec!... Nie, panie hrabio, nie będziesz jej miał... nie będziesz. Dlatego, że jesteś wielkim panem, uważasz się za genjusza!... Szlachectwo, majątek, stanowisko, urzędy, wszystko to czyni tak pysznym! Cóżeś uczynił dla zyskania tylu przywilejów? Zadałeś sobie ten trud, aby się urodzić, nic więcej. Pozatem, człowiek dość pospolity; gdy ja, do kata! zgubiony w ladajakiej ciżbie, jedynie aby istnieć musiałem rozwinąć więcej talentów i rachuby, niż ich zużyto od stu lat aby rządzić całą Hiszpanją: i ty chcesz walczyć... Idą... to ona... nie, niema nikogo. — Noc czarna jak djabeł... I oto odgrywam tu głupią rolę męża, mimo że jestem nim tylko w połowie. *(Siada)*. Czy może być coś osobliwszego, niż mój los? Syn nie wiadomo czyj, skradziony przez opryszków, wychowany w ich obyczaju, przykrzę sobie tę kompa-

nję i pragnę się imać uczciwego życia: ba! wszędzie mnie odtrącają! Uczę się chemji, farmacji, chirurgji: i cała protekcja wielkiego pana ledwie zdoła uzyskać, aby mi dano w rękę lancet konowała!... Zbrzydziwszy sobie dręczenie chorych bydląt, rzucam się— biorąc wręcz przeciwne rzemiosło — na łeb na szyję w teatr: obym był sobie przywiązał kamień do szyi! Klecę komedję na tle współczesnych obyczajów. Jako autor hiszpański, rozumiałem, iż mogę kpić bez skrupułu z Mahometa: natychmiast poseł... nie wiem już czyj? skarży się, że obrażam memi wierszami Wysoką Portę, Persję, część półwyspu Indów, cały Egipt, królestwo Barka, Trypoli, Tunisu, Algieru i Maroka: i oto puszczono z dymem moją komedję, dla spodobania się władcom mahometańskim, z których ani jeden, jak sądzę, nie umie czytać i którzy znęcają się nad naszym grzbietem, wołając nas *psami chrześcijańskiemi.* — Nie mogąc spodlić talentu, świat mści się prześladując go. — Policzki zaczęły mi się zapadać, zewsząd oblegały mnie terminy; ujrzałem zdala widmo ohydnego komornika, z piórem za peruką: z drżeniem zbieram resztkę sił. Wszczyna się dyskusja o *naturze bogactw*, że zaś nie trzeba znać rzeczy aby o niej rozumować, tedy, nie mając szeląga przy duszy, piszę traktat o wartości pieniędzy i czystym ich produkcie: i oto wnet widzę, z głębi dorożki, spuszczający się dla mnie zwodzony most turmy, u której wrót zostawiłem nadzieję i wolność. *(Wstaje).* Jakże chciałbym mieć w garści jednego z owych czterodniowych mocarzy, tak lekkich w rozdzielaniu katuszy! Kiedy niełaska spłukałaby trochę jego pychę, powiedziałbym mu... że głupstwa drukowane mają wagę jedynie tam gdzie się krępuje ich obieg; że, bez swobody krytyki, niema zaszczytnej pochwały; że jedynie mali ludzie lękają się małych pisemek. *(Siada z powrotem).* Sprzykrzywszy sobie żywienie niesławnego pensjonarjusza, wypuszczono mnie wreszcie na ulicę: że zaś jeść obiad trzeba choć się już nie siedzi w więzieniu, zacinam na nowo pióro, i pytam naokół o czem ludzie mówią. Dowiaduję się, iż, podczas mych ekonomicznych wywczasów, ustanowiono w Madrycie system wolności produktów, roz-

ciągający się nawet na płody pióra; i że, bylem nie wspominał o zwierzchności, ani o religji, ani o moralności, ani o urzędnikach, ani o uprzywilejowanych stanach, ani o Operze, ani o innych widowiskach, ani o nikim kto z czemkolwiek ma coś do czynienia, wolno mi wszystko drukować swobodno, pod pieczą dwóch czy trzech cenzorów. Aby skorzystać z tej lubej swobody, zapowiadam pismo perjodyczne i, sądząc iż nie wejdę do niczyjego ogródka, daję mu miano *Dziennik bezużyteczny*. Tam do licha! widzę jak się podnosi przeciw mnie tysiąc żyjących z kałamarza nieboraków; zamykają mi pismo, i otom znów bez zajęcia. — Rozpacz mnie już ogarnia; ktoś zakrzątnął mi się o posadę, ale, nieszczęściem, miałem kwalifikacje: trzeba było rachmistrza, otrzymał ją tancmistrz. Pozostało mi już tylko kraść; puściłem się na banczek Faraona; dopieroż, moi ludzie! zaczynają się kolacyjki, tak zwane *dobre towarzystwo* otwiera mi uprzejmie domy, zatrzymując dla siebie trzy czwarte zysku. Mogłem się odratować; zaczynałem rozumieć, że, aby wyjść w świecie na swoje, lepiej być filutem niż mędrcem. Ale, ponieważ każdy dokoła łupił, wymagając abym był uczciwym, trzebaż było zginąć jeszcze i tym razem! Miałem już dość; postanowiłem rozstać się ze światem: dwadzieścia sążni wody miało mnie odeń oddzielić, kiedy dobrotliwy Bóg wrócił mnie do pierwotnego stanu. Podejmuję tedy dawny tobołek i pasek z angielskiej skóry; następnie, zostawiając, na szerokim gościńcu, dym głupcom którzy się nim karmią, oraz wstyd, jako zbyt ciężki dla piechura, idę od miasta do miasta, goląc brody: nareszcie żyję bez troski. Wielki pan zjeżdża do Sewilli; poznaje mnie, pomagam mu do żeniaczki: w nagrodę że, dzięki mym staraniom, posiadł swoją żonę, dobiera się do mojej! Stąd intrygi, burze... Bliski stoczenia się w przepaść, w chwili gdym miał zaślubić własną matkę, nagle odnajduję całą rodzinę. *(Wstaje podrażniony)*. Kłócą się: to ty, to on, to ja, to wy; nie, to nie my; ech! któż tedy, u djaska? *(Osuwa się na ławkę)*. O, dziwny ciągu wypadków! W jaki sposób zdarzyło mi się to wszystko? Czemu to, nie co innego? Któż zawiesił te rzeczy

nad mą głową? Zmuszony przebiegać drogę nad którą wszedłem nie wiedząc o tem, świadom że ją opuszczę bez własnej woli, umaiłem ją tylą kwiecia, na ile pozwoliła mi moja wesołość: a i to mówię *moja wesołość,* nie wiedząc czy ona jest bardziej moja niż co insze, ani co jest owo *ja* które mnie zaprząta: bezkształtne skupienie nieznanych cząstek; później wątłe, bezrozumne stworzenie; swowolne zwierzątko; młodzieniec rwący się ku rozkoszy, użyciu, praktykujący wszystkie rzemiosła aby istnieć; tu pan, tam sługa, wedle kaprysu Fortuny! ambitny z próżności, pracowity z potrzeby, ale leniwy... z rozkoszą! mówca w razie niebezpieczeństwa; poeta dla wytchnienia; muzyk z konieczności; kochanek, okresami, w ataku szaleństwa; wszystkom widział, wszystkom robił, wszystkiegom użył. Później, złudzenia rozwiały się: rozczarowany... Zuziu, Zuziu, Zuziu! ileż ty mi cierpień zadajesz!... Słyszę kroki... nadchodzą. Oto moment.

(Cofa się w pierwszą kulisę po prawej).

Scena IV

FIGARO, HRABINA *w sukniach Zuzanny,* ZUZANNA *w sukniach hrabiny,* MARCELINA.

ZUZANNA, *pocichu do hrabiny.* Tak, Marcelina mówiła, że Figaro tu będzie.

MARCELINA. Toteż jest; mów ciszej.

ZUZANNA. Tak więc, jeden słucha, a drugi ma przyjść na schadzkę. Zaczynajmy.

MARCELINA. Aby nie stracić słowa, skryję się w altanie.

(Wchodzi do kiosku, gdzie skryła się Franusia).

Scena V

FIGARO, HRABINA, ZUZANNA.

ZUZANNA, *głośno.* Pani drży! czyżby z zimna?

HRABINA, *głośno.* Wilgoć jest, już wrócę.

ZUZANNA, *głośno.* Jeśli pani mnie nie potrzebuje, odetchnę nieco pod temi drzewami.

HRABINA, *głośno.* Zaziębisz się.

ZUZANNA, *głośno.* Przyzwyczajona jestem.

FIGARO, *na stronie.* Tak się zdaje!

(Zuzanna cofa się blisko kulis, w stronę przeciwną tej po której czai się Figaro).

Scena VI

FIGARO, CHERUBIN, HRABIA, HRABINA, ZUZANNA. *(Figaro i Zuzanna każde po przeciwnym krańcu, ku przodowi sceny).*

CHERUBIN, *w stroju oficera, wbiega nucąc wesoło finał swej romancy.* La, la, la, la.

Dałbym życie i duszę
Dla mej pani przesłodkiej...

HRABINA, *na stronie.* Pazik!

CHERUBIN, *zatrzymuje się.* Ktoś tu chodzi; spieszmyż do mego schronienia, gdzie Franusia... Zawszeć to kobieta!...

HRABINA, *słuchając.* Ha, wielkie nieba!

CHERUBIN, *schyla się, wypatrując.* Czy się mylę? sądząc po tym wianku, który rysuje się w zmroku, zdaje się, że to Zuzia.

HRABINA, *na stronie.* Gdyby hrabia nadszedł!...

(Hrabia ukazuje się w głębi).

CHERUBIN *zbliża się i ujmuje za rękę hrabinę, która się broni.* Tak, to urocza dziewczyna, którą wołają Zuzia. Ha! czyż mógłbym się omylić po miękkości tej rączki, po jej nagłem drżeniu, a zwłaszcza po biciu mego serca! *(Chce położyć sobie rękę hrabiny na sercu; ona cofa rękę).*

HRABINA, *cicho.* Idź stąd!

CHERUBIN. Jeśli współczucie sprowadziło cię umyślnie w ten zakątek, gdzie jestem ukryty od dawna...

HRABINA. Figaro ma nadejść.

HRABIA, *podchodząc, na stronie.* Czy to nie Zuzię widzę?

CHERUBIN, *do hrabiny.* Co mi Figaro! wcale nie jego oczekujesz...

HRABINA. Kogóż więc?

HRABIA, *na stronie.* Jest ktoś z nią.

CHERUBIN. Hrabiego, szelmeczko, który prosił cię o tę schadzkę dziś rano, kiedym przycupnął za fotelem.

HRABIA, *na stronie, z wściekłością.* Znów ten paź piekielny!

FIGARO, *na stronie.* Mówią, że nie trzeba podsłuchiwać!

ZUZANNA, *na stronie.* Mały papla!

HRABINA, *do pazia.* Zrób mi tę grzeczność i oddal się.

CHERUBIN. Nie wcześniej, w każdym razie, aż uzyskam zapłatę mego posłuszeństwa.

HRABINA, *przestraszona.* Cóż takiego?...

CHERUBIN. Najpierw dwadzieścia całusów na twój rachunek, a potem sto na rachunek twej pięknej pani.

HRABINA. Ty śmiałbyś?...

CHERUBIN. Ojej! tak, śmiałbym. Ty zajmujesz jej miejsce przy Ekscelencji; ja miejsce pana hrabiego przy tobie: najgłupszą rolę gra w tem Figaro.

FIGARO, *na stronie.* A, obwieś!

ZUZANNA, *na stronie.* Zuchwały jak paź.

(Cherubin chce pocałować hrabinę; hrabia staje między nimi i odbiera pocałunek).

HRABINA, *pierzchając.* Och! nieba!

FIGARO, *na stronie, słysząc pocałunek.* Byłbym zaślubił miłą lalusię! *(Słucha).*

CHERUBIN, *macając suknie hrabiego, na stronie.* To pan hrabia!

(Umyka do altany, gdzie schroniły się Franusia i Marcelina).

Scena VII

FIGARO, HRABIA, HRABINA, ZUZANNA.

FIGARO *zbliża się.* Muszę...

HRABIA, *myśląc, że mówi do pazia.* Skoro nie ponawiasz całusa... *(Wymierza policzek).*

FIGARO, *który się nasunął, dostaje.* Au!

HRABIA. ...Porachowaliśmy się tedy z jednym.

FIGARO, *na stronie, oddala się trąc policzek.* Nie wszystkie zyski podsłuchu są miłe.

ZUZANNA, *śmiejąc się, po przeciwnej stronie.* Ha! ha! ha! ha!

HRABIA, *do hrabiny, którą bierze za Zuzannę.* Osobliwy ten paź: dostaje tęgi policzek i zmyka pękając od śmiechu.

FIGARO, *na stronie.* Pewnie, ma o co płakać!...

HRABIA. Ech, do kaduka! nie mogę zrobić kroku... *(Do hrabiny).* Ale dajmy pokój tym głupstwom; zatrułyby całą radość naszej schadzki.

HRABINA, *udając głos Zuzanny.* Czy spodziewał się pan...

HRABIA. Po twoim sprytnym bileciku! *(Bierze ją za rękę).* Ty drżysz?

HRABINA. Zlękłam się.

HRABIA. Nie było mym zamiarem pozbawiać cię całusa *(całuje ją w czoło).*

HRABINA. Panie hrabio! ta śmiałość...

FIGARO, *na stronie.* Szelma!

ZUZANNA, *na stronie.* Urocza istota!

HRABIA, *ujmując żonę za rękę.* Cóż za miła i delikatna skórka; jakże daleko hrabinie do tak ładnej rączki!

HRABINA, *na stronie.* Co może uprzedzenie!

HRABIA. Czyż ona ma to jędrne i toczone ramię! te ładne paluszki, pełne powabu i sprytu?

HRABINA, *głosem Zuzanny.* Zatem miłość...

HRABIA. Miłość... to tylko romans serca: rozkosz jest jego historją; ona sprowadza mnie do twych kolan.

HRABINA. Nie kocha już pan żony?

HRABIA. Bardzo; ale trzy lata czynią małżeństwo tak czcigodnem!

HRABINA. Czegóż pragnąłby pan u niej?

HRABIA, *pieszcząc ją*. Tego, co znajduję w tobie, ślicznotko.

HRABINA. Ależ powiedz pan, proszę.

HRABIA. ...Nie wiem; mniej jednostajności może; czegoś drażniącego, nieokreślonego, co stanowi urok: czasem odmowy; czy ja wiem? Żonom wydaje się, że robią wszystko kiedy nas kochają; przyjąwszy to za pewnik, kochają nas, kochają (jeśli kochają), są tak uczynne i tak gotowe do ofiar, i zawsze, i bezustanku, iż, pewnego pięknego wieczoru, stajemy zdumieni znajdując przesyt tam, gdzie szukaliśmy szczęścia.

HRABINA, *na stronie*. Ha! cóż za nauka!

HRABIA. W istocie, Zuziu, tysiąc razy przychodziło mi na myśl, że, jeśli gdzieindziej upędzamy się za rozkoszą której nie znajdujemy u nich, to dlatego, że one nie dość studjują sztukę podsycania pragnień, odnawiania się, ożywiania, można rzec, czaru miłości urozmaiceniem.

HRABINA, *dotknięta*. Zatem one powinny wszystko?...

HRABIA, *śmiejąc się*. A mężczyzna nic? Czyż możemy zmienić bieg natury? Naszem zadaniem było je zdobyć; ich...

HRABINA. Ich?...

HRABIA. Ich, zatrzymać nas: nazbyt zapominają o tem.

HRABINA. Och, ja nie zapomnę.

HRABIA. Ani ja.

FIGARO, *na stronie*. Ani ja.

ZUZANNA, *na stronie*. Ani ja.

HRABIA *ujmuje rękę żony*. Echo jest tutaj, mówmy ciszej. Ty nie potrzebujesz o tem myśleć, ty, którą miłość uczyniła tak żywą i ładną! Przy odrobinie kaprysu, będziesz najbardziej drażniącą

kochanką! *(Całuje ją w czoło)*. Moja Zuziu, Kastylczyk ma tylko jedno słowo. Oto złoto, przyrzeczone na wykup straconego dobrowolnie prawa, które godzisz mi się zwrócić. Ale, ponieważ wdzięk jakim raczysz go zaprawić jest bez ceny, dodaję jeszcze ten brylant: noś go, na mą pamiątkę.

HRABINA, *z ukłonem*. Zuzia przyjmie wszystko.

FIGARO, *na stronie*. Większej szelmy nie było na świecie!

ZUZANNA, *na stronie*. A to się sypie na nas!

HRABIA, *na stronie*. Interesowna; tem lepiej.

HRABINA, *spogląda w głąb*. Widzę pochodnie.

HRABIA. Gotują się na twoje wesele. Wejdźmy na chwilę do altany, pozwólmy im przejść.

HRABINA. Bez światła?

HRABIA, *pociągając ją lekko*. Pocóż? nie będziemy czytać.

FIGARO, *na stronie*. Idzie, na honor! Domyślałem się. *(Zbliża się)*.

HRABIA, *obracając się, grubym zmienionym głosem*. Kto się tu błąka?

FIGARO, *z gniewem*. Błąka? umyślnie idzie.

HRABIA, *pocichu do hrabiny*. To Figaro! *(ucieka)*.

HRABINA. Śpieszę za panem.

(Wchodzi do kiosku po prawej, gdy hrabia kryje się w parku w głębi).

Scena VIII

FIGARO, ZUZANNA, *w ciemności*.

FIGARO, *stara się wypatrzyć dokąd idą hrabia i hrabina, którą bierze za Zuzannę*. Nic już nie słychać; weszli: stało się. *(Głosem zmienionym z podrażnienia)*. Wy, niezgrabni żonkosie, którzy utrzymujecie szpiegów i kręcicie się miesiące całe koło podejrzenia, czemuż nie naśladujecie mnie? Od pierwszego dnia szpieguję żonę i podsłuchuję: w mgnieniu oka człowiek obznajmia się ze wszyst-

kiem: to cudowne, żadnych wątpliwości; wie czego się trzymać. *(Chodząc żywo).* Na szczęście, nie dbam o to; zdrada jej w niczem mnie nie dotyka. Mam ich wreszcie!

ZUZANNA, *która zbliżyła się pocichu w ciemności, na stronie.* Zapłacisz mi za swoje posądzenia. *(Głosem hrabiny).* Kto tam?

FIGARO, *z podrażnieniem.* „Kto tam?" Ten, który chciałby, z całego serca, aby zaraza zdusiła go przy urodzeniu...

ZUZANNA, *tonem hrabiny.* Ależ to Figaro!

FIGARO, *spogląda i mówi żywo.* Pani hrabina!

ZUZANNA. Mów cicho.

FIGARO, *żywo.* Ach, pani, jakże w porę niebo cię sprowadza. Jak pani sądzi, gdzie pan hrabia?

ZUZANNA. Cóż mnie obchodzi niewdzięcznik! Powiedz mi...

FIGARO, *jeszcze żywiej.* A Zuzanna, świeżo upieczona małżonka, jak pani myśli, gdzie jest?

ZUZANNA. Ależ mów ciszej!

FIGARO, *bardzo szybko.* Ta Zuzia, którą wszyscy mieli za tak cnotliwą, która udawała niedotykalską! Tam siedzą, zamknięci. Zwołam ludzi.

ZUZANNA, *zamykając mu usta ręką, zapomina odmienić głos.* Nie wołaj!

FIGARO, *na stronie.* To Zuzia! God-dam!

ZUZANNA, *tonem hrabiny.* Zdajesz się niespokojny.

FIGARO, *na stronie.* Szelma! Chce mnie złapać.

ZUZANNA. Trzeba się nam zemścić, Figaro.

FIGARO. Czuje pani żywe pragnienie?

ZUZANNA. Nie byłabym kobietą! Ale mężczyźni mają sto sposobów po temu...

FIGARO, *poufale.* Pani, jesteśmy sami, możemy mówić otwarcie. Kobiety mają jeden... ale ten jeden wart jest wszystkich naszych.

ZUZANNA, *na stronie.* Spoliczkowałabym go!

FIGARO, *na stronie.* Byłoby bardzo ucieszne, gdyby, przed ślubem...

ZUZANNA. Ale cóż warta taka zemsta, jeśli nie jest zaprawiona odrobiną miłości?

FIGARO. Wszędzie gdzie pani jej nie widzisz, bądź pewna iż szacunek ją przesłania.

ZUZANNA, *dotknięta*. Nie wiem, czy myślisz szczerze, ale nie mówisz przekonywująco.

FIGARO, *z komicznym zapałem, na kolanach*. Ach, pani, ubóstwiam cię. Weź pod uwagę czas, miejsce, okoliczności, i niech uraza twoja uzupełni wdzięk, którego nie staje mej prośbie.

ZUZANNA, *na stronie*. Ręka mnie świerzbi.

FIGARO, *na stronie*. Serce mi bije.

ZUZANNA. Ależ, Figaro, czyś pomyślał?...

FIGARO. Tak, pani hrabino, pomyślałem.

ZUZANNA. ...Że gniew i miłość...

FIGARO. ...Nie znoszą odwłoki... Ta rączka...

ZUZANNA, *swoim głosem, dając mu policzek*. Oto jest.

FIGARO. Ha! czarci! co za policzek!

ZUZANNA *daje mu drugi*. Co za policzek! A ten?

FIGARO. Au! *ques-à-quo?* tam do kaduka! Czy to dziś deszcz policzków?

ZUZANNA *bije go przy każdym zdaniu*. A! *ques-à-quo?* Zuzanna; masz za swoje posądzenia; za swoją zemstę, za zdradę, za swoje sposoby, swoje zniewagi i zamiary. To jest miłość? Powtórz jeszcze, coś mówił rano?

FIGARO *śmieje się, wstając*. Santa Barbara! tak, to jest miłość. O radości, o rozkoszy, o szczęśliwy po stokroć Figaro! Bij, ukochana, bij bez wytchnienia. Ale, kiedy pocentkujesz mi całe ciało, spojrzyj łaskawie, o Zuziu, na najszczęśliwszego z ludzi, jakiemu kiedykolwiek kobieta wygarbowała skórę.

ZUZANNA. Najszczęśliwszego! Ty ladaco! bałamuciłeś hrabinę tak kusząco, że, doprawdy, zapominając sama siebie, już miałam ulec na jej rachunek.

FIGARO. Mogłemż nie poznać twego ślicznego głosu?

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Poznałeś? Ha! jakże się zemszczę?

FIGARO. Wytłuc porządnie i chować urazę, to już zbyt kobiece! Ale powiedz mi, jakim szczęsnym cudem widzę cię tutaj, kiedy mniemałem że jesteś z nim? i w jaki sposób, ten strój, który mnie zmylił, stwierdza twoją niewinność...

ZUZANNA. Ech! głuptas z ciebie, dać się wziąć w pułapkę zastawioną dla innego! Czy to nasza wina, jeśli, chcąc chwycić jednego lisa, złapałyśmy dwóch?

FIGARO. Któż więc chwyta drugiego?

ZUZANNA. Własna żona.

FIGARO. Żona?

ZUZANNA. Żona.

FIGARO, *z szaloną uciechą*. Ha! Figaro, powieś się, nie odgadłeś tej sztuki. Jego żona? O, dwanaście i piętnaście tysięcy razy sprytne samiczki! Zatem, pocałunki w tej altanie...

ZUZANNA. Odebrała hrabina.

FIGARO. A całusy pazia?

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Pan hrabia.

FIGARO. A tam, za fotelem?

ZUZANNA. Nikt.

FIGARO. Jesteś pewna?

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Figaro, ej! pamiętaj o deszczu policzków.

FIGARO, *całuje jej ręce*. Klejnoty istne trzymam. Ale ten jeden od hrabiego był z dobrego kruszcu.

ZUZANNA. Dalej, pyszałku, ukórz się!

FIGARO, *czyniąc równocześnie wszystko co mówi*. Masz rację: na kolanach, zgięty, pochylony, rozpłaszczony na ziemi...

ZUZANNA, *śmiejąc się*. Och! biedny hrabia! ileż trudu sobie zadał...

FIGARO, *wstając*. Dla zdobycia własnej żony!

Scena IX

HRABIA *wchodzi głębią i idzie prosto ku altanie po prawej;* FIGARO, ZUZANNA.

HRABIA, *do siebie.* Próżno szukam jej w gaiku, schroniła się może tutaj.

ZUZANNA, *cicho, do Figara.* To on.

HRABIA, *otwierając altanę.* Zuziu, jesteś?

FIGARO, *pocichu.* Szuka jej, a ja myślałem...

ZUZANNA, *pocichu.* Nie poznał...

FIGARO. Dorżnijmy go, chcesz? *(całuje ją w rękę).*

HRABIA *odwraca się.* Mężczyzna u nóg hrabiny?... Ha! jestem bez broni. *(Zbliża się).*

FIGARO, *wstaje, odmieniając głos.* Daruj pani, nie pamiętałem, że ta zwykła nasza schadzka wypada na porę wesela.

HRABIA, *na stronie.* To ten, który siedział w alkierzu dziś rano.

FIGARO, *j. w.* Ale nie może być, aby tak głupia przeszkoda opóźniła chwile naszego szczęścia.

HRABIA, *na stronie.* Ha! śmierć! piekło! szatani!

FIGARO, *prowadząc ją do altany, pocichu.* Klnie. *(Głośno).* Spieszmy, pani, i nagródźmy sobie krzywdę, jaką nam wyrządzono dziś rano, kiedy musiałem skakać oknem.

HRABIA, *na stronie.* Ha! wszystko się odsłania!

ZUZANNA, *blisko altany po lewej.* Nim wejdziemy, zobacz, czy nikt nas nie śledzi. *(Figaro całuje ją w czoło).*

HRABIA *krzyczy.* Pomsty!

(Zuzanna ucieka do altany, gdzie weszli Franusia, Marcelina i Cherubin).

Scena X

HRABIA, FIGARO. *(Hrabia chwyta za ramię Figara).*

FIGARO, *udając gwałtowne przerażenie.* Mój pan!

HRABIA, *poznając go.* Ha! zbrodniarzu, to ty! Hola! ludzie! jest tam kto?

Scena XI

PEDRILLO, HRABIA, FIGARO.

PEDRILLO, *w butach z ostrogami.* Wasza Dostojność! znajduję Ją wreszcie.

HRABIA. Pedrillo, doskonale. Jesteś sam?

PEDRILLO. Prosto z Sewilli, co koń wyskoczy.

HRABIA. Zbliż się tu, i krzycz co masz siły!

PEDRILLO, *krzycząc na całe gardło.* O paziu ani słychu. Oto papiery.

HRABIA, *odtrąca go.* Ech! głupiec!

PEDRILLO. Wasza Dostojność kazała mi krzyczeć.

HRABIA, *wciąż trzymając Figara.* Na ludzi! Hej, jest tam kto! Nikt nie słyszy? Chodźcie tu wszyscy!

PEDRILLO. Jest nas dwóch: Figaro i ja; cóż może się stać Waszej Dostojności?

Scena XII

Ciż sami, GĄSKA, BARTOLO, BAZYLJO, ANTONIO, SŁONECZKÓ, *cały orszak weselny z pochodniami.*

BARTOLO, *do Figara.* Jak widzisz, na pierwszy sygnał...

HRABIA, *ukazując altenę po lewej.* Pedrillo, pilnuj mi tych drzwi. *(Pedrillo staje pod drzwiami).*

BAZYLJO, *cicho do Figara.* Schwyciłeś go z Zuzanną?

HRABIA, *ukazując Figara.* A wy wszyscy, moi wasale, otoczcie mi tego człowieka: odpowiadacie zań gardłem.

BAZYLJO. Haha!

HRABIA, *wściekły.* Milcz! *(do Figara, lodowato).* Mój rycerzu, czy raczysz odpowiedzieć na moje pytania?

FIGARO, *zimno.* Ba! i któż mógłby mnie zwolnić od tego, Eks-

celencjo? Pan hrabia panujesz tu nad wszystkimi, wyjąwszy nad samym sobą.

HRABIA, *powściągając się.* Wyjąwszy nad samym sobą!

ANTONIO. Dobrze powiedziane!

HRABIA, *powściągając gniew.* Nie, jeżeli coś jeszcze mogło pomnożyć mój gniew, to zimna krew, jaką ten łotr udaje.

FIGARO. Czy my jesteśmy żołnierze, którzy dają się zabijać za sprawy których nie znają? Ja, kiedy się złoszczę, lubię wiedzieć o co.

HRABIA, *odchodząc od zmysłów.* O, wściekłości! *(Powściągając się).* Uczciwy człowieku, który udajesz nieśmiałość, czy raczysz przynajmniej powiedzieć, co za damę przed chwilą wpuściłeś do altany?

FIGARO, *złośliwie, ukazując przeciwległą altanę.* Do tej?

HRABIA, *żywo.* Nie, do tej.

FIGARO, *zimno.* To inna sprawa. Jestto młoda osoba, która zaszczyca mnie szczególną łaską.

BAZYLJO, *zdziwiony.* Haha!

HRABIA, *żywo.* Słyszycie, panowie?

BARTOLO, *zdziwiony.* Słyszymy.

HRABIA, *do Figara.* A czy ta młoda osoba ma jakie inne obowiązki, któreby ci były wiadome?

FIGARO, *zimno.* Wiem, iż pewien wielki pan zaszczycał ją jakiś czas swemi względami; ale, czy że ją zaniedbał, czy też ja przypadłem jej do smaku więcej niż ktoś godniejszy kochania, dziś woli mnie.

HRABIA, *żywo.* Woli... *(Powściągając się).* Przynajmniej jest szczery! bo to co on wyznaje, panowie, słyszałem, przysięgam wam, z ust jego wspólniczki.

GĄSKA, *zdumiony.* Wspó-ólniczki.

HRABIA, *z wściekłością.* Zatem, skoro hańba jest publiczna, trzeba by pomsta była nią również. *(Wchodzi do altany).*

Scena XIII

Ciż sami, prócz hrabiego.

ANTONIO. Słusznie mówi.

GĄSKA, *do Figara.* Któ-óż tedy wziął drugiemu żo-onę?

FIGARO, *śmiejąc się.* Nikt nie miał tego szczęścia.

Scena XIV

Ciż sami, HRABIA, CHERUBIN.

HRABIA, *ukryty w altanie, ciągnąc kogoś kogo jeszcze nie widać.* Wszystkie wysiłki daremne; zgubiona pani jesteś, godzina twoja nadeszła! *(Wychodzi, nie patrząc).* Cóż za szczęście, że żaden owoc nienawistnego związku...

FIGARO, *wykrzykuje.* Cherubin!

HRABIA. Mój paź?

BAZYLJO. Haha!

HRABIA, *nieprzytomny z wściekłości, na stronie.* Wszędzie ten paź djabelski! *(do Cherubina).* Co robiłeś w altanie?

CHERUBIN, *trwożliwie.* Kryłem się, jak mi pan hrabia kazał.

PEDRILLO. Warto było zajeżdżać konia!

HRABIA. Wejdź, Antonio; przyprowadź przed jej sędziego bezwstydną, która mnie zniesławiła.

GĄSKA. Pa-ani hra-abiny Ekscelencja ta-am szuka?

ANTONIO. Do paralusza! jest tedy dobra Opatrzność; tyleś się pan tego napraktykował w okolicy...

HRABIA, *wściekły.* Właźże! *(Antonio wchodzi).*

Scena XV

Ciż sami, z wyjątkiem Antonia.

HRABIA. Zobaczycie, panowie, że paź nie był sam.

CHERUBIN, *trwożliwie.* Los mój byłby zbyt okrutny, gdyby jakaś tkliwa dusza nie złagodziła jego goryczy.

Scena XVI

Ciż sami, ANTONIO, FRANUSIA.

ANTONIO, *ciągnąc za rękę kogoś, kogo jeszcze nie widać.* Niechże pani idzie, nie trzeba się dać prosić, skoro wiadomo, że pani tu weszła.

FIGARO, *wykrzykuje.* Kuzyneczka!

BAZYLJO. Haha!

HRABIA. Franusia!

ANTONIO, *obraca się i woła.* Do kaduka, jaśnie panie, co za koncept, żeby mnie wybierać dla pokazania kompanji, że to moja dziewucha narobiła całego bigosu!

HRABIA, *wzburzony.* Któż mógł wiedzieć, że ona tam jest? *(Chce wejść do altany).*

BARTOLO, *zastępując.* Pozwól, panie hrabio, to zaczyna być niejasne. Ja mam zimniejszą krew. *(Wchodzi).*

GĄSKA. A to mi spra-awa trochę zabardzo za-awikłana.

Scena XVII

Ciż sami, MARCELINA.

BARTOLO, *mówiąc wewnątrz i wychodząc.* Nie lękaj się pani, nie zrobi ci nic złego, ręczę. *(Odwraca się i krzyczy:)* Marcelina!

BAZYLJO. Haha!

FIGARO, *śmiejąc się.* Cóż za szaleństwo, mama też?...

ANTONIO. Coraz lepiej!

HRABIA, *wzburzony.* Co mi to wszystko! Hrabina...

Scena XVIII

Ciż sami, ZUZANNA *z twarzą zasłoniętą wachlarzem.*

HRABIA. ...A, oto wychodzi. *(Chwyta ją gwałtownie za ramię).* Jak sądzicie, panowie, czego warta jest nikczemna... *(Zuzanna pada na kolana ze spuszczoną głową. — Hrabia:)* Nie, nie! *(Figaro pa-*

da na kolana z drugiej strony: — Hrabia silniej:) Nie, nie! *(Marcelina pada na kolana nawprost hrabiego. — Hrabia coraz silniej:)* Nie, nie! *(Wszyscy padają na kolana, z wyjątkiem Gąski. — Hrabia, oszalały:)* Choćby was było i sto!

Scena XIX

Ciż sami, HRABINA *wychodzi z drugiej altany.*

HRABINA, *pada na kolana.* Niechże ja dopełnię liczby.

HRABIA, *patrząc na hrabinę i Zuzannę.* Ha! co widzę?

GĄSKA, *śmiejąc się.* Dalibóg, to pa-ani.

HRABIA, *chce podnieść hrabinę.* Jakto! ty, hrabino? *(Błagalnie).* Jedynie wspaniałomyślne przebaczenie...

HRABINA, *śmiejąc się.* Ty, hrabio, powiedziałbyś, na mojem miejscu: „Nie, nie"; ja zaś, po raz trzeci dzisiaj, przebaczam, bez warunków. *(Wstaje).*

ZUZANNA, *wstaje.* I ja.

MARCELINA, *wstaje.* I ja.

FIGARO, *wstaje.* I ja: jest echo tutaj.

(Wszyscy wstają).

HRABIA. Echo! — Chciałem bawić się z nimi w chytrość, a oni potraktowali mnie jak dziecko.

HRABINA, *śmiejąc się.* Nie żałuj tego, hrabio.

FIGARO, *otrzepując kolana kapeluszem.* Taki dzionek jak dziś, do dobra szkółka dla przyszłego ambasadora.

HRABIA, *do Zuzanny.* Ten bilecik, zapięty szpilką?...

ZUZANNA. Pani hrabina go podyktowała.

HRABIA. Należy się jej odpowiedź. *(Całuje rękę hrabiny).*

HRABINA. Każdy dostanie co mu się należy. *(Daje sakiewkę Figarowi, a diament Zuzannie).*

ZUZANNA, *do Figara.* Jeszcze jeden posag.

FIGARO, *podrzucając sakiewkę w ręce.* To trzeci. Ten było ciężko zdobyć.

ZUZANNA. Jak nasze małżeństwo.

SŁONECZKO. A podwiązkę panny młodej dostanę?

HRABINA *zrywa wstążkę którą zachowała na łonie i rzuca ją na ziemię.* Podwiązkę? Była przy sukniach Zuzi; masz. *(Drużbowie chcą spierać się o nią).*

CHERUBIN, *zwinniejszy, chwyta z ziemi i woła:* Ten który chce ją mieć, ze mną się wprzód rozprawi.

HRABIA, *śmiejąc się, do pazia.* Ale, ale, mój ty drażliwy jegomościu: cóż ci się zdało tak wesołego w policzku, któryś oberwał przed godziną?

CHERUBIN, *dobywając do połowy szpadę.* Ja, panie pułkowniku?

FIGARO, *z komicznym gniewem.* Otrzymał go na mojej fizjognomji: oto, jak możni wymierzają sprawiedliwość.

HRABIA, *śmiejąc się.* Ty? Ha, ha, ha! cóż ty powiadasz na to, droga hrabino!

HRABINA, *budzi się z zamyślenia i powiada z czułością.* Ach, tak, drogi hrabio... i na całe życie, bez chwili zapomnienia, przysięgam.

HRABIA, *uderzając sędziego po ramieniu.* A pan, don Gąsior, jakież twoje zdanie?

GĄSKA. O tem co-o widzę, panie hrabio? Na ho-onor, co do mnie, nie wiem co powiedzieć: o-oto mój sposób myślenia.

WSZYSCY RAZEM. Pięknie osądzone!

FIGARO. Byłem biedny, pogardzano mną. Okazałem nieco talentów, rzuciła się na mnie zawiść. Przy pięknej żonie i majątku...

BARTOLO, *śmiejąc się.* Serca będą się cisnąć do ciebie hurmem.

FIGARO. Czy podobna?

BARTOLO. Znam ludzi.

FIGARO, *kłaniając się widzom.* Wyjąwszy żoną i majątkiem, wszystkiem innem służę z miłą chęcią.

(Przegrywka do wodewilu).

WODEWIL

BAZYLJO.

Trzy posągi, smaczna brzana,
Cóż chcieć więcej, jakem żyw?
O pazika, czy tam Pana,
Głupiec chyba byłby krzyw;
Łacińska prawda uznana
Dobrze mówi, wierzcie mi:

FIGARO.

Wiem... *(Śpiewa):*
Gaudeant bene nati.

BAZYLJO.

Nie... *(Śpiewa):*
Gaudeant bene nanti.

ZUZANNA.

Że mąż zdradza swą połowę,
Każdy mu tem bardziej rad;
Żonka niech postrada głowę,
„Gwałtu!“ krzyczy cały świat;
Skąd różnice są takowe?
Mam powiedzieć? to nie traf!
Silniejszy jest twórcą praw.

BARTOLO.

Piotr zazdrośnik, sztuka szczwana,
Iżby w domu spokój miał
Kupił srogiego brytana,
Co na wszystkich: hau, hau, hau!

„Brysiu, cyt! puść swego pana!...“
Gach rzemiosło dobrze zna:
Sam Piotrowi sprzedał psa...

HRABINA.

Jedna, choć nie kocha męża,
Dba o czci niestarty blask;
Druga, tkliwsza na szept węża,
Mężowi nie szczędzi łask;
Wierzcie, cnotą ta zwycięża,
Która, strzegąc własnych lic,
O drugich nie sądzi nic.

HRABIA.

Parafjanka, tam do kata,
Z sercem nieczułem jak głaz,
Licha starań to odpłata;
Wiwat dama z górnych klas!
Nakształt bitego dukata,
Stempel z władcy wziąwszy rąk,
Wszystkim wiernie służy w krąg.

MARCELINA.

Jedno pewne jest: to matka,
Co nam życia dała chrzest;
Wszystko inne, et, zagadka,
Miłości to sekret jest...

FIGARO *podejmuje melodję.*

Stąd, wiadomo, rzecz nierzadka,
Palcem mógłbym wskazać wam:
Syn — brylant, choć ojciec cham.

Różnie ludzi los obdarza:
Królem ten, pastuchem ów;
Traf różnicę całą stwarza,
DUCH ją zatrzeć może znów;
Tysiąc królów, z ołtarza,
Śmierci zmiótł wszechmocny gest:
Wolter nieśmiertelny jest.

CHERUBIN.

Płci urocza, ty zwodnico,
Źródło naszych mąk i bied:
Każdy klnie cię, łży — no i co?
Każdy do cię wraca wnet;
Parter twoją jest siostrzycą:
Ten, co niby gardzi nim,
Dałby krew za pochwał dym...

ZUZANNA.

Jeśli utwór ten szalony
Nauczką wam trąci zbyt,
Przez wzgląd na miłe androny,
Darujcie rozsądku zgrzyt;
Tak, natury głos tajony,
Do swych celów, w pragnień czas,
Przez rozkosz prowadzi nas...

GĄSKA.

Ot, panowie, ko-omedyja
W bu-udzie prze-edstawiona tej,
Wiernie ży-ycie wam odbija
Ludku, co dziś słu-ucha jej:
Krzywdzą go: gwałt, wrzaski, hryja;
A w końcu, z tych wszy-ystkich burz,
Kropnie pio-osenkę — i już!

Ogólny balet.

KONIEC.